ROBAKI I LARWY ZAMIAST KARKÓWKI

Cejrowski dziwi się, dlaczego Polacy nie buntują się przeciw Unii Europejskiej

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 5/512 30 STYCZNIA–5 LUTEGO 2023
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Semka o opozycji: Wojna wszystkich ze wszystkimi

Schron dla każdego? Gdzie go można kupić i jak zmontować

INNA DROGA ORBÁNA

Jak władze Węgier postępują w sprawie wojny na Ukrainie

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład: 52 500 egzemplarzy

eprasa.pl 88d2eb15d9

Innowacyjne terapie dla pacjentów onkologicznych.

Poszukujemy ich z pasją.

Ponad **19 milionów osób** na świecie **w 2020 roku** dowiedziało się, że choruje na nowotwór[1].
W Polsce taką diagnozę usłyszało ponad **200 tysięcy pacjentów**[1,*].

Walka z nowotworami to jedno z największych wyzwań współczesnej medycyny.

Zrozumienie roli układu odpornościowego w leczeniu pacjentów onkologicznych przyczynia się do rozszerzania opcji terapeutycznych.

Realizujemy badania kliniczne w ponad 30 typach nowotworów, a nasz zespół dokłada wszelkich starań, aby droga od odkrycia do podania leku była jak najkrótsza i każdy pacjent otrzymał dostęp do nowych możliwości leczenia i więcej czasu z bliskimi.

Jesteśmy dumni z dostarczania przełomowych, innowacyjnych terapii w onkologii. Wierzymy, że nasza praca to znacznie więcej niż poszukiwanie nowych leków.

To przede wszystkim nowe perspektywy leczenia i wydłużenie życia pacjentów.

* Zgodnie z Narodową Strategią Onkologiczną spodziewamy się, że ta liczba znacząco wzrośnie w przyszłych latach[2].

1. International Agency for Research on Cancer, Globocan 2020.
2. Program wieloletni pn. NARODOWA STRATEGIA ONKOLOGICZNA na lata 2020–2030.

® Zastrzeżona nazwa handlowa Merck & Co, Inc., Rahway, NJ, USA
© Zastrzeżone prawa autorskie MSD Polska Sp. z o.o.

2024-09-PL-NON-00587 (wyd. 09.2022)

MSD ONKOLOGIA

MSD INVENTING FOR LIFE

eprasa.pl 88d2eb15d9

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Śmiałe plany sekretarza Blinkena

Komentatorzy sceptyczni co do obecnej polityki Waszyngtonu wobec wojny na Ukrainie pytali od dawna, jaki ma być jej ostateczny cel. Co konkretnie chce osiągnąć Ameryka? Odpowiedź przyniósł niedawno „Washington Post". W zeszłym tygodniu pismo przedstawiło rozmowę na ten temat z sekretarzem stanu USA, Antonym Blinkenem. Jak pisał, omawiając ten wywiad, portal onet.pl, pokazał w nim nową strategię USA.

Otóż Blinken uważa, że w rezultacie obecnej wojny powinna powstać Ukraina zdolna samodzielnie obronić się przed Rosją, Ukraina z silną i wolną od korupcji gospodarką, a także Ukraina, która jest częścią Unii Europejskiej. Cóż, plany można mieć różne, jednak kluczową rzeczą, jeśli chodzi o projekty polityczne, musi być zawsze pytanie o ich realność. I tu pojawia się zasadniczy problem.

Różne rzeczy można bowiem opowiadać, ale wizja demokratycznej i wolnej od korupcji Ukrainy wydaje się, szczerze mówiąc, utopijna. Jeszcze przed wojną Ukraina znajdowała się wśród państw wręcz zżeranych przez korupcję – pokazywały to wszystkie indeksy i obiektywne badania. Czy pod tym względem zaszła zmiana? Nic na to nie wskazuje. Dowodem na to jest choćby niedawne aresztowanie Wasyla Łozyńskiego, ukraińskiego wiceministra rozwoju wspólnot, terytoriów i infrastruktury. Za zawarcie niekorzystnych dla państwa kontraktów miał otrzymać 400 tys. dol. – Chcę, by to było naszym sygnałem dla wszystkich, których działania i zachowania godzą w zasadę sprawiedliwości – zwracał się do skorumpowanych urzędników prezydent Wołodymyr Zełenski. Można sobie życzyć, by tak się stało, co nie zmienia faktu: wolna od korupcji Ukraina to odległy sen.

Nie lepiej wygląda inne marzenie sekretarza Blinkena, a mianowicie wiara w powstanie demokratycznej Ukrainy w ramach Unii Europejskiej. Znowu mam wrażenie, że przypomina to do złudzenia inne wypowiedzi amerykańskich urzędników sprzed lat, którzy to opowiadali o demokratycznym Iraku lub wolnym od talibów Afganistanie. Nie sposób nie zauważyć, że plany te – publicznie głoszone przez poprzedników pana Blinkena – okazały się mrzonkami. Czy podobnie będzie z demokracją ukraińską?

Z jednej strony można powiedzieć, że wojna nie sprzyja budowie przejrzystego systemu demokratycznego. Z drugiej jednak co najmniej kilka posunięć prezydenta Zełenskiego wskazuje na to, że i ta nadzieja USA jest co najmniej śmiała – wystarczy wspomnieć o osobliwym projekcie nowego ukraińskiego Trybunału Konstytucyjnego, faktycznie kontrolowanego przez prezydenta, czy coraz częstszych zakazach działania opozycyjnych partii i ruchów politycznych. Podobnie muszą rodzić wątpliwości ograniczenia prawa do wolności religijnej. Czy chodzi tu tylko o walkę z rosyjską agenturą czy raczej o budowę systemu dyktatorskiego? Tak czy inaczej na pewno nie o demokrację.

Być może najciekawszy jest plan stworzenia z Ukrainy swego rodzaju mocarstwa militarnego. Blinken wierzy, że na Ukrainie powstanie armia, która będzie w stanie walczyć na równych prawach z armią rosyjską. To się dopiero nazywa wyzwanie. Jak doprowadzić do wyrównania stanu liczebnego wojska? Skąd wziąć tysiące czołgów, myśliwców, rakiet dalekiego zasięgu, a może, kto wie, głowic nuklearnych? No bo jak równi z równymi, to oznacza, jak rozumiem, także równowagę na polu broni nuklearnej.

Cóż, tu pojawia się jeszcze więcej wątpliwości. Pierwsza: w jaki sposób taka armia miałaby powstać, biorąc pod uwagę, że na znaczącej części terenów Ukrainy toczy się wojna i w związku z tym gospodarka znajduje się w stanie totalnej zapaści? Druga: przecież taka budowa wielkiej armii ukraińskiej zdolnej samodzielnie stawić czoła Rosji oznacza, że potrzebny jest czas. Nie mogę uwierzyć, mimo najlepszych chęci i całej mojej wiary w skuteczność USA, że Rosja będzie się takiemu budowaniu biernie przyglądać. Raczej zrobi na jeszcze większą skalę to, co robi do tej pory: będzie niszczyć i atakować. Tymczasem w swoim rozumowaniu sekretarz stanu zdaje się ten problem – toczącej się wojny – brać po prostu w nawias. Pomysł, żeby Ukraina stała się amerykańskim lotniskowcem, skąd będzie się skutecznie szachować Kreml, brzmi bardzo dobrze, szczególnie jeśli przedstawia się go w Waszyngtonie. Jednak jak miałoby się to stać bez wojny na pełną skalę, w tym wciągnięcia w nią innych państw regionu, nie umiem pojąć.

Ostatnia sprawa dotyczy Polski. O ile nie ma wątpliwości, że istnienie suwerennej Ukrainy odgradzającej Polskę od Rosji jest w naszym interesie, to czy tak samo jest w nim Ukraina, która ma stać się superpotęgą militarną, swego rodzaju amerykańską bazą wypadową na wschód? Można mieć poważne wątpliwości. ©℗

eprasa.pl 88d2eb15d9

TEMAT TYGODNIA

16 ŁUKASZ WARZECHA
INNA DROGA ORBÁNA
Dlaczego Węgrzy tak odmiennie od Polaków patrzą na wojnę?

20 ROZMOWA Z GEN. WALDEMAREM SKRZYPCZAKIEM
UKRAINA NIE POKONA ROSJI

22 JAN FIEDORCZUK
„JASTRZĘBIE" OPOZYCJI

KRAJ

24 ROZMOWA Z SZYMONEM SZYNKOWSKIM VEL SĘKIEM
GRYZIENIE TRAWY
„Kamienie milowe" a polska suwerenność

27 PIOTR SEMKA
RYSY NA SZKLE

30 ROZMOWA Z PROF. ZBIGNIEWEM SZCZEŚNIAKIEM
SCHRON DLA KAŻDEGO?

34 TOMASZ ROWIŃSKI
ILE KOSZTUJE CIERPIENIE BOHATERÓW

KULTURA

36 WIESŁAW CHEŁMINIAK
KOSZMAR NA JAWIE
Ojciec chrzestny symbolizmu

39 PIOTR GOCIEK
LUDZIE I OSIOŁKI

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

48 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
POWSTAŃCZA CHOROBA DWUBIEGUNOWA
Czy powstania miały sens?

51 WOJCIECH GOLONKA
W DAVOS BEZ ZMIAN

54 MAREK JUREK
NIEMCY I NOWY PORZĄDEK ŚWIATA

56 PAWEŁ CHMIELEWSKI
JEŹDŹCY APOKALIPSY

HISTORIA

58 PIOTR TYLUS
HISTORIA PRZEŚLADOWANIA
Życie za wiarę

ŚWIAT

62 JAN BOGATKO
ZA PODSZEPTEM MOSKWY
Strach słowem roku

65 MACIEJ PIECZYŃSKI
UKRAIŃSKA LEGIA CUDZOZIEMSKA

68 ROZMOWA Z SANTIAGO ABASCALEM
CHCEMY PRZEJĄĆ STERY EUROPY

70 TERESA STYLIŃSKA
SUWERENNOŚĆ W CIENIU TRANS

EKONOMIA

72 ROZMOWA Z DR HAB. INŻ. BEATĄ KĘPIŃSKĄ
GEOTERMIA SZANSĄ DLA CIEPŁOWNICTWA
Wykorzystać doświadczenia Islandii

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), GABRYEL, WARZECHA (33), ŻEBROWSKI, KOPER (61), PRZYBYLSKI (75), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (80), NOWAK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 88d2eb15d9

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło.**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Stanisław Kowalczuk/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKA WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 52 500 egzemplarzy
NAKŁAD KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierowć na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy,

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Urodziny 10-latka

Droga Redakcjo, chciałbym serdecznie powinszować 10-lecia istnienia i pożyczyć kolejnych dziesiątek! Taki tygodnik jest nam potrzebny, prawicowo-zdroworozsądkowy, wyczulony na przechyły w obie strony. Jestem z Wami od początku, a z niektórymi jeszcze wcześniej, na łamach „Uważam Rze". Rozpad „URz" przyjąłem z żalem, bolało mnie Wielkie Rozproszenie ulubionych dziennikarzy, głównie do dwóch konkurujących czasopism. Trzeba było wybrać, wybrałem Was, choć nie odmawiam sobie czasem sięgnięcia również po tygodnik „rybacki" (ukłon w stronę Panów G.).

Trwajcie! Piotr Selega

Czech do Polaków

Drodzy Redaktorzy,
piszę do was jako zwykły obywatel Republiki Czeskiej, aby przeprosić w imieniu racjonalnie myślącej większości naszego społeczeństwa za wypowiedzi pana Babiša, które ze zrozumiałych powodów dotknęły Wasz naród. Proszę, niech Twoi ludzie wiedzą, że zarówno z historycznego punktu widzenia, jak i z obecnego punktu widzenia Czechy zawsze będą stać po stronie Polski.

Między innymi razem walczyliśmy o Anglię z nazistami, Karel Kryl czuł się u Was jak w domu… Mamy tyle wspólnego, że nie chciałbym, aby wypowiedzi tego głupca stały się pretensją.

Społeczeństwo czeskie jest niestety podzielone, ale większość ludzi, a zwłaszcza młodsze pokolenie, stoi po zachodniej stronie i stanie po stronie swoich sojuszników. Mam nadzieję, że mojemu pokoleniu i mnie uda się w końcu wypędzić resztki dawnej prorosyjskiej gwardii komunistycznej, a jej przedstawiciele przestaną przynosić nam złą sławę w społeczności międzynarodowej i konflikty w naszym kraju.

Niech będzie silna więź między sojusznikami! ***Pozdrawiam, Pavel Soldán***

„Nękani przez Donka i spółkę", Małgorzata Wołczyk, „DRz" nr 50/2022

Szanowna Pani Redaktor,
[…] chodzi mi o przebijający się ze słów o „robolach z krasnostawskiej mleczarni" i „bełtaniu kefiru" – wielkomiejski klasizm. (Swoją drogą, zsiadłe mleko z Krasnegostawu jest bardzo dobre).

Sam jestem pracownikiem prostych usług w dużym przedsiębiorstwie, pracującym za płacę minimalną, pracuję z ludźmi na stanowiskach fizycznych, a jednak nie przeszkadza mi to czytać „Do Rzeczy", inne gazety i dużą liczbę książek.

[…] Żeby nie przedłużać, na koniec tylko zasygnalizuję szeroko obecne w społeczeństwie zjawisko niedoceniania (wręcz pogardy) ogólnie dla pracy fizycznej, tak przecież niezbędnej dla funkcjonowania nas wszystkich. […]

Z poważaniem
Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Od autorki

Szanowny Panie Grzegorzu,
pisząc wspomniany tekst, wiedziałam, że balansuję na cienkiej linii, i czekałam, kiedy mi się za niego słusznie (!) oberwie. Oczywiście ma Pan rację. Jednak krótka forma felietonu nie pozwala na całościowy obraz. Faktem jest, że w powojennej, chłopskiej Polsce kolejne pokolenia powielały tę samą strategię motywowania swoich dzieci do awansu społecznego. Krasnystaw mego dzieciństwa to było miasto pijaństwa, nie tylko w owe sławetne „Chmielaki", czyli święto piwa. Alkoholizm i bieda dotyczyły tam zwłaszcza rodzin robotniczych. Dziś to zupełnie inny świat, pod wieloma względami zdrowszy niż „Warszafka", ale wtedy kochający rodzice tak właśnie motywowali dzieci do tego, aby pięły się wyżej i ambitniej. Zwłaszcza te zdolne, a leniwe, jak mała Małgośka.

Pozdrawiam serdecznie
Małgorzata Wołczyk

eprasa.pl 88d2eb15d9

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Katolicy na elektrowstrząsach

Według włoskiego dziennika „Il Messaggero" jednym z kandydatów rozważanych przez papieża Franciszka na stanowisko szefa Kongregacji Nauki Wiary jest bp Heiner Wilmer z północnoniemieckiej diecezji Hildesheim.

Już sama informacja, że bp Wilmer jest w ogóle rozważany na jedno z najważniejszych stanowisk w Watykanie, musi budzić zdumienie.

Biskup Wilmer to zwolennik „drogi synodalnej", która coraz wyraźniej jawi się jako droga ku schizmie Kościoła niemieckiego.

Przeciwko nominacji dla bp. Wilmera wypowiedział się sam kardynał dziekan Kolegium Kardynałów, Giovanni Battista Re. Purpurat miał zabiegać u papieża Franciszka o rezygnację z kandydatury Wilmera. Tymczasem decyzja może zapaść już wkrótce – niedługo bowiem upływa przedłużona kadencja kard. Luisa Ladarii, który ma już 78 lat i prawdopodobnie przejdzie na emeryturę. Według włoskich mediów Heiner Wilmer jest cały czas jednym z głównych kandydatów.

Biskup Wilmer ma 61 lat. Zna doskonale kościelne kręgi w Rzymie, gdzie pełnił funkcję przełożonego zakonu sercanów. Od lat zna się osobiście z papieżem Franciszkiem. Na kurialnym urzędzie byłby kontynuatorem „niemieckiej" linii prefektów Kongregacji Nauki Wiary – w ostatnich latach tę funkcję sprawowali przecież Józef Ratzinger i Gerhard Müller. Rzecz jednak w tym, że podczas gdy Ratzinger i Müller byli jako prefekci strażnikami wiary, Wilmer jest raczej orędownikiem jej… zmian.

Problem polega na tym, że Heiner Wilmer byłby znakomitym partnerem jednego z najważniejszych kardynałów w Kościele pontyfikatu Franciszka – Jeana-Claude'a Hollericha. A Hollerich jest relatorem Synodu o synodalności. Razem z Wilmerem mógłby stworzyć tandem, który pozwoli na wykorzystanie Synodu o synodalności do przeniesienia na grunt nauczania kościelnego wielu fundamentalnych zasad progresywnych.

Dzisiejsi katolicy przypominają uczestników testów z użyciem elektrowstrząsów. Co rusz stają wobec bulwersujących informacji. Jedne się sprawdzają, inne nie. Ale nad polityką informacyjną najwyraźniej nikt nie panuje, a to wielu wiernym każe co chwilę zderzać się z jakimś niepokojącym newsem.

Tradycyjni katolicy, nasłuchując dziś wieści z Rzymu, czują się jak na seansie elektrowstrząsów.

Taki mamy klimat. ©℗

FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

FERNANDO SANTOS NOWYM SELEKCJONEREM

Reprezentacja Polski w piłce nożnej ma już oficjalnie nowego selekcjonera. 68-letni Portugalczyk Fernando Santos (z lewej), z wykształcenia inżynier, prowadził w swojej karierze kadry Grecji oraz Portugalii. – Od dzisiaj jestem Polakiem, jestem jednym z was. Będziemy robić wszystko, by zapewnić Polakom dużo radości – ogłosił nowy selekcjoner, którego roczne zarobki mają wynieść aż 2,5 mln euro. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 88d2eb15d9

Powstanie ponad 100 tys. nowych miejsc opieki nad maluchami

Nowe otwarcie programu „Maluch+" to nowe zasady podziału środków i większy budżet – aż 5,5 mld zł – dzięki czemu powstać ma ponad 100 tys. nowych miejsc opieki nad dziećmi do lat trzech. – Zależy nam na tym, by w każdej gminie działały instytucje zapewniające opiekę nad najmłodszymi dziećmi – wskazuje minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg. Do 19 lutego br. trwa nabór wniosków do rozszerzonej edycji programu

Program „Maluch+" jest ważnym elementem wsparcia rodzin w wychowywaniu dzieci. Realizowany jest od 2011 r., ale to za rządów Zjednoczonej Prawicy nabrał rozpędu.

Od 2016 r. powstało ponad 140 tys. miejsc opieki nad maluchami. Na koniec 2015 r. było niespełna 3 tys. placówek, które oferowany zaledwie 84 tys. miejsc opieki. Dziś funkcjonuje ponad 8 tys. żłobków i klubów dziecięcych, w których jest ponad 228 tys. miejsc opieki nad maluchami.

5,5 MLD ZŁ NA ROZWÓJ SIECI OPIEKI NAD NAJMŁODSZYMI DZIEĆMI

– Ogłoszenie nowej edycji programu to włączenie szóstego biegu w procesie rozwoju usług dedykowanych rodzinom z małymi dziećmi. To jednocześnie kolejny krok w budowie prawdziwie przyjaznej polityki państwa wobec rodzin – wskazuje minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg.

Budżet programu „Maluch+" to 5,5 mld zł. Dzięki zwiększonym środkom powstać ma ponad 100 tys. nowych miejsc opieki nad dziećmi do lat trzech.

Program zawiera trzy źródła finansowania: budżet państwa i środki unijne z Krajowego Planu Odbudowy oraz środki z Programu Fundusze Europejskie dla Rozwoju Społecznego. Dofinansowanie będzie można uzyskać na tworzenie nowych miejsc i ich funkcjonowanie przez 36 miesięcy. W ramach programu nie jest wymagany wkład własny.

ALGORYTM PODZIAŁU ŚRODKÓW

Pierwszeństwo w ramach programu „Maluch+" mają gminy. Każda gmina ma zagwarantowane, zgodnie z algorytmem, środki na utworzenie miejsc opieki zarówno w nowych, jak i już istniejących instytucjach, a także środki na dofinansowanie przez 36 miesięcy funkcjonowania utworzonych miejsc opieki.

Co ważne, każda gmina – znając potrzeby swoich mieszkańców – może wnioskować o większe środki, niż wynikałoby to z algorytmu.

Jeżeli gminy nie zawnioskują o wskazane dla nich algorytmem środki, to niewykorzystane pieniądze będą mogły zostać rozdysponowane wśród innych podmiotów uprawnionych do prowadzenia instytucji opieki nad dziećmi do lat trzech. Pierwszeństwo zawsze będą miały jednak gminy.

Na przeprowadzenie inwestycji gminy będą miały trzy lata. To większa elastyczność realizacji zadania. Pozostałe podmioty będą miały na to dwa lata.

WYSOKOŚĆ DOFINANSOWANIA

Kwoty dofinansowania na tworzenie nowego miejsca opieki ze środków Krajowego Planu Odbudowy w dwóch typach instytucji (żłobkach i klubach dziecięcych) wynoszą odpowiednio:

- dla jednostek samorządu terytorialnego do 35 862 zł (bez VAT),
- pozostałe podmioty – 12 410 zł (z VAT).

W przypadku środków z Funduszy Europejskich dla Rozwoju Społecznego dofinansowanie na tworzenie nowego miejsca opieki w żłobkach, klubach dziecięcych i u dziennych opiekunów wynosi dla wszystkich 12 410 zł.

Kwota dofinansowania na funkcjonowanie przez 12 i 24 miesiące jednego miejsca to ok. 837 zł miesięcznie.

WAŻNE TERMINY!

Wniosek należy złożyć drogą elektroniczną do 19 lutego 2023 r. Następnie do 17 marca urzędy wojewódzkie będą miały czas na ocenę wniosków. Ogłoszenie wyników przez ministra rodziny i polityki społecznej odbędzie się do 28 kwietnia 2023 r.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 88d2eb15d9

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Korpoludek zredukowany

Zwolnienie przez Google za jednym zamachem 12 tys. pracowników jest świetnym przykładem tego, co nazwałem w swojej książce „strollowaną rewolucją". Skandal nie polega na tym, że tak wielu ludzi posłano na bruk, ale na sposobie, w jaki to zrobiono. Pracownicy, niekiedy tyrający na wielkość i chwałę korporacji panów Page'a i Brina od 20 lat, o tym, że już nie są im potrzebni, dowiedzieli się, gdy rano nie mogli wejść do firmy, ich karty przestały działać, a ich telefony i komputery, po zwięzłej informacji o zredukowaniu, zostały trwale wylogowane z google'owej sieci. Byłeś i cię nie ma, jak u Orwella.

A przecież Google to nie byle korporacja. To korporacja nowego typu, rzekłbym, leninowska, której oficjalne motto brzmi: „Czynić dobro". Wspiera intensywnie wszystkie działania lewicy, walczy o klimat, o gender, „inkluzywność", BLM i LGBT, posyła swych pracowników na „parady równości" i tak dalej. W przeciwieństwie do „złych" korporacji przemysłowych jest jedną z tych „dobrych" (dobrze ilustruje ten mental hollywoodzka bajeczka o Pocahontas w kosmosie – „Avatar"). Z tym że cała „wrażliwość społeczna" i tej, i innych korporacji przejawia się w rzeczach, które zwiększają ich dochody albo służą im w inny sposób. W ten sposób np., że dzięki pieniądzom, które miliarderzy zainwestowali w „nową lewicę" (sam Soros, według amerykańskiego Capital Research Center, po roku 2000 zainwestował w lewicowe ruchy 21 mld dol.), dziś już zupełnie nie ma się kto ująć za wyrzucanymi na pysk korpoludkami, podobnie jak za innymi, de facto, niewolnikami plutokracji, za ofiarami gorączki metali rzadkich, za niszczonym środowiskiem i rujnowanymi państwami Trzeciego Swiata. Uwaga została skupiona na problemie „trzecich toalet", emisji CO_2 czy wspieraniu „kobiety z penisem", która tym penisem zgwałciła dwie kobiety starego wzoru i domaga się odbywania wyroku na oddziale kobiecym. A jeśli ktoś chciałby promować jakąś inną agendę, to nie znajdą się dla niego ani kasa, ani miejsce w mediach. Takie to było proste… ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Demagogia przemocy trwa

Słyszymy ciągle, że nie na miejscu jest zwracanie uwagi na parcelację polskiej suwerenności przez Unię Europejską, gdy na naszych granicach toczy się wojna. Stanowisko to jest logiczne, w logice – jak pisał w czasie niemieckiej okupacji Andrzej Trzebiński – „demagogii przemocy". Wojny bowiem mijają, przychodzi pokój, przemoc ustaje albo – zmienia formę.

Dziś jesteśmy pupilem koalicji wspierającej Ukrainę. Polubił nas nawet – i to przeciw Niemcom – Guy Verhofstadt. Dobrze przynajmniej, że przestał nam ubliżać w języku Putina o potrzebie denazyfikacji Polski. Dziś przestał, dziś to język Putina, choć nawet dziś nie wszyscy to słyszą. Języki zresztą żyją znacznie dłużej niż ludzie. Verhofstadtowa twitterowa polonofilia skończy się razem z wojną. Tymczasem Verhofstadt cały czas popiera w Strasburgu wszystkie antypolskie rezolucje, byle nie dotyczyły Ukrainy.

Stanowisko tych, którzy twierdzą, że możemy przestać przejmować się wrogością liberalnej klasy rządzącej w UE, przypomina jako żywo tych, którzy w 1942 r. (w czasach sojuszu polsko-sowieckiego, przed ujawnieniem list katyńskich) uznawali za absurd dywagowanie o zagrożeniu sowieckim, skoro codziennie na ulicach giną ludzie. Albo tych, którzy dwa lata później uważali, że zgromadziliśmy dostatecznie wielki kapitał moralny, by ochronić naszą niepodległość.

Po każdej wojnie porządek międzynarodowy określają zwycięzcy. To wobec nich – jeśli działamy razem – należy definiować własną politykę, od nich należy żądać szacunku dla naszych wartości. A przede wszystkim należy widzieć politykę, którą wobec nas prowadzą. Wszystkie cesje suwerenności, których dziś dokonujemy, z wojną się nie skończą. Będą za nie płacić nasze dzieci i wnuki, jak choćby za „uwspólnotowione" długi. Jeśli naprawdę chcemy wygrać wojnę, to uważajmy, byśmy nie przegrali pokoju. ©℗

eprasa.pl 88d2eb15d9

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Przegrać, opluć i uciec

Włoskie siły postępu zamiast przedstawić Włochom ciekawy pomysł na funkcjonowanie państwa zorganizowały nachalną, obrzydliwą kampanię nienawiści wokół hasła „Giorgia Meloni jest faszystką". I przegrały wybory z kretesem. Zgodnie z mentalnością ludzi, którym się wydaje, że są genialni i zawsze mają rację, dalej idą tą samą drogą. Ba! Twórczo ją ostatnio wzbogacili o nowy mafijny wątek.

W wielu szkołach średnich w godzinach lekcyjnych pokazywany jest film dokumentalny „Marsz na Rzym", z którego wynika, że Meloni to pogrobowczyni Duce. Skargi, że to nieuczciwe, postępowcy kwitują: „Patrzcie! Wprowadzają cenzurę".

Po 30 latach ujęty został mafijny boss Matteo Messina Denaro. Siłą rzeczy część chwały spadła na rząd Meloni. Znawca spraw mafijnych pisarz Roberto Saviano („Gomorra") oznajmił więc, że o tym, gdzie ukrywa się gangster, wiedziały nawet palermitańskie dzieci. Potem śpiewał w tym samym chórze z politykami opozycji pieśń o tym, że u źródła mafijnej potęgi leżą związki gangsterów z prawicą. Stwierdził nawet, że rząd go prześladuje (proces o zniesławienie Meloni, którą nazwał „bastardą"), bo on naprawdę walczy z mafią. Ba! Wielu lewicowych komentatorów i parlamentarzystów, wbrew ujawnionym faktom, bez cienia dowodu, sugeruje, że rząd dogadał się z cosa nostrą, która w zamian za bliżej nieokreślone przywileje podała karabinierom Matteo Messinę Denaro na tacy.

Rząd reformując upolityczniony wymiar sprawiedliwości, wytoczył wojnę nadużyciom dotyczącym podsłuchów. Więc postępowcy we wszystkich telewizjach i gazetach wbijają Włochom do głowy, że rząd Meloni chce znacznie ograniczyć stosowanie podsłuchów, bo to najskuteczniejsza broń w walce z mafią. Oczywiście każdy wie, że to humbug.

Na razie skutek tej hańby jest jeden: lewica w ostatnich sondażach wypadła najgorzej w powojennej historii: zaledwie 14 proc. Lud pracujący odwrócił się plecami, ale wygląda na to, że towarzysze po prostu inaczej nie potrafią. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 88d2eb15d9

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

MENTALNY ODLOT AGI

Dziś każdy może być, kim tylko zechce. Nie potrzeba studiów, kursów czy zaświadczeń. Wystarczy dostęp do Internetu. Skoro tak, to Bożenka z „Klanu", znaczy się Agnieszka Kaczorowska, postanowiła zostać „trenerką mentalną". Powie nam, jak żyć lepiej, wydajniej, weselej. Aby utwierdzić w zachwycie fanów i przekonać krytyków, że jest do tego stworzona, przeprowadziła motywacyjną transmisję na żywo. Oto próbka umiejętności Agi. – W dzisiejszych czasach złe zarządzanie swoim paliwem i energią życiową będzie nas zmuszało, żeby niestety strasznie często musieć przystawać na tankowaniu paliwa. Dobrze jest nauczać się zarządzać energią życiową – stwierdza gwiazda. Kaczorowska ma też bezcenną radę dla ludzi zmęczonych codziennością. – Jeśli jesteś zmęczona, zorganizuj tak swoją rzeczywistość, żeby odpocząć – wskazuje. Ktoś mógłby pomyśleć, że to takie bzdury, niby-mądrości. Nie, nie. Agnieszka jest nie w ciemię bita. – Chcę wam dawać narzędzia inspiracji i nadzieję, ale praca należy do was. Od samego słuchania lajwa nic się nie wydarzy – zaznacza rozsądnie. No, to do roboty!

TRUDNE ŻYCIE NA SALONACH

Może Bożenka mogłaby „skołczingować" Jessicę Mercedes? Wydaje się, że jedna z czołowych polskich „szafiarek" potrzebuje porad dotyczących „paliwa życiowego" itd. W rozmowie z Żurnalistą influencerka podzieliła się trudnym, umówmy się, doświadczeniem z zagranicznych wojaży. Była bowiem dyskryminowana z powodu polskiej narodowości. Tak przynajmniej twierdzi. – Kiedy mówię, z jakiego jestem kraju, na tych eventach światowych, to wiele razy miałam taką sytuację, że ktoś nagle przestaje ze mną rozmawiać, a np. cały wieczór ludzie ze mną rozmawiają, bawią się, robią zdjęcia, a później, jak słyszą, że jestem z Polski, to już bardziej wolą tańczyć z tymi niemieckimi blogerkami czy z tymi z UK. Myślą, że jak jestem z Polski, to jak im nic nie dam, ani kontaktów z markami, ani followersów, to po co? – zastanawia się Jessi. Nie wiem, nie znam się, nic nie sugeruję, ale może to nie Polska była problemem...

BEZGRANICZNA GŁUPOTA

Podobno człowiek uczy się na błędach, najskuteczniej na swoich własnych. Maksyma ta jednak nie ma zastosowania w przypadku Barbary Kurdej-Szatan. Całkiem niedawno „blondynce z Playa" udało się uniknąć odpowiedzialności za nazwanie Strażników Granicznych „mordercami" (sąd umorzył sprawę), a znowu wdała się w pyskówkę, w której nie szczędziła funkcjonariuszom ostrej krytyki. Tym razem zarzuciła strzegącym granicy polsko-białoruskiej funkcjonariuszom „brak honoru". „Honoru nie mają ci, którzy nie pomagają potrzebującym, i ci, którzy takie rozkazy dają. Kropka. [...] Ukraińcom pomagali wszyscy Polacy. Niestety na strefę granicy polsko-białoruskiej nikt wejść nie mógł oprócz straży. Tam wciąż umierają ludzie... na naszych ziemiach... Będziemy się tego wstydzić przez lata! [...] To, co się dzieje, jest wstrząsające..." – oburzała się Kurdej-Szatan w odpowiedzi na komentarz jednej z internautek. „W polskim lesie znajdują się osoby z przeróżnych krajów, uciekające od tamtych wojen... mające nadzieję, że w Europie znajdą schronienie. Tymczasem umierają, bo nikt im nie pomaga. Są wypychani z powrotem na stronę białoruską, gdzie grozi im niebezpieczeństwo, śmierć. Albo są zostawieni w mroźnym lesie. Jeden wielki koszmar" – użalała się dalej celebrytka. Dzielna obserwatorka próbowała wyjaśnić gwieździe, że migranci mogą być narzędziem w rękach Moskwy. „To wszystko, o czym piszesz, nie usprawiedliwia i nie tłumaczy narażania ludzi błagających o pomoc na śmierć!" – nie dawała za wygraną Kurdej-Szatan. Sprawy w sądzie tym razem pewnie nie będzie, ale Basia naprawdę powinna dać już sobie spokój.

MOPSA MOŻNA BYŁO OSZCZĘDZIĆ

Teraz coś z działu „durniej się nie da". Od wielu tygodni trwa medialny konflikt Kurzajewski & Cichopek kontra Smaszcz. W telegraficznym skrócie – Maciej Kurzajewski i Kasia Cichopek wykłócają się w mediach z byłą żoną dziennikarza, Pauliną. Po serii kontrowersyjnych wywiadów Smaszcz zniknęła z mediów społecznościowych. Niestety, tylko na chwilę. Wróciła w stylu, który będzie zapamiętany na długo. W jednym z nowych nagrań udostępnionych na Instagramie wystąpiła, tańcząc w samej tylko marynarce narzuconej na nagie ciało. Zapewne chciała, aby eksmężowi i jego nowej ukochanej szczęki opadły z zazdrości i wrażenia. Rzecz jasna, dorobiła do tego górnolotne ideolo. „Kobieta powinna być niezależna. Mieć własne życie, takie, które jest fundamentem bez żadnego faceta. Związek w każdej chwili może się rozpaść, lecz mimo tego ona będzie miała swoje miejsce, pieniądze, swoją pasję, samoświadomość, doświadczenie, kompetencje i życie" – filozofuje Paulina, odnosząc się do trudnych doświadczeń życiowych. Najgorsze, że w pewnym momencie „kobieta petarda" łapie uroczego mopsa i buja się z nim w rytm popowego hitu. Proszę wierzyć mi na słowo – przerażona mordka psa mówi wszystko. ©℗

eprasa.pl 88d2eb15d9

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, pamiętacie pewnie, jak Wam pisaliśmy o tzw. polskim mindsecie, który nie pozwala mieszkańcom tego kraju szerzej spojrzeć na perspektywy, jakie stwarza im współczesny świat, i kultywują model skąpego Polaka, który oszczędza na mieszkaniach, inwestycjach, samochodach, wakacjach, a czasem nawet na jachtach? No dobra, macie nas, my też zaoszczędziliśmy na jachcie, ale dzięki temu kupiliśmy ostatnio cukier i zatankowaliśmy za dyszkę.

No, a wracając do mindsetu, to pod tym kątem musimy rozpatrywać kolejne alarmujące zjawisko, a mianowicie to, iż gdzieś połowa Polek i Polaków w wieku 25–34 lata wciąż mieszka ze swoimi osoborodzicami.

Of kors nie chodzi nam o to, iż nie są samodzielni – skoro rodzice zdecydowali się na dzieci, to of kors mają obowiązek je utrzymywać i spełniać ich życzenia, a także odpowiadać za to, iżby miały gdzie mieszkać.

Nas z kolei martwi trochę, iż ta młodzież decyduje się mieszkać z często konserwatywnymi osobami płodzącymi, nierzadko w małych ośrodkach, przez co trwoni swój potencjał, nie może go w pełni uwolnić i poznać świata. Of kors, to jest ich wybór i byśmy nawet szanowali, no ale wiecie, mieszkanie z rodzicami często nie kosztuje nic, ale mieszkanie na skłocie również jest za darmo.

Znów: kwestia nastawienia, odwagi, wyruszenia w świat i poszerzenia horyzontów. Kto by chciał wracać do nudnych osób płodzących, jak raz zakosztuje atmosfery wolności, miłości i przyjaźni na skłocie? Dlatego apelujemy do młodych ludzi: odwagi, wyrwać się z Podkarpacia jest łatwiej, niż myślicie, ale wykorzenić podkarpackie myślenie jest już o wiele trudniej.

Natknęliśmy się przypadkiem na artykuł na temat tego, iż jądro ziemi obraca się jakoś inaczej, niż powinno, czy coś tam. Of kors mówimy to Wam na podstawie nagłówka, przecież nie czytaliśmy całego, to dla kuców z polibudy lol.

W każdym razie nawet na podstawie tak krótkiej informacji byliśmy w stanie wysnuć błyskotliwy wniosek, iż to cała ziemia kręci się wokół jądra. Nie mamy of kors na myśli jednego partykularnego jądra. To przenośnia wskazująca na to, iż nawet jeśli coś, co jest w środku kuli ziemskiej, nazywa się jądrem, to jesteśmy ze zwalczaniem patriarchatu niestety daleko z tyłu.

Zresztą sami wiecie, iż język jest opresywny, feminatywy są rugowane z przestrzeni publicznej, a tymczasem beztrosko rozmawiamy sobie o jądrze, które siedzi w ziemi.

Czemu nie możemy ponownie nazywać pewnych rzeczy, zjawisk i obiektów? Czy to, iż zostały one nazwane w chooy dawno temu, w jakimś średniowieczu czy preśredniowieczu, ma sprawiać, iż my w XXI w. mamy o nich myśleć tak samo? Gdzie postęp?

Dlatego my od dzisiaj będziemy promować nazwę „jajnik ziemi" lub „wagina ziemi", zwłaszcza iż to jest TA ziemia, a więc jest waginoosobą (lub waginoosobą z penisem, żeby nie było). Dlatego też nasz pomysł jest, jak widzicie, nie dość, że odpowiednio postępowy, to jeszcze logiczny i poprawny językowo – nawet według standardów patriarchalnych. Tak się robi ewolucję, nie dziękujcie. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Roboty!

Michał, popatrz, niesamowite!
Co takiego, Szymek?

No tu! Tutaj! Nie widzisz?!
Ale co? Ulica, facet jakiś się zatacza, tam babcia z pieskiem idzie, piesek kupę robi na trawnik... O, nie posprzątała nawet. Tam jakieś roboty drogowe znowu... Swoją drogą trzeba się jakoś do tych remontów w Warszawie ustosunkować.

No właśnie! Roboty! I co tam widzisz?
No co niby? Koparka, taka miniaturowa, pracuje...

Właśnie! Czy to nie jest fascynujące?! Dawaj telefon, muszę transmisję zrobić ludziom.
Czekaj, żeby nam sondaże się nie walnęły bardziej. Jaką trans...

Kochani, właśnie widzę coś niesamowitego. Stanąłem sobie na rogu ulicy, tu, w Warszawie, i nagle pojawiła się taka mała koparka. Wcześniej jej nie było, a teraz jest. Ja jestem w szoku! Czy wy to widzicie?! ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Sikorski walczył z Rosjanami kałaszem, PiS-owcy walczą z Sikorskim śliną".

TOMASZ LIS, *publicysta, na Twitterze*

eprasa.pl 88d2eb15d9

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Dzisiejsze wydanie naszej rubryki musimy zacząć od zauważenia sprawy oczywistej, ale niekoniecznie dostrzeganej. Otóż 10-lecie tygodnika „Do Rzeczy" to także 10-lecie naszej rubryki. Nigdy w życiu nie mieliśmy tak stałej roboty. Bo wszędzie indziej, jak wiecie, ciągle wyrzucają, przyjmują, redukują, reedukują i tak dalej. My tymczasem realizujemy naszą wersję programu „Rodzina na swoim".

Odpowiadając na cisnące się wszystkim na usta pytanie: Nie, dwaj panowie G. nie są rodziną. Aczkolwiek podczas tournée promocyjnego książki, którą razem napisali („Zawód: dziennikarz śledczy"), zdarzyło im się spać w jednym łóżku. Nie był to jednak nasz akces do wpływowych obecnie mniejszości, lecz wyraz pewnych kłopotów logistycznych.

Apropos wpływowych mniejszości: nie wiemy, czy wiecie, że w Polsce powstał pierwszy chór LGBTQI. Nazywa się Voces Gaudii i nawet powstał o nim film dokumentalny. Na chórach się nie znamy, ale na złośliwościach owszem. Dlatego doceniamy komentarz pewnego muzycznego krytyka, który gdy przekazaliśmy mu tę wiadomość, odrzekł: „Chór wyłącznie gejowski? A kiedy mieliśmy w Polsce jakiś wyłącznie hetero?".

Wracając do 10-lecia naszej rubryki – składamy hołd poprzedniemu Panu G., którym był Piotr Gursztyn, gdyż najpierw przez lata powstawała ona w składzie Gociek-Gursztyn. A dopiero potem Gociek-Gmyz. Tęsknimy za nim, gdyż jak na ikonę prawackich mediów miał zadziwiająco dobre wieści ze świata lewicy. My nie mamy aż tyle cierpliwości. No i przyznajcie: „Trzej Panowie G." też brzmiałoby bardzo postępowo oraz nowocześnie.

Mało kto wie, że gdy Pana Gursztyna już w rubryce nie było, a Pana Gmyza jeszcze nie było, odbył się na brakującego autora ogólnopolski casting w gronie tyleż wpływowym, co zamkniętym. W finale zaleźli się ludzie o wielkim doświadczeniu medialnym, łącznie z kierowaniem dużymi redakcjami. Ostatecznie jednak zdecydowano, że dyskwalifikuje ich brak litery „G" na początku nazwiska. No bo po co zmieniać dobrą nazwę, skoro już się przyjęła?

Zamykając jubileuszowe wspomnienia, chcemy zdementować informacje, jakoby dzwonili do nas czasem z polemikami polscy premierzy. Otóż jeśli dzwonili, to wicepremierzy. Nawet trzech różnych rządów. A także ministrowie i wiceministrowie. Niekiedy protestowali posłowie. Najgrzeczniejszą grupę stanowią natomiast europosłowie, którzy awanturują się stosunkowo najrzadziej. Wiadomo, Bruksela łagodzi obyczaje. Za te głupie 10 tysiów ojro miesięcznie też bylibyśmy dużo bardziej spokojni.

Zamykając zamknięcie jubileuszowych wspomnień: 10. rocznicę istnienia naszej rubryki uczcił agorowy portal Gazeta.pl. Pamiętacie, jak napisaliśmy tydzień temu o kłopotach Doroty Bawołek i kulisach jej zniknięcia z Polsatu? Otóż w ostatnich dniach sprawa stała się publiczna i Gazeta.pl zacytowała nas obszernie w tej sprawie, w dodatku – uwaga! – z podaniem źródła. Już to jest cudem. A drugim fakt, że nie użyła przy tym epitetów „faszystowski", „pisowski" lub „homofobiczny".

Skoro już o świecie mediów, to przejdźmy i do kultury. Jak wiecie od kilku lat światem teatralnym wstrząsają coraz to nowe historyjki o przemocy, mobbingu i molestowaniu w wykonaniu luminarzy naszych scen. Sprawę wielokrotnie opisywała niejaka Iga Dzieciuchowicz, przedstawiająca się jako feministka teatrolożka. Iga przygotowała nawet książkę, która miała podsumować całą sodomę i gomorę w najważniejszych polskich teatrach. Dziwnym trafem jednak książka się nie ukazała.

A było tak: książkę Dzieciuchowicz miało opublikować wydawnictwo o wdzięcznej nazwie Filtry. Zapowiedź nawet wisiała na stronie wydaw-

eprasa.pl 88d2eb15d9

nictwa. Ale została zniknięta. Choć nie do końca, bo – jak wiadomo – tak jak rękopisy nie płoną, tak nic nie znika z Internetu. Zapowiedź książki nadal wisi na Facebooku wydawnictwa, bo ktoś ją zapomniał zdjąć. Wszystko jednak wskazuje na to, że pozycja się nie ukaże A już na pewno nie w najbliższym czasie. Książka widniała też zapowiedziach wydawnictwa Agora. Z datą – jesień ubiegłego roku. Również bez efektu.

Jak utrzymują nasze wiewiórki, dyrektorka jednej z najbardziej okrzyczanych scen w Polsce udała się z problemem książki Dzieciuchowicz do warszawskiego ratusza. I wytłumaczyła urzędnikom, że szczera opowieść feministki teatrolożki może obryzgać Rafała Czajkowskiego vel Trzaskowskiego, jako że to właśnie jemu podlega wiele z tych teatrów, w których dochodziło do mobbingu tudzież molestowania w wykonaniu największych luminarzy naszych scen. Więc to nie molestatorom, lecz Rafciowi książka może zaszkodzić najbardziej. I to po tej wizycie zapowiedzi zniknęły. Na szczęście porobiliśmy screeny z fejsika. Także nie znikną.

Chcemy zdementować informacje, jakoby dzwonili do nas z polemikami premierzy. Jeśli dzwonili, to wicepremierzy

Na koniec ważne uzupełnienie. Ponieważ przeprowadziliśmy w sprawie teatralnych wypadków własne śledztwo, możemy stwierdzić, że wspierające Eine Totalopposition środowisko kultury z całą pewnością jest bardzo queerowe i postępowe. Jak ustaliliśmy, molestowanie, które miało miejsce w naszych teatrach, nie czyniło żadnych różnic w orientacji. Molestowano i homo, i hetero.

Skoro już o Eine Totalopposition. Szymon Płaczliwy Hołownia, szef Polski 2050, stwierdził, że szefowa koła Polski 2050 w Sejmie nie ma kompetencji. W sumie się zgadza. Jaki pan, taki kram. Szybko poprawiono, że chodziło tylko o kompetencje w kwestii wypowiadania się na temat stanowiska Polski 2050. Podtrzymujemy zdanie o kramie.

Uwaga! Sensacja rewelacja! Zgadzamy się z Donaldem! I to nie tym dobrym z Waszyngtonu, tylko ze złym, z Sopotu. Ogłosił on, że PiS, obniżając emerytury esbekom, dokonał „nieracjonalnego odwetu". Oczywiście, że tak. Racjonalny odwet polegałby na wsadzeniu ich do więzienia.

Niekoniecznie natomiast zgadzamy się z pomysłem Donalda, by naprawić domniemaną krzywdę esbeków, wypłacając im zwrot plus odszkodowanie za siedem lat wstecz. Uważamy, że powinno się w takim rozwiązaniu jeszcze wskazać, skąd te pieniądze wziąć. Oto więc nasza propozycja dla Donalda z Sopotu: „Zabierzemy Straży Granicznej, damy Służbie Bezpieczeństwa". W skrócie „z SG do SB". Prawda, że chwytliwe? ©℗

REKLAMA

eprasa.pl 88d2eb15d9

Czyżby klimat na prywatyzację lasów?

Na progu nowego roku doszło do skandalicznego głosowania w Brukseli, które dla polskich lasów może oznaczać katastrofę. Chodzi o przepchnięcie zmian odbierających Polsce kompetencje w sprawie lasów i oddanie ich Unii Europejskiej. Nie ma na to naszej zgody – mówią leśnicy

24 stycznia odbywało się posiedzenie unijnej Komisji Ochrony Środowiska Naturalnego, Zdrowia Publicznego i Bezpieczeństwa Żywności (ENVI). Jej zadaniem było zaopiniowanie wniosków Parlamentu Europejskiego w sprawie zmiany traktatów. Pośród nich była i ta, która wstrząsnęła leśnikami i wszystkimi miłośnikami lasów w Polsce. Okazało się, że Komisja przyklepała propozycję, by w artykule, w których jest mowa o tzw. kompetencjach dzielonych, obok różnorodności biologicznej, odbudowy i ochrony ekosystemów, w szczególności tych o największym potencjale wychwytywania i składowania dwutlenku węgla, oraz neutralności klimatycznej i przysto-

eprasa.pl 88d2eb15d9

sowania się do zmian klimatu, dodać… leśnictwo! A w skrócie: o lasach w Polsce zdecydują urzędnicy w Brukseli.

– Stanowczo mówimy temu: nie! Nigdy nie będzie naszej zgody na tego rodzaju zmianę traktatów, odbierającą Polsce kompetencje w tak ważnym obszarze – mówi wiceminister klimatu i środowiska Edward Siarka.

Zaniepokojony sytuacją Siarka, obok wiceministra sprawiedliwości Michała Wosia, który kierował resortem środowiska w 2020 r., Józefa Kubicy, dyrektora generalnego Lasów Państwowych, i Michała Gzowskiego, ich rzecznika, w pilnym trybie zorganizował konferencję prasową w Sejmie. Podczas spotkania z dziennikarzami padły słowa, że dzisiejsza opinia ma ogromną tradycję w krótkim czasie wyewoluować w dyktat służący szantażowaniu Polski. Wyzbycie się narodowej kompetencji odnośnie do leśnictwa stanie się jednym z tzw. kamieni milowych, którymi Unia pozbawia Polskę suwerenności.

Tymczasem polski model zarządzania lasami jest podziwiany na arenie europejskiej i ma ogromną tradycję. Lasy Państwowe, które sprawują pieczę nad 80 proc. obszarów leśnych, wkrótce zainaugurują jubileusz stulecia. Ten ogromny bagaż doświadczeń i przyszłość świetnie działającej organizacji stają teraz pod znakiem zapytania.

– Obawiamy się, że nasze wieki doświadczeń i tradycji trafią do kosza. Nie ma na to naszej zgody, by trzecią częścią Polski – bo tyle stanowią lasy – zarządzano spoza Polski – mówi Józef Kubica, dyrektor generalny Lasów Państwowych. – Cała ta sprawa oznacza też ubezwłasnowolnienie naszego kraju, odbywające się sukcesywnie i stopniowo poprzez oddawanie krajowych kompetencji w ręce Brukseli. Obowiązkiem leśników jest alarmowanie, gdy ten niebezpieczny proces dotyka naszej dziedziny.

Na konferencji w polskim Sejmie obok przedstawicieli rządu i Lasów Państwowych stanęła również Krystyna Szyszko, wdowa po śp. prof. Janie Szyszce, wieloletnim ministrze środowiska i niezłomnym obrońcy polskiej przyrody. Po przedwczesnej śmierci profesora, do której niewątpliwie przyczyniły się bezpardonowe ataki samozwańczych „ekologów", to jego żona pozostaje depozytariuszką spuścizny tego wielkiego wybitnego przyrodnika i wielokrotnego ministra środowiska.

– Z ogromnym niepokojem, z przerażeniem wręcz, dowiedziałam się, że znaleźli się posłowie polscy, którzy zagłosowali przeciwko Polsce! Żeby tak naprawdę pozbawić Polaków możliwości zarządzania jedną trzecią terytorium Polski – mówiła Krystyna Szyszko, którą ze względu na jej zasługi leśnicy tytułują profesorem. A chodziło jej m.in. o głos popierający oddanie lasów Unii, którego udzieliła Ewa Kopacz, była premier w rządzie PO-PZL.

Warto przypomnieć, że prof. Szyszko zwracał uwagę na ważny szczegół, który umyka uwadze wielu postronnych obserwatorów. Otóż lasy to nie tylko drzewa, rośliny, zwierzęta i grzyby. To ogromne terytorium, zbyt duże, byśmy mogli z niezmąconym spokojem patrzeć na to, co się może wydarzyć. Lasy w Polsce zajmują aż jedną trzecią powierzchni, czyli ponad 90 tys. km kw. Areał gruntów, na którym zmieściłyby się trzy państwa wielkości Belgii. A pod powierzchnią – wartościowe surowce, czyli gigantyczne pieniądze. I kto wie, czy pod powierzchnią unijnej polityki nie kryje się właśnie zainteresowanie kopalinami i gruntem. Na pewno, ze względów strategicznych, ten obszar powinien pozostawać w decyzji Polaków.

– Jeżeli my pozwolimy na to, żeby jacyś unijni urzędnicy zarządzali jedną trzecią terytorium kraju, to właściwie pozbywamy się naszej własności. A to my, wszyscy Polacy, jesteśmy właścicielami lasów – mówiła w Sejmie Krystyna Szyszko.

Przypomniała też ostrzeżenia męża, że lasy polskie są w permanentnym niebezpieczeństwie. Przekonywała, że obecną sytuację należy postrzegać jako element całego ciągu prób destabilizacji polskiego leśnictwa. Już pod koniec minionego stulecia rozpoczęła je próba uczynienia z Lasów Państwowych jednoosobowej spółki Skarbu Państwa, następnie odebrania im pieniędzy poprzez stworzenie funduszu reprywatyzacyjnego i włączenie do sfery budżetowej. Wszystko po to, by zdestabilizowaną instytucję odsunąć od zarządzania lasami, a te – sprywatyzować. Czy obecna próba nie wpisuje się w ten scenariusz?

– Obawiam się, że prof. Szyszko niestety miał rację. Krytykowana przez nas opinia ENVI układa się w ciąg logicznych zdarzeń. W obecnej sytuacji przychodzą na myśl słowa prezydenta Lecha Kaczyńskiego: „Najpierw Gruzja, później Ukraina, później być może Polska". Tak jak nie bagatelizujemy słów prof. Kaczyńskiego, tak nie bagatelizujmy słów prof. Szyszki – przestrzega dyrektor generalny Lasów Państwowych.

Lasy to koło zamachowe polskiej gospodarki. Razem z przemysłem drzewnym odpowiadają za kilka procent krajowego PKB. Mówi się, że Polska mebluje Europę, bo dzięki stabilnej podarzy drewna i mądrej polityce Lasów Państwowych polski przemysł drzewny zajmuje czołowe lokaty pod względem produkcji i eksportu. Cały sektor leśno-drzewny to ok. 400 tys. miejsc pracy, głównie na terenach niezurbanizowanych.

– Jak wygląda unijne zarządzanie lasami, pokazano nam w Puszczy Białowieskiej – mówi Edward Siarka.

Puszcza Białowieska, którą pielęgnowały pokolenia leśników i miejscowej ludności, w efekcie brukselskiej ingerencji wygląda niczym cmentarzysko martwych drzew. To dla leśnika, a także Polaka z krwi i kości bardzo bolesny widok. Do tego samego mogą prowadzić polityka klimatyczna i kierunek ochrony przyrody forsowany z Unii. Chodzi o wyłączenie w imię ochrony klimatu 10 proc. powierzchni lądowej Polski z jakiegokolwiek zagospodarowania, co w naszym kraju oznaczałoby pozostawienie jednej trzeciej lasów samym sobie. Tak jak samą sobie pozostawiono puszczę.

– Czy chcemy teraz, by w takie nekropolie jak Białowieża zamieniły się lasy, do których chodzimy na grzyby? Czy zależy nam na tym, by spadające martwe drzewa zagrażały bezpieczeństwu naszych dzieci? Aby tak jak Puszcza Białowieska wyglądała podwarszawska Puszcza Kampinoska czy lasy okalające Toruń, Gdańsk i inne miasta? – na koniec pyta retorycznie rzecznik Lasów Państwowych Michał Gzowski. – Nie gódźmy się na chybione pomysły eurokratów!

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 88d2eb15d9

Łukasz Warzecha

Inna droga Orbána

Rozważania Viktora Orbána to autentyczna, solidna refleksja nad globalnymi interesami, realizowanymi w ramach wojny na Ukrainie. W Polsce jej brakuje

W sprawie Ukrainy polskie media pokazują pod wieloma względami alternatywną rzeczywistość. W tej rzeczywistości Polsce zazdroszczą niemal wszyscy w Europie, bo wytycza kierunek w sprawie wojny na Ukrainie. W tej rzeczywistości to nie naciski ze strony USA, ale moralna presja Polski wymusiła na Berlinie ustępstwo w sprawie czołgów Leopard. W tej rzeczywistości jest tylko dwóch aktywnych hamulcowych: przede wszystkim Niemcy oraz na drugim miejscu zawiedziona miłość – Węgry. Od czasu do czasu pojawiają się jeszcze inni, jak kandydat na prezydenta Czech Andrej Babiš, ale to nic nieznaczące epizody.

Sytuacja tak jednak nie wygląda. Polska i Litwa to jeden biegun, ale na drugim jest także niemała liczba krajów: poza Niemcami i Węgrami także Chorwacja, Bułgaria czy Austria. Każdy z nich ma swoje powody, żeby zajmować inne niż Polska stanowisko.

WĘGIERSKIE PODEJŚCIE

W lutym ubiegłego roku, dwa tygodnie przed rosyjską inwazją na Ukrainę, Viktor Orbán wygłosił doroczne wystąpienie o stanie państwa, w którym powiedział: „Interesy Węgier są jasne: przede wszystkim trzeba uniknąć wojny. Tak nakazują nie tylko względy humanitarne, lecz także interes Węgier". Te dwa zdania pokazują uderzającą różnicę pomiędzy polskim a węgierskim podejściem.

Można by dojść do wniosku, że różnica w podejściu ma przede wszystkim źródło w znacznie większym niż w przypadku naszego kraju uzależnieniu Węgier od rosyjskich źródeł energii – ropy i gazu. Gdy zaczynała się wojna, Węgry importowały z Rosji 80 proc. gazu i 65 proc. ropy. Brak było możliwości

eprasa.pl 88d2eb15d9

Premier Węgier Viktor Orbán uważa, że wojna się skończy, gdy zechcą tego Stany Zjednoczone. Polski premier, Mateusz Morawiecki, wydaje się wierzyć, że dzięki wojnie znaczenie Polski w świecie może wzrosnąć FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

szybkiego odcięcia się od tych źródeł, na co naciskała Polska na poziomie unijnym.

Jeśli jednak spojrzeć na ten aspekt z innej perspektywy, to okaże się, że różnica pomiędzy skutkami wprowadzanych w końcu sankcji dla Polski i Węgier nie była tak wielka. Jeszcze w grudniu weszło w życie embargo na ropę importowaną z Rosji drogą morską, a od 5 lutego dojdzie do tego zakaz importu produktów ropopochodnych, a więc przede wszystkim oleju napędowego. Na polskich stacjach benzynowych może to oznaczać skokową podwyżkę cen tego paliwa. Czy jesteśmy na to przygotowani – trudno powiedzieć. Z rosyjskiego gazu wycofaliśmy się sami już kilka miesięcy temu, praktycznie zrywając kończący się i tak kontrakt z Gazpromem. Natomiast skutki wojny widzimy po prostu na rachunkach za energię czy ze stacji benzynowych – abstrahując już od tego, jak bardzo tę okazję do wykręcenia swoich wyników wykorzystały spółki Skarbu Państwa. Europa sama cierpi z powodu nałożonych na Rosję sankcji, a więc dzieje się dokładnie to, przed czym przestrzegali politycy Fideszu.

Potwierdza to sondaż przeprowadzony w krajach UE przez węgierski instytut badania opinii Századvég. Respondentów poproszono, aby wskazali, na ile zgadzają się z następującym stwierdzeniem: „Przywódcy UE nie powinni przyglądać się biernie, ale zrobić coś, aby powstrzymać rosnące ceny i zakończyć wojnę". Odpowiedzi „zgadzam się całkowicie" lub „raczej się zgadzam" w całej Unii wskazało w sumie 84 proc. pytanych, przeciwnego zdania było jedynie 11 proc. W krajach Grupy Wyszehradzkiej na „tak" było 83 proc. Tylko na Węgrzech było to 78 proc. Można oczywiście mieć zastrzeżenia do sposobu postawienia pytania (połączenie w jednym zdaniu sprawy walki z inflacją oraz zabiegania o pokój), jednak wynik nie jest wzięty z sufitu.

Jeszcze w połowie ubiegłego roku 83 proc. gospodarstw domowych w Hiszpanii, 80 proc. w Wielkiej Brytanii, 76 proc. we Włoszech, 66 proc. we Francji, 65 proc. w Danii i 62 proc. w Szwecji deklarowało w sondażu znacząco rosnące koszty życia, które od tamtego momentu jeszcze się przecież zwiększyły. Ogromną część tych wzrostów stanowią koszty energii. Nie chodzi więc

eprasa.pl 88d2eb15d9

o to – jakkolwiek to również odgrywa rolę – że Węgry są w szczególnym stopniu uzależnione od rosyjskich dostaw. Aczkolwiek w końcu opowiedziały się przecież za zaakceptowaniem mechanizmów sankcyjnych, uzyskując częściowe wyłączenie. Chodzi o to, że władze w Budapeszcie podeszły do skutków sankcji radykalnie inaczej niż władze w Warszawie. Politycy Fideszu uznali, że priorytetem przy podejmowaniu decyzji jest to, jak mocne będą ich skutki uboczne dla obywateli Węgier. Politycy Zjednoczonej Prawicy (a także większość polskiej opozycji z wyłączeniem Konfederacji) stwierdzili natomiast, że skutki uboczne dla polskiej gospodarki i obywateli nie mają znaczenia wobec uderzenia w Rosję. Jak to pięknie ujął lord Farquaad w „Shreku": „Zapewne wielu z was zginie, ale jest to poświęcenie, na które jestem gotów".

„POTRZEBUJEMY POKOJU"

Węgry przeprowadziły niedawno konsultacyjne referendum (poprzez głosowanie pocztowe), w którym wzięło udział 1,4 mln wyborców (spośród 8,2 mln zarejestrowanych), poświęcone sankcjom nakładanym na Rosję. Budapeszt chciał mieć mocny argument w postaci głosu obywateli w swoich rozmowach z Brukselą o reżimie sankcyjnym. O wynikach poinformował dyrektor gabinetu premiera Balázs Orbán, pisząc na Twitterze: „Bruksela musi zrewidować swoją politykę sankcyjną i znaleźć nową strategię. Potrzebujemy pokoju, a nie nowych sankcji!".

Węgierski polityk mógł tak napisać, opierając się na wynikach referendum. 97,5 proc. Węgrów opowiedziało się przeciwko sankcjom na ropę, 97,6 proc. – przeciwko sankcjom na gaz, 97,4 proc. przeciw sankcjom na surowce, 97,6 proc. przeciwko sankcjom na paliwo nuklearne (ma to znaczenie z powodu zbudowanej w oparciu o rosyjską technologię jedynej węgierskiej elektrowni jądrowej w Paks, właśnie rozbudowywanej), 97,3 proc. było przeciwko włączaniu do sankcji inwestycji w elektrownię w Paks, a 96,3 proc. opowiedziało się przeciw ograniczeniom w ruchu turystycznym. Nawet gdyby uznać, że w referendum udział wzięli przede wszystkim zwolennicy Fideszu, i uwzględnić, że było to tylko ok. 17 proc. uprawnionych, to i tak widać jak na dłoni radykalnie odmienny stosunek węgierskiego społeczeństwa do wojny oraz sankcji na Rosję niż w przypadku Polski.

Władze w Budapeszcie podeszły do skutków sankcji radykalnie inaczej niż władze w Warszawie

Nie da się tego wytłumaczyć odmiennym niż u nas przekazem władzy, bo przecież tak samo w naszym kraju jak na Węgrzech galopujące koszty życia i energii są tłumaczone wojną. Tyle że u Węgrów wywołuje to skrajnie odmienną reakcję niż u Polaków. Węgrzy chcą zakończenia wojny i odejścia od sankcji uderzających na razie co najmniej tak samo mocno w Europę jak w Rosję, podczas gdy Polacy marzą o „rzuceniu Rosji na kolana".

Oczywiście sankcje, w tym nałożenie w grudniu pułapu cenowego na ropę, uderzają w rosyjskie finanse. Jednak opublikowany niedawno raport agencji Bloomberg powinien był wylać na rozpalone głowy kubeł zimnej wody. Bloomberg wskazuje, że rosyjskie dochody ze sprzedaży ropy istotnie spadają, ale dodaje, że Rosja ma ogromną poduszkę finansową w postaci 45 mld dol. rezerw w juanach (to jedyna obecnie waluta pozwalająca Moskwie na międzynarodowe rozliczenia). Analitycy wskazali, że te rezerwy, które mogą być przeznaczone na działania wojenne, skończyłyby się w ciągu roku jedynie, gdyby cena baryłki ropy Ural spadła do ok. 25 dol. Analitycy CitiGroup postawili granicę na poziomie wyższym o 10 dol. W chwili pisania tego tekstu notowania rosyjskiej ropy stały na poziomie 56 dol. za baryłkę (dla porównania: ropa Brent notowała poziom 86 dol., a WTI – 81 dol.) i przy takim poziomie, zdaniem Bloomberga, Rosja jest w stanie finansować wojnę przez kolejne trzy lata. Jeśli zaś rosyjska ropa osiągnęłaby średnioroczne notowania na poziomie 60 dol. za baryłkę, to pozwoliłoby to nawet na uzupełnienie rezerwy finansowej. Nałożony w grudniu przez UE na rosyjską ropę ogranicznik finansowy w wysokości 60 dol. zadziałał na jej cenę, wymuszając obniżkę, ale może to być efekt krótkotrwały.

O ile węgierski premier wydaje się brać takie wyliczenia pod uwagę, o tyle w Polsce nie przyciągają one większej uwagi. Nie zaprezentowano przecież nigdy żadnej racjonalnej oceny skutków sankcji dla Rosji i dla polskiej gospodarki. Jednocześnie premier Węgier wyraźnie stwierdzał – m.in. w wywiadzie dla węgierskiej telewizji w okresie świątecznym – że Węgry wspierają Ukrainę, widzą swój interes w przetrwaniu suwerennego państwa ukraińskiego oraz w tym, aby Rosja nie stanowiła zagrożenia dla Europy. Zarazem jednak – podkreślił Orbán – Budapeszt nie ma interesu w rezygnacji ze wszystkich swoich ekonomicznych związków z Rosją z powodu konfliktu.

STRATEGICZNE POSTRZEGANIE

Kolejna ważna różnica pomiędzy Węgrami a Polską, a zarazem istotny element węgierskiego podejścia do wojny na Ukrainie to jej strategiczne postrzeganie. Viktor Orbán wskazywał wiele razy, że „wojna się skończy, gdy Stany Zjednoczone będą chciały, aby się skończyła". Takie stwierdzenie wynika z postrzegania wojny na Ukrainie jako „wojny zastępczej", jak nazywano podobne konflikty przed 1989 r. Budapeszt widzi ten konflikt jako rozgrywkę pomiędzy USA a Chinami z pewnym udziałem Rosji, w której Ukraina jest jedynie podwykonawcą strony amerykańskiej. Z takiego widzenia wojny wynika przekonanie, że Europa, a w szczególności jej mniejsze państwa, są przez Amerykanów traktowane całkowicie instrumentalnie. Orbán podkreśla również w swoich kolejnych wystąpieniach zagrożenie dla światowej stabilności i pokoju, jakie wypływa z potencjalnej eskalacji wojny. „Era zagrożenia" – to wyrażenie często przez niego używane. Dlatego rząd w Budapeszcie uważa, że brak jakichkolwiek prób doprowadzenia do pokoju ze strony Brukseli czy Waszyngtonu jest niebezpieczny, i domaga się, żeby właśnie w tę stronę skierować wysiłki.

Tutaj znów istnieje ogromna różnica z podejściem polskim, w szczególności obozu władzy, który wydaje się widzieć w wojnie na Ukrainie nie niebezpieczeństwo, ale szansę. W tle są utopijne, ale coraz głośniej wypowiadane wizje jakiejś formy przymierza Warszawy z Kijowem,

eprasa.pl 88d2eb15d9

a także przeświadczenie, że dominująca pozycja Niemiec w Europie została trwale zniszczona ich własną polityką, za czym pójdzie istotne wzmocnienie sojuszu Polski ze Stanami Zjednoczonymi. To myślenie opiera się na wielu czysto hipotetycznych założeniach, a przede wszystkim zakłada bezzasadnie jedynie korzystny dla nas wariant rozwoju konfliktu na Ukrainie. W polskiej debacie sekowani są nawet ci, którzy jak najcieplej wyrażają się o wsparciu dla Ukrainy, ale śmią wyrazić zdanie, że pokój jest jednak lepszy niż wojna.

Pamiętać przy tym trzeba, że w obu państwach inny walor mają zaszłości historyczne. Do Ukrainy należą od końca drugiej wojny światowej polskie Kresy wraz z arcypolskim Lwowem, ale w naszym kraju nigdy nie wzbudzało to żadnego resentymentu. Po 1989 r. nie było żadnego poważnego i istotnego ruchu politycznego w Polsce, który kwestionowałby przynależność dawnych wschodnich terenów II RP do państwa ukraińskiego. Inaczej wygląda to na Węgrzech, gdzie wciąż bardzo żywym politycznie tematem jest rozbiór państwa węgierskiego w wyniku traktatu z Trianon z 1920 r., wskutek którego Węgry straciły dwie trzecie terytorium i ludności – część na rzecz obecnej Ukrainy. Bardzo istotne politycznie są mniejszości węgierskie mieszkające w krajach, w których granicach dziś leżą terytoria dawnych Węgier, czyli właśnie na Ukrainie czy na Słowacji. Trudno porównywać wagę, jaką rząd Fideszu przywiązuje do losu węgierskiej diaspory w tych państwach, do tego, jak polski rząd traktuje polską mniejszość na Ukrainie, Białorusi czy na Litwie. W Polsce jest to temat marginalny i politycznie w zasadzie całkowicie nieistotny. Natomiast sprawa wołyńskiego ludobójstwa jest przez polskie władze traktowana jako niewygodny temat do wyciszenia.

„Konfrontacja pomiędzy dwoma blokami jest zawsze zła dla tych, którzy na mapie leżą pomiędzy nimi" – powiedział podczas szczytu ekonomicznego w Davos węgierski minister spraw zagranicznych Péter Szijjártó. Szef MSZ Węgier mówił również o tym, że do 2021 r. można było mieć nadzieję na korzystną dla obu stron współpracę pomiędzy Wschodem a Zachodem. Te wypowiedzi również są charakterystyczne dla węgierskiej, pragmatycznej linii, całkowicie obcej polskiej polityce.

NIE TYLKO WĘGRZY

Węgry nie są jednak same w Europie Środkowej. W grudniu chorwacki parlament niewielką większością głosów odrzucił możliwość szkolenia symbolicznej liczby ukraińskich żołnierzy w tym kraju w ramach misji, której najważniejszy ośrodek mieści się, jakże by inaczej, w Polsce. Przy tej okazji prezydent Zoran Milanović, wywodzący się z Socjaldemokratycznej Partii Chorwacji, oznajmił, że jego kraj nie zamierza mieszać się do wojny oraz że brak jest podstaw, aby uznać Ukrainę za sojusznika, skoro nie jest ona ani członkiem Unii Europejskiej, ani NATO.

W połowie stycznia Milanović postawił sprawę jeszcze ostrzej. Stwierdził, że Chorwacja nie będzie „niewolnikiem" w amerykańskiej wojnie zastępczej, która może się zakończyć chaosem. Jego zdaniem zaangażowanie NATO i sankcje nic nie dadzą. Występując na konferencji prasowej w Vukovarze, chorwacki prezydent powiedział, że brak jakiegokolwiek precyzyjnego planu i sposobu zakończenia konfliktu oznaczają, że całość skończy się „jak Afganistan". Wskazał także, że w latach 90. sankcje nie złamały nawet Slobodana Miloševicia.

Stanowisko parlamentu w sprawie szkolenia ukraińskich żołnierzy oraz opinie prezydenta są w opozycji do mniejszościowego rządu. Tworząca go koalicja ma w 151-osobowym parlamencie 68 miejsc.

Ciekawie wygląda sytuacja w Bułgarii, gdzie znaczna część elity ma prorosyjskie skłonności. Niedawne śledztwo dziennikarskie niemieckiego dziennika „Die Welt" wykazało, że w pierwszej fazie wojny ówczesny premier Bułgarii Kirył Petkow udzielił Ukrainie wsparcia sprzętowego, ale nie bezpośrednio, na zasadzie współpracy pomiędzy rządami, lecz skrycie, aby nie wywołać napięć politycznych. Siedemdziesiąt procent Bułgarów obawiało się wciągnięcia ich kraju do wojny i sprzeciwiało się głębszemu zaangażowaniu w pomoc dla Ukrainy.

Stanowisko Sofii w tej sprawie zmieniło się dopiero w grudniu, gdy parlament oficjalnie zgodził się na przekazywanie broni na Ukrainę. Wiąże się to także z uzyskanym w końcu uniezależnieniem rafinerii Łukoilu w Burgas od rosyjskiej kwatery głównej naftowego koncernu. Rafineria przechodzi teraz na ropę z innych źródeł niż rosyjskie, zatem możliwości nacisku Moskwy na Bułgarię znacznie zmalały. Nie potwierdziły się jednak informacje, jakoby Sofia miała przekazać Ukrainie kilkanaście samolotów szturmowych Su-25, natomiast ugrupowanie Odrodzenie skierowało w sprawie decyzji parlamentu wniosek do bułgarskiego sądu konstytucyjnego.

Interesująca jest także sytuacja na Słowacji, która przez lata była kojarzona z obozem bliższym Rosji. Sondaż z września ubiegłego roku pokazywał, że w sumie ponad połowa respondentów życzyła sobie zwycięstwa Moskwy w wojnie z Kijowem, a jedynie jedna trzecia – wygranej Ukrainy. Osiemnaście procent nie miało zdania. Wbrew tym nastrojom wydaje się iść polityka słowackiego rządu, który zapowiada gotowość do przekazania Kijowowi myśliwców MiG-29, zaraz po uzgodnieniach z Waszyngtonem, oraz natychmiast 30 czołgów T-72, o ile otrzyma w zamian inne z Zachodu.

Każde z państw, zajmujących bardziej zniuansowane stanowisko wobec wojny na Ukrainie, ma swoje powody. Czasem historyczne, czasem nawet korupcyjne czy związane z interesami elity, czasem wynikające ze znużenia społeczeństwa kosztami wojny. Wśród różnych opinii, analiz i stanowisk zdecydowanie najdojrzalej i najpełniej prezentują się te węgierskie – również na tle stanowiska polskich przywódców. Owszem, są w naszym kraju publicyści czy analitycy, którzy starają się ogarnąć całość sytuacji, nawet jeśli ostatecznie dochodzą do wniosków wspierających rządową narrację. Próżno jednak szukać echa głębszych rozważań w wystąpieniach prezydenta Andrzeja Dudy czy premiera Mateusza Morawieckiego. To wyłącznie płaskie, propagandowe komunikaty, obliczone na wzbudzenie emocji.

W zestawieniu w z nimi – a nawet bez tego tła – rozważania Viktora Orbána to autentyczna, solidna refleksja nad globalnymi interesami, realizowanymi w ramach wojny na Ukrainie, przefiltrowana przez twarde stawianie na pierwszym miejscu interesów własnego państwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 88d2eb15d9

FOT. ARTUR HOJNY/SE/EAST NEWS

Z gen. Waldemarem Skrzypczakiem, byłym dowódcą Wojsk Lądowych
rozmawia Łukasz Zboralski

Ukraina nie pokona Rosji

ŁUKASZ ZBORALSKI: Niemcy jednak się przełamały i wyślą czołgi Leopard na Ukrainę. To na pewno dobra wiadomość dla broniących się przed Rosją. Tylko jak bardzo dobra? Bo oprócz niemieckich czołgów Polska wyśle prawdopodobnie tyle samo, czyli 14, Norwegia – osiem. Gdyby wszystkie kraje UE dysponujące tymi czołgami oddały po kilkanaście sztuk, to Ukraińcy zyskaliby może 150. Tymczasem, jak wynika z aktualnych szacunków, Rosjanie mają w sumie ponad 12,5 tys. czołgów, a Ukraińcy niecałe 2 tys. Zatem mimo wsparcia wielu krajów – i 31 czołgów Abrams, które dadzą też USA – wciąż istnieć będzie ogromna dysproporcja. Co więc te darowane leopardy zmienią?

GEN. WALDEMAR SKRZYPCZAK: Na pewno nie zmienią losów tej wojny. Natomiast w znaczący sposób wpłyną na działania wojsk ukraińskich na wybranych kierunkach – tam, gdzie Ukraińcy chcą dokonać rozstrzygnięć. Bo leopardy są głównie bronią ofensywną. I prowadzi się nimi głównie bardzo skuteczne działania w natarciu. W związku z tym, gdyby np. 150 takich czołgów trafiło do ukraińskiej armii, ta mogłaby ich użyć jako pięści pancernej tam, gdzie chce dokonać kontrofensywy. Moim zdaniem do tego celu powinny im te czołgi służyć.

Rozumiem. Jednak jeśli mamy do czynienia z taką dysproporcją sił, to czy nie jest właściwie tak, że m.in. tymi czołgami Ukraińcy kupią sobie tylko trochę czasu? Bo na jeden ich czołg przypadać będzie wciąż sześć czy siedem czołgów, które może wykorzystać Rosja.

Oczywiście, statystyka jest dla Ukraińców nieubłagana. Natomiast zauważę, że nie walczą wyłącznie czołgami. Są jeszcze inne systemy, dzięki którym tę przewagę ilościową, którą w czołgach mają Rosjanie, można zniwelować i ich pokonywać. Myślę tutaj o lotnictwie uderzeniowym, o dronach uderzeniowych i wszystkich innych środkach, które mogą walczyć równie dobrze z rosyjskimi czołgami, jak leopardy czy abramsy.

Gdy pan wspomina o lotnictwie, to ja znów zaglądam w dane. Tym bardziej że Ukraińcy od miesięcy proszą inne kraje o przekazanie im myśliwców F-16. I znów statystyka wygląda przygnębiająco. Rosja ma obecnie w sumie ponad 4 tys. samolotów, z czego blisko 800 myśliwców bojowych. Ukraina ma zaledwie nieco ponad 300 samolotów, z tego ok. 70 myśliwców. Jeśli Rosja będzie po kolei wykorzystywać swój militarny potencjał, to obawiam się, że niestety bardzo trudno będzie jednak myśleć o jakimkolwiek zwycięstwie Ukraińców, którego tak bardzo wszyscy oczekujemy.

eprasa.pl 88d2eb15d9

Myślę, że pana obawy podzielają wszyscy, którzy obserwują, co się dzieje na Ukrainie. Ja także. Faktem jest, że Rosja ma przewagę ilościową w lotnictwie i po raz kolejny statystyka jest nieubłagana. Jednak trzeba też zauważyć, że tej przewagi rosyjskiego lotnictwa nie było widać w poprzednich operacjach. Po pierwszych, wydawało się dużych działaniach w początkowej fazie wojny w wyniku oddziaływania lotnictwa ukraińskiego i ich obrony przeciwlotniczej udział rosyjskiego lotnictwa został bardzo ograniczony. Zwłaszcza obrona powietrzna armii ukraińskiej bardzo się zagęściła, a to naprawdę mocno ogranicza możliwości manewrowe rosyjskiego lotnictwa.

Statystycznie lotnictwo Rosji jest bardzo liczne, ale trzeba mieć jeszcze tu duży poziom sprawności technicznej. Oni tej dużej sprawności nie mają.

Ukraina dostanie jeden amerykański system rakietowy Patriot. Podobno wkrótce mają już zacząć się szkolenia ukraińskich żołnierzy w jego obsłudze. Jednak będzie to jeden system. Tymczasem siły w tym zakresie wyglądają następująco: Rosja ma prawie 4 tys. ruchomych wyrzutni rakiet, Ukraińcy mają ich niecałe 650. Czyli w każdym elemencie, który porównuję, to jest mierzenie się Dawida z Goliatem, i to mimo że Dawid dostaje jakieś wsparcie. Im dłużej będzie trwać wojna, tym bardziej może to być widoczne.

Na pewno Ukraina nie pokona Rosji w taki sposób, w jaki byśmy tego od niej oczekiwali. Wydaje się, że Rosja ma przewagę i tę przewagę wykorzystuje. Właśnie ją odbudowuje. Bo po porażce operacji specjalnej oraz po lecie, w którym praktycznie wszystkie bitwy armia rosyjska przegrała, Ukraińcy nie podjęli żadnych wielkich ofensyw, które mogłyby przełamać obronę rosyjską i zakończyć definitywnie pewien etap tej wojny, np. dochodząc siłami głównymi w kierunku Morza Azowskiego i przecinając to połączenie lądowe Krymu z Rosją. Zamiast tego Ukraińcy uderzali w sposób rozproszony na północy, na południu. Nie osiągnęli żadnego strategicznego efektu. To moim zdaniem był błąd. No, ale nie my decydujemy o tym w Polsce, tylko dowódcy ukraińscy.

Od października Rosjanie odbudowywali armię, przeszli z gospodarki pokojowej na wojenną, zwielokrotnili dostawy sprzętu dla armii, przeprowadzili mobilizację. I stopniowo uzyskują przewagę militarną nad Ukrainą. Rozstawili tysiące zapór minowych, które ograniczają manewrowanie wojsk ukraińskich. Moim zdaniem to absolutnie nie pozwoli Ukrainie przeprowadzić jakiejkolwiek ofensywy, przynajmniej w najbliższej perspektywie. I to raczej Rosjanie właśnie przygotowują się do dużej ofensywy.

Ukraińcy mają świadomość, że potencjał, który Rosjanie rozbudowują, wielokrotnie przerośnie ich potencjał. A wojnę wygrywa nie ten, który ma mniejszy potencjał, tylko z reguły ten, który ma większy.

Inna sprawa, że moim zdaniem Rosjanie zredefiniowali swoje cele strategiczne. Na początku wojny chcieli zdobyć Kijów i przejąć władzę przez jakiegoś namiestnika. Z takich celów zupełnie zrezygnowali, bo wiedzą, że nie da się rządzić narodem, który Rosjan nienawidzi. Dlatego celem Rosjan jest obecnie opanowanie wschodniej części Ukrainy.

Dużo powiedzieliśmy o sprzęcie, który obie strony mają do dyspozycji. Jednak sprzęt musi ktoś jeszcze obsługiwać. Liczbę Rosjan zdolnych do służby wojskowej szacuje się obecnie na 46,6 mln, Ukraińców – na 15,5 mln. Rocznie wiek poborowy w Rosji osiąga 1,3 mln osób, na Ukrainie – 480 tys. To tylko potencjał, a przecież w wojnie walczy o wiele mniej ludzi. Tych ludzi Ukraińcy więcej nie będą mieli. Nikt ich tak jak sprzętu nie dostarczy...

Żołnierze ukraińscy są zdeterminowani, mają ducha bojowego, a Rosjanie na dobrą sprawę nie wiedzą, o co się biją, pomijając tych, którzy są dobrze opłacani – tacy jak elitarne formacje, m.in. Grupa Wagnera.

Oczywiście z problemem braku ludzi Ukraina się zderzy. Zbyt dużo Ukraińców w młodym wieku z tego kraju wyjechało. Są dziś poza zasięgiem Zełenskiego i armii ukraińskiej. Jeśli nie zostaną podjęte jakieś działania, które tych ludzi, emigrantów, by zmobilizowały i przygotowały do działania na terenie Ukrainy – myślę tu o szkoleniu i formowaniu do działań wojskowych emigrantów w krajach, w których przebywają, czyli w Polsce, we Francji i w innych – to Ukraińcy będą mieli problem z potencjałem ludzkim w tej wojnie. Bo proszę pamiętać, że nie wszyscy mężczyźni muszą tam być i będą żołnierzami. Kraj musi funkcjonować. Tam są przemysł, rolnictwo, wiele innych gałęzi strukturalnych, które pozwalają Ukrainie jako tako funkcjonować. Nie można ich wszystkich wcielić do wojska.

Ukraińcy stoją więc przed problemem kolejnych mobilizacji. I mam wrażenie, że to są decyzje najbliższych tygodni. Jeśli Ukraińcy takich decyzji nie podejmą, to Rosjanie, uzyskując przewagę, będą gromić ich wojska. Trzeba mieć świadomość, że nasze chęci, wsparcie dla Ukrainy to za mało, żeby oni na polu walki wygrywali.

Niedawne relacje polskich posłów z Ukrainy wskazują, że Rosjanie nie liczą się z tym, ilu ludzi wyślą na śmierć. Idą najpierw poborowi, potem więźniowie, a potem dopiero wyspecjalizowane jednostki, które mogą lekko przesuwać linię fontu.

To są pewnie opowieści z frontu. Ja się z tym absolutnie nie zgadzam. Patrzę, co dzieje się w rejonie Bachmutu, Kremiennej i na południu od Zaporoża. Widać wyraźnie, że działania Rosjan są koordynowane, planowane i dobrze zorganizowane. Jestem doświadczonym żołnierzem i potrafię odróżnić zorganizowane działania od tego, co widzą na polu walki media czy spekulanci.

Z naszej rozmowy nijak nie wynika ciekawa przyszłość tej wojny. Czy może jesteśmy coraz bliżej momentu, o którym mówi coraz więcej analityków, że jedynym, co Ukraina może obecnie ugrać, jest jakieś rozsądne zawieszenie broni?

Tak jak wspominałem, późnym latem Ukraińcy mieli szansę na dokonanie dużego zwrotu zaczepnego. Nie zrobili tego. Ta szansa uciekła.

Jeśli Rosjanie przeprowadzą dużą ofensywę, którą planują – a moim zdaniem pójdą od północy z połączonymi działaniami od wschodu, czyli po zajęcie Donbasu i Zaporoża – to Ukraińcom nie pozostanie nic innego, jak obronić Naddnieprze. Będzie potrzebne silne wsparcie Zachodu, by osiągnąć zawieszenia broni. Innej szansy nie widzę. Zawieszenie broni – jeśli do niego dojdzie – na pewno nie będzie wynikało ze słabej pozycji armii rosyjskiej na Ukrainie, a może być wyłącznie presją wielkiej dwójki, czyli Chin i Stanów Zjednoczonych, które zmuszą Putina, by przystał na zawieszenie broni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 88d2eb15d9

Bartłomiej Sienkiewicz (z lewej) i Paweł Kowal

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

„Jastrzębie" opozycji

Jan Fiedorczuk

Frakcja „jastrzębi" forsuje narrację, zgodnie z którą wojna rosyjsko-ukraińska jest dla Polski „wojną o wszystko". Taka logika prowadzi do dalszej eskalacji konfliktu, co być może leży w interesie samej Ukrainy, jednak na pewno nie jest zgodne z polską racją stanu

Na łamach „Do Rzeczy" opisywałem już poczynania frakcji „jastrzębi", czyli grupy polityków i intelektualistów, którzy – najkrócej mówiąc – postulują maksymalne zaangażowanie Polski w wojnę za naszą wschodnią granicą. Dotychczas analizowałem jednak działania przedstawicieli obozu rządzącego oraz ogólnie rozumianej prawicy – wszak to prawica dzierży władzę, a zatem i na nią winna w pierwszej kolejności spadać krytyka za to, że ryzykuje polski los. Nie można jednak sprawy „jastrzębi" zawężać wyłącznie do partii rządzącej. Ta mentalność przekracza podziały partyjne i jest obecna również po stronie opozycyjnej.

HISTORYCZNE KOMPLEKSY

Punktem wyjścia jest utożsamienie polskiego interesu z interesem ukraińskim. To tutaj, w utracie tego fundamentalnego rozróżnienia, należy szukać genezy wszelkich negatywnych zjawisk – od cichej akceptacji probanderowskiej polityki Kijowa, poprzez wdrażanie mechanizmów uderzających w polskie rolnictwo, aż do apogeum absurdu w postaci pomysłu budowy federacji polsko-ukraińskiej. Oczywiście za konkretne działania to władza ponosi odpowiedzialność, jednak brak presji ze strony partii opozycyjnych jest wart odnotowania. W temacie Ukrainy PO czy Lewica mówią właściwie jednym głosem z PiS, licytując się jedynie, w której partii zasiada więcej „agentów Putina".

– Wojna na Ukrainie jest także naszą wojną i Ukraina walczy dziś także za nas – powiedziała niedawno Joanna Kluzik-Rostkowska podczas rozmowy nad projektem dotyczącym abolicji dla Polaków walczących w wojsku ukraińskim bez wymaganej zgody.

Ta wypowiedź, jakoby wojna na Ukrainie była „naszą wojną", a Ukraińcy „walczyli za nas", to nie tylko frazes, chwytliwy bon mot wymyślony na konieczność konferencji prasowej, lecz także wyraz pewnej logiki, która zapanowała nad Wisłą.

Wcześniej w podobnym tonie wypowiadali się przecież choćby Donald Tusk czy Bartłomiej Sienkiewicz. Z kolei Radosław Sikorski przekonywał niedawno, że Polska stała się państwem frontowym i „hipotetycznie polem walki". Jeszcze dalej poszedł Paweł Kowal, stwierdzając, że konflikt rosyjsko-ukraiński jest dla Zachodu „wojną o wszystko". Sam Sikorski dał wyraz tej logice, gdy po eksplozji Nord Stream 1 i 2 opublikował tweet, w którym dziękował USA za rzekome wysadzenie obu gazociągów, co było już wprost graniem na rozlanie się konfliktu na państwa NATO, czyli w pierwszej kolejności na Polskę.

Problem w tym, że jeżeli chcemy być konsekwentni i poważnie traktujemy hasła pokroju „to nasza wojna" albo „nie ma wolnej Polski bez wolnej Ukrainy", to pozostaje nam już tylko jedno – dalsza eskalacja konfliktu i uznanie ataku na Ukrainę za równoznaczny z atakiem na Polskę. W tej perspektywie całkiem racjonalnie brzmią słowa byłego szefa MSZ Witolda Waszczykowskiego, który przekonany, że dojdzie do starcia z Rosją, zachęcał swego czasu do jak najszybszego zaangażowania się w konflikt. Skoro

eprasa.pl 88d2eb15d9

i tak mamy wziąć udział w wojnie, to przynajmniej wybierzmy miejsce i czas – mówią „jastrzębie". Zapominają jednak o podstawowym fakcie: to właśnie nie jest nasza wojna, a Ukraińcy walczą o Ukrainę, a nie Polskę.

„Jastrzębie" traktują Ukrainę jako bufor, jako już niemal część Polski, podczas gdy naszą najlepszą barierą obronną jest sojusz północnoatlantycki. Przyjmując perspektywę rosyjsko-centryczną, w której o naszym bezpieczeństwie więcej decydują Ukraińcy niż sojusznicy z NATO, mimowolnie dowodzimy, że nie przełamaliśmy naszych historycznych kompleksów i mentalnie nadal bardziej uważamy się państwo Europy Wschodniej niż członka skonsolidowanego świata Zachodu.

„JASTRZĘBIE" PLATFORMY

Wśród opozycyjnych „jastrzębi" czołowe miejsce zajmuje niewątpliwie Paweł Kowal – niegdyś wiceminister spraw zagranicznych w rządzie Jarosława Kaczyńskiego, następnie rozłamowiec z Polska Jest Najważniejsza, a obecnie polityk postępowy i tolerancyjny startujący z list KO. W swoich wystąpieniach Kowal prezentuje wojnę na Ukrainie jako konflikt moralny, gdzie to obóz dobra pod przywództwem Joe Bidena – którego poseł KO porównuje do Mojżesza (sic!) – ściera się z siłami zła. Oczywiście ciężko o bardziej czytelny podział na oprawców i ofiary, niż ma to miejsce w obecnej wojnie, jednak polityka międzynarodowa nie polega na stawianiu moralnej gradacji, tylko na mierzeniu sił i trosce o dobro swojej wspólnoty.

Zdaje się, że Kowal zatracił to rozróżnienie, a interesy Ukrainy i Polski traktuje już niemal jak tożsame pojęcia. Wyrazem tego były jego skrajnie nieprzemyślane tezy dotyczące de facto stworzenia quasi-federacji polsko-ukraińskiej, które wyartykułował na łamach Onetu.

Skoro wojna jest oceniana w perspektywie tego, kto ma rację, a nie tego, gdzie leżą polskie interesy, to nie może być mowy o wygaszaniu konfliktu – Rosję należy pokonać, gdyż jest to moralne. Kowal sam przyznaje, że naczelnym celem Zachodu powinno być pozbycie się Putina z Kremla i podjęcie rozmów z jego następcą. Bez względu na to, kim on może być. – Niektórzy mówią, że to będzie ktoś bardziej radykalny. Nawet jeśli przejściowo byłby to ktoś taki, to trudno. Chodzi po prostu o to, żeby to już nie był Putin – przyznał w rozmowie z „Super Expressem". Problem w tym, że o ile przez Ukrainę taka zamiana może być postrzegana jako opłacalna, o tyle już w interesie Polski nie leży, by prezydenta Rosji zastąpił ktoś „bardziej radykalny". Bez względu na to, czy Kijów na tym zyska czy straci.

Zarówno Kowal, jak i inne „jastrzębie" ignorują to, że Zachód będzie dążył do porozumienia z Putinem, dlatego też jedyny scenariusz brany przez nich pod uwagę zakłada przygotowanie „nowej Norymbergi" dla rosyjskiego prezydenta Władimira Putina, szefa dyplomacji Siergieja Ławrowa oraz ich najbliższych współpracowników. Ten stan rzeczy bodaj najlepiej oddała Monika Olejnik, która w rozmowie z Bronisławem Komorowskim stwierdziła, że „oczami wyobraźni widzi Putina w więzieniu". Problem polega na tym, że „oczami wyobraźni" nie prowadzi się polityki.

Skoro eskalacja konfliktu jest jedynym akceptowalnym scenariuszem, to zrozumiałe jest, że „jastrzębie" chcą uzbroić Ukraińców w broń ofensywną, która umożliwi atakowanie celów znajdujących się na terytorium Rosji. Skoro Kreml ma zostać rozbity, a Putin w kajdanach zaciągnięty przed sąd, to ciężko będzie to osiągnąć bez militarnej klęski Moskwy. Najdalej poszedł w tym kierunku Radosław Sikorski, który niedwuznacznie sugerował przekazanie Ukrainie przez Zachód broni atomowej. Postulat był już na tyle groźny dla państwa polskiego, że nawet politycy opozycji dystansowali się od słów europosła. O ile już obecna sytuacja jest dla Polski wielce ryzykowna, o tyle przeniesienie konfliktu na poziom wojny nuklearnej byłoby dla nas śmiertelnie niebezpieczne. Mówimy o dwóch państwach, z którymi Polska graniczy, i trzeba być pozbawionym jakiejkolwiek wyobraźni, aby nie widzieć w tej sytuacji zagrożenia.

W sukurs mężowi pospieszyła jednak jakiś czas później Anne Applebaum, w której ocenie „strach przed wojną nuklearną wypaczył ukraińską strategię Zachodu". W swoim tekście z „The Atlantic" Applebaum powtarza serię sztandarowych frazesów, jakoby każdy, kto podważa sens dalszej eskalacji konfliktu, de facto kierował się strachem przed Putinem. Jej zdaniem Kreml straszy użyciem broni nuklearnej, aby „państwa NATO bały się bronić Polski, bały się bronić Ukrainy, bały się w ogóle w jakikolwiek sposób sprowokować lub rozzłościć Rosję". Sęk w tym, że NATO, czego Applebaum i reszta „jastrzębi" zdają się nie zauważać, nie ma żadnych konkretnych zobowiązań wobec Ukrainy, podczas gdy wobec Polski, członka sojuszu, już owszem. Dlatego też w żywotnym interesie Kijowa leżą eskalacja konfliktu i jak największe zaangażowanie Zachodu po swojej stronie. Postawa Zełenskiego jest w pełni racjonalna i nie można mieć do niego pretensji, każdy przywódca na jego miejscu postępowałby podobnie. Ukraina z radością powitałaby otwartą wojnę NATO – Rosja, czego widzieliśmy przedsmak w postaci pierwszych reakcji Kijowa na tragedię w Przewodowie.

EMOCJE WYGRAŁY

Najbardziej niepokoi praktyczne wyjałowienie polskiej debaty publicznej, gdzie zapanowała koncepcja dalszej zabawy w wojnę. Jakiekolwiek niuansowanie obecnej sytuacji i wskazywanie na ryzyko, które Polska na siebie ściąga, spotyka się z infantylnymi zarzutami „strachu" przed Putinem albo agenturalności. Opozycja gra tutaj na jedną melodię z rządem, nie mając siły postawić się opinii publicznej. Rozum polityczny wyparował, wygrały emocje.

Można jedynie niczym Katon o zniszczeniu Kartaginy powtarzać do upadłego – polska racja stanu nie jest tożsama z ukraińską, a pomoc dla bohaterskich obrońców nie może być bezwarunkowa ani udzielana kosztem polskiego bezpieczeństwa.

Przez ostatnie 300 lat na polskich ziemiach toczyły się wszelkie możliwe wojny, regularnie dziesiątkując nasz potencjał demograficzny, intelektualny, instytucjonalny i ekonomiczny. Fakt, że nie potrafiliśmy zbudować nowoczesnego państwa, był tyleż zawiniony rozbiorami, co tym, że po serii powstań i rzezi nie było z czego budować takiego państwa. Po raz pierwszy od wieków mamy sposobność stabilnego rozwoju i powinniśmy robić wszystko, aby ta koniunktura trwała jak najdłużej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 88d2eb15d9

Z Szymonem Szynkowskim vel Sękiem, ministrem ds. Unii Europejskiej
rozmawia Ryszard Gromadzki

Gryzienie trawy

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/ REPORTER

RYSZARD GROMADZKI: W sprawie uruchomienia dla Polski funduszy w ramach Krajowego Planu Odbudowy funkcjonują dwie przeciwstawne narracje. Według wersji rządowej, którą pan także firmuje jako negocjator, który prowadził rozmowy z Komisją Europejską, te pieniądze są Polsce absolutnie niezbędne do odbudowy gospodarki po kryzysie spowodowanym przez pandemię. Zdaniem polityków Solidarnej Polski to bardzo drogi kredyt, który przez następne dekady spłacać będą kolejne pokolenia Polaków, do tego wiążący się z bardzo poważnymi koncesjami na rzecz instytucji unijnych ograniczających naszą suwerenność. Co pan wynegocjował ze swoimi partnerami w Brukseli?

SZYMON SZYNKOWSKI VEL SĘK: Sprecyzujmy najpierw rządowe stanowisko w tej sprawie. W czasie kryzysu każde dodatkowe środki możliwe do pozyskania do budżetu państwa z zewnątrz są środkami podwójnie – jeśli nie potrójnie – ważnymi w porównaniu z normalnymi czasami. Po pierwsze, kryzys niesie ze sobą konieczność zwiększenia wydatków w różnych obszarach. W naszym przypadku jest to przede wszystkim konieczność zwiększenia wydatków na obronność. Dla porównania: w 2015 r. wydawano na obronność nieco ponad 30 mld zł, w ubiegłym roku było to już niemal 60 mld, w tym roku wydamy już ponad 100 mld zł. Te liczby pokazują, z jaką skalą wyzwań budżetowych mamy do czynienia w związku z koniecznymi wydatkami związanymi z naszym bezpieczeństwem i niestabilną sytuacją geopolityczną, która jest dla wszystkich oczywista.

Na szczęście to, że Polska musi się zbroić, nie budzi żadnych kontrowersji. Oczywiście agresja rosyjska na Ukrainę nie spowodowała konieczności zwiększenia wydatków jedynie w tym obszarze. Choćby ponoszenie nakładów na uniezależnienie energetyczne naszego kraju czy wsparcie obywateli wobec inflacji wywołanej w Europie przez Putina tworzą zupełnie nową skalę wyzwań budżetowych.

Po drugie, w czasie kryzysu trudniej jest pozyskać tanie pieniądze z rynku. W związku z tym dostęp do tanich środków zewnętrznych, nawet do taniego kredytu, jest bezcenny. Z tego punktu widzenia te środki, w tak dużej skali – a mówimy tu o kwocie 22,5 mld euro w części grantowej i kolejnych kilkunastu miliardach w części pożyczkowej – są bardzo ważne dla budżetu. Ale nie jest

eprasa.pl 88d2eb15d9

też tak, że bez tych środków budżet kraju się zawali. Bez nich niewątpliwie znacznie trudniejsze będzie zniwelowanie ryzyka, a także nie będzie możliwe skorzystanie z wielu szans, wykorzystanie polskich atutów, które sprawiają, że jeżeli będziemy mieli dobre koło zamachowe gospodarki, to pozwoli nam ono nie tyle szybko stanąć na nogi – bo polska gospodarka mocno stoi na nogach – ile będziemy mogli szybciej ścigać kraje zachodnie, niż miało to miejsce w ostatnich latach. A takie właśnie, uważam, powinniśmy mieć ambicje.

Wreszcie po trzecie – pozyskanie środków z KPO wysyła niezwykle ważny, pozytywny sygnał na rynki finansowe i zachęca do inwestowania w Polsce. Multiplikuje więc pozyskane środki zewnętrzne. Samo zbliżenie się do kompromisu i pozyskania środków sprawiło, że rynki zareagowały natychmiast – złotówka się umocniła, spadło oprocentowanie obligacji. Podsumowując, budżet bez pieniędzy z KPO się nie zawali, ale byłoby wielką niefrasobliwością i brakiem odpowiedzialności niesięganie w kryzysie po tanie środki, które nam się należą. Trzeba jeszcze wykonać stosunkowo niewielki wysiłek, żeby te środki pozyskać.

Wrócę do swojego pytania. Powiedział pan, że część środków z KPO, o które zabiega Polska, to relatywnie tani kredyt. Zupełnie inną ocenę sytuacji ma Solidarna Polska, a jeszcze ostrzej kwalifikuje to Konfederacja. Według tych ugrupowań ceną za pieniądze z KPO będzie znaczące podwyższenie składki, którą Polska płaci do unijnej kasy, a także wiele innych kosztów, które uderzą dotkliwie w Polaków, np. w postaci wzrostu podatku od pojazdów z silnikami spalinowymi czy dodatkowego opodatkowania wszystkich umów cywilnoprawnych. Jak jest w istocie?

W istocie jest tak, że są to najtańsze w tej chwili środki dostępne na rynku. Gdyby tak nie było, to nie korzystałyby z tego mechanizmu wszystkie kraje członkowskie Unii Europejskiej. Najpierw by go nie stworzyły, a później by z niego nie korzystały. Jeśli się nie ma zaufania do liczb i faktów, które przedstawiamy, to argumentem powinno być to, że byłoby czymś dziwnym, że w przypadku wszystkich krajów Unii jest to rozwiązanie atrakcyjne, a w przypadku Polski miałoby być ono skrajnie niekorzystne. To po pierwsze.

Po drugie, my w warstwie kapitałowej, z części grantowej w kwocie 22,5 mld euro, jak się szacuje – jeżeli założymy prognozowany uśredniony wzrost gospodarczy w Polsce – spłacimy maksymalnie 15 mld euro kapitału. Do tego dojdą odsetki. Zaznaczmy odsetki, które są najbardziej atrakcyjne z dostępnych w tej chwili na rynku. Dodajmy, że dokładna wysokość tych odsetek jest w tej chwili bardzo trudna do wyliczenia. Ekonomiści się tego nie podejmują, bo nawet w wypadku zwykłego kredytu opartego na WIBOR w perspektywie 30 lat ostateczna wysokość odsetek jest bardzo trudna do przewidzenia. Tym bardziej jest to trudne w przypadku tak skomplikowanego mechanizmu, z którym mamy do czynienia, gdzie zależy to od wielu czynników związanych z sytuacją rynkową. Niemniej, skoro pożyczkę gwarantuje cała Unia Europejska, to instytucje finansowe dają w takiej sytuacji najlepsze oprocentowanie dostępne na rynku, bo ryzyko tego, że Unia Europejska znajdzie się w jakimś kryzysie graniczącym z bankructwem, jest w zasadzie zerowe.

Konia z rzędem temu, kto przekładając to choćby na rynek kredytów hipotecznych, uzna za nieatrakcyjne rozwiązanie, w którym pożyczy na kupno mieszkania pół miliona złotych, a z tego pół miliona w części kapitałowej musi spłacić 330 tys. zł, dostaje najlepsze gwarantowane odsetki na rynku, a termin pierwszej raty przypada za pięć lat! Taki kredyt każdy wziąłby z pocałowaniem ręki i nie mnożyłby raczej wątpliwości, że kupno mieszkania będzie się wiązało z zapłaceniem podatku od czynności cywilnoprawnych, nieruchomości, opłat za prąd czy z kosztami związanymi z przewidywanym remontem łazienki. Bilans jest bowiem bezsprzecznie pozytywny, czego nie zmieniają konieczne wydatki czy inwestycje. Właśnie tak jest w przypadku Krajowego Planu Odbudowy. To jest bardzo atrakcyjna formuła, a ta długoterminowa pożyczka zacznie być spłacana dopiero po 2028 r. przez 30 lat. Wszystkie kraje z niej ochoczo korzystają i byłoby nieodpowiedzialne, gdyby nie skorzystała z tego Polska.

Powiedział pan, że potrzebny jest jeszcze stosunkowo niewielki wysiłek, żeby Polska pozyskała pieniądze z KPO. Czy to oznacza, że pieniądze z KPO trafią do Polski przed wyborami? Czy to nie przesadny optymizm, biorąc pod uwagę stan relacji między Warszawą a Brukselą, alergię Komisji Europejskiej na rząd PiS?

Myślę, że to jest realna perspektywa, bo z tzw. kamieni milowych, czyli warunków ustalonych dla uruchomienia tego mechanizmu, Polska wypełniła już kilkadziesiąt, a patrząc procentowo, ponad 90 proc. z nich. Zostało do spełnienia raptem kilka z tych kamieni. Niektóre z nich są czysto techniczne i będą wkrótce wypełnione.

Z rzeczy poważniejszych największą przeszkodą są wątpliwości Komisji Europejskiej związane z wypełnieniem „kamienia milowego" dotyczącego wymiaru sprawiedliwości. Wynikały one przede wszystkim z rozbieżnych interpretacji. Staliśmy na stanowisku, że wypełniamy nasze zobowiązania. Komisja Europejska miała w tej sprawie odmienne zdanie.

Zostało mi powierzone zadanie, żeby w tej sprawie dokonać przełamania impasu, który blokował nam możliwość złożenia wniosku o płatność. Takiego przełamania udało się dokonać w rozmowach z Komisją Europejską przy zapewnieniu warunku zachowania ram konstytucyjnych i ustrojowych. Teraz decyzja odnośnie do tych rozwiązań należy do Sejmu, Senatu i prezydenta. Nie są to na pewno rozwiązania wymarzone z naszego punktu widzenia, z punktu widzenia Solidarnej Polski, a także pozostałej części Zjednoczonej Prawicy. Jednak na pewno są to rozwiązania, które nie niosą ze sobą niebezpieczeństw, o których mówią koledzy z Solidarnej Polski. W tych rozwiązaniach zostały zachowane wszystkie bezpieczniki ustrojowe, które sprawiają, że można bez naruszenia konstytucji, bez szkody dla wymiaru sprawiedliwości przyjąć je i zbliżyć się do środków z Krajowego Planu Odbudowy. Widać to zresztą, obserwując linię krytyki projektu ze strony radykalnej części opozycji.

Drugą kwestią do rozwiązania, mniej złożoną, jest sprawa przyjęcia tzw. ustawy wiatrakowej. Rozpoczęcie procesu legislacyjnego dotyczącego tej ustawy jest planowane na najbliższym posiedzeniu Sejmu. Mam nadzieję, że z wypełnieniem tego zobowiązania nie będzie problemu.

Przyjęcie kontrowersyjnej noweli ustawy o Sądzie Najwyższym jest warunkiem sine qua non uruchomienia funduszy z KPO?

eprasa.pl 88d2eb15d9

Wypełnienie tego „kamienia milowego" jest warunkiem sine qua non uruchomienia Krajowego Planu Odbudowy. Akurat ten „kamień milowy" należy do kategorii szczególnych. W nomenklaturze brukselskiej używane jest określenie „superkamieni milowych", a brak ich spełnienia wyklucza możliwość złożenia wniosku o płatność w sposób, który pozwalałby na jego pozytywne rozpatrzenie.

Ze strony kilku ważnych polityków PiS słyszeliśmy ostatnio deklaracje, że nie ma mowy o spełnieniu wszystkich „kamieni milowych", których domaga się od nas Komisja Europejska. W czym rzecz?

Moim zadaniem jest skupienie się na działaniach pozwalających na dojście do sytuacji, w której będą istniały warunki do złożenia pierwszego wniosku o płatność. Na tym się koncentrujemy. Mam wrażenie, że część opozycji, a także sprzyjająca opozycji część mediów – absolutnie nie zaliczam do tej grupy państwa tygodnika – skupia się dużo bardziej gorliwie niż sama Komisja Europejska na egzekwowaniu od rządu bardzo szczegółowej mapy realizacji poszczególnych „kamieni milowych" i sprawdzaniu, czy aby na pewno wszystkie zostały przez rząd w sposób odpowiedni, a najlepiej z wyprzedzeniem i naddatkiem, wypełnione.

Jesteśmy w kontakcie z Komisją Europejską. Postępujemy w tej sprawie w trybie spokojnym, ale progresywnym, i nie przewiduję tutaj – jeśli pokonamy te dwie trudności, na które wskazałem – problemu ze złożeniem pierwszego wniosku o płatność, choć, niestety, widać, że część opozycji, co uważam za skandaliczne, stara się na różne sposoby to utrudnić. Trzeba zaznaczyć, że dla części „kamieni milowych" przewidziany jest późniejszy termin realizacji niż pierwszy wniosek o płatność, nie ma więc żadnego powodu, by na siłę wyprzedzać oczekiwania Komisji Europejskiej. Kwestią teraźniejszą jest zrealizowanie tych zobowiązań, które mamy w tym momencie do wypełnienia.

Jak pan odpowie na zarzut, który jest stawiany rządowi i panu jako polskiemu negocjatorowi, że ustalenia z Komisją Europejską, na które już się zgodziliśmy, uderzają mocno w polską suwerenność?

Ten zarzut w sensie publicystycznym bardzo atrakcyjnie brzmi na poziomie ogólnym. Ale kiedy zejść do konkretów i zapytać, co w istocie jest problemem tych rozwiązań, które proponujemy, i które z tych rozwiązań miałoby polską suwerenność naruszać, ja takiej jasnej odpowiedzi nie usłyszałem. Takiej, która by mnie nie tylko przekonała, lecz także zrodziła wątpliwości co do niektórych zaproponowanych rozwiązań…

Są stawiane zarzuty odnośnie do wątpliwości konstytucyjnych, jeśli chodzi o kwestię przeniesienia spraw dyscyplinarnych sędziów do NSA. Dysponujemy opiniami konstytucjonalistów, którzy mówią o tym, że jest to zgodne z konstytucją. Przyjmuję, że są też wyrażane inne opinie. Ostatecznie jednak o tej sprawie, jeśli będzie taki wniosek, rozstrzygnie Trybunał Konstytucyjny, a przyjęte ustawowo rozwiązania mają domniemanie konstytucyjności. W związku z tym zakładam, że nie o ten element chodzi tym, którzy mówią o utracie suwerenności.

Nie chodzi o to, by narzekać, że przegrywamy mecz, bo sędzia jest nieobiektywny, a boisko nierówne

Pojawiają się również wątpliwości dotyczące prerogatyw prezydenta. Nie podzielam ich, bo funkcjonujące już dziś rozwiązanie „testu niezależności", wprowadzone ustawą prezydencką w czerwcu ubiegłego roku, nie było przedmiotem tego rodzaju ocen i nie słyszałem, by było krytykowane samo w sobie jako przejaw ograniczenia suwerenności. My nie wprowadzamy tego rozwiązania, a jedynie je uszczegóławiamy, umożliwiając składanie wniosków o przeprowadzenie tego testu w specjalnie określonych okolicznościach, mających skutek tylko w odniesieniu do danych spraw składom sędziowskim. Nie mamy tu więc do czynienia z sytuacją kwestionowania statusu sędziów czy prerogatywy prezydenckiej dotyczącej powołania sędziów. Gdyby takie rozwiązanie zostało zaproponowane w toku negocjacji z Komisją Europejską, nigdy bym się na nie zgodził, bo była to jedna z tych nieprzekraczalnych granic. Ta granica nie została jednak przekroczona, a zaproponowane rozwiązanie jest bliższe funkcjonującemu od lat rozwiązaniu w Kodeksie postępowania karnego, dotyczącemu wyłączania sędziego. W art. 41 i 42 k.p.k. jest opisany tryb, w którym można ze względu na wątpliwości co do niezależności sędziego zastosować jego wyłączenie w danej sprawie. Innych zarzutów pod adresem tej ustawy, poza zarzutami natury bardzo ogólnej, nie słyszałem. Odsyłam tych, którzy mają tego rodzaju wątpliwości, do bardzo szczegółowej lektury projektu ustawy, żeby samemu wyrobić sobie zdanie, czy jest ona rzeczywiście zagrożeniem dla suwerenności Polski. W moim przekonaniu absolutnie nie.

Czy może pan jednoznacznie zaprzeczyć, że wśród warunków, którymi Komisja Europejska obwarowała uruchomienie funduszy z KPO dla Polski, jest kwestia liberalizacji ustawy aborcyjnej i zwiększenie zakresu praw dla środowiska LGBT?

Tak, mogę temu jednoznacznie zaprzeczyć: nie ma takich warunków czy „kamieni milowych".

Premier Morawiecki, komentując list otwarty ministra sprawiedliwości do prezydenta w sprawie KPO, przyznał, że Polska podczas negocjacji z Komisją Europejską była traktowana w sposób niesprawiedliwy, niekiedy skrajnie niesprawiedliwy. Bez partnerstwa trudno o sprawiedliwy układ…

Niejednokrotnie w minionych latach mieliśmy takie poczucie podczas rozmów z Komisją Europejską. Tyle że zadaniem polityków nie jest wyłącznie obserwacja i komentowanie rzeczywistości, a już na pewno nie ograniczanie się do narzekania i załamywanie rąk. Miarą odpowiedzialnej polityki jest współkształtowanie rzeczywistości i skuteczne oddziaływanie na nią. Taki cel przyświecał premierowi, który odważnie zdecydował o podjęciu próby rozmów z Komisją Europejską i tym razem powierzył to zadanie mnie. Nie chodzi o to, żeby narzekać, że przegrywamy mecz, bo sędzia jest nieobiektywny, a boisko nierówne, ale o to, by, jak to się mówi w nomenklaturze piłkarskiej, „gryźć trawę" i grać mimo różnych przeciwności o finalne zwycięstwo, nawet jeśli warunki są bardzo trudne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 88d2eb15d9

Rysy na szkle

Piotr Semka

Dotąd się wydawało, że nawet jeżeli do wspólnej listy z PO nie dojdzie, to będą być może tylko dwie listy na opozycji. Po niespodziewanej wolcie Hołowni w sprawie głosowania nad ustawą o Sądzie Najwyższym nic nie jest już pewne

Wciąż nie cichnie wewnętrzna dyskusja w obozie opozycji o tym, dlaczego posłowie Polski 2050 wyłamali się ze wspólnego głosowania w sprawie ustawy o Sądzie Najwyższym. Przypomnijmy, że wówczas liderzy partii opozycyjnych ustalili, że wstrzymają się od głosu, aby umożliwić PiS przeprowadzenie ustawy i odmrożenie pieniędzy z KPO. A jednak w ostatniej chwili przedstawicielki i przedstawiciele ugrupowania Szymona Hołowni zagłosowali przeciw.

Jedni widzieli w tym decyzję o wykreowaniu Polski 2050 na najbardziej pryncypialnie antykaczystowską partię i wykorzystanie okazji do zbicia punktów wśród twardogłowych przeciwników obecnego rządu. Inni dostrzegali w tym chęć Szymona Hołowni do wyprowadzenia Tuska z równowagi i pokazania, że lider Polski 2050 nie będzie politycznym małym chłopcem, który da się wziąć za rączkę wszechmocnemu Donaldowi.

Tak czy inaczej Hołownia zabłysnął po głosowaniu wieloma wypowiedziami, w których wręcz kpił z pozostałych przywódców opozycji. Wypływa to zapewne z poczucia pewności siebie polityka, który niedawno po śmierci Benedykta XVI całkiem serio rozprawiał o tym, na których polach teologicznych zgadzał się ze zmarłym papieżem, a na których nie. Ktoś, kto uważa, że na polu wiary katolickiej jest jak równy z jednym z najznakomitszych umysłów Kościoła, może równie dobrze patrzeć na liderów PO, PSL czy Lewicy jak na politycznych dyletantów.

BEZBARWNA ZIMA DONALDA TUSKA

Liberał z Gdańska nie ma ostatnio dobrej passy. Wystąpienie Szymona Hołowni przeciw uzgodnionemu planowi pozostałych polityków opozycji wyjaskrawiło porażkę idei jednej listy, którą lansował lider PO. Dosyć gwałtowne deklaracje polityków tej partii deklarujących, że to „koniec zajmowania się tematem jednej listy", były być może emocjonalną reakcją na woltę Hołowni, ale jednocześnie uwypukliły brak sprawczości byłego „króla Europy".

Wręcz groteskowe wrażenie robiły niedawne wezwania Tuska, by Hołownia zdecydował się na jednoznaczną decyzję w sprawie wspólnej listy. Niegdysiejszy gwiazdor TVN, używający zjadliwej formy „kochany Donaldzie" do pouczania lidera PO, że jest jeszcze dużo czasu na decyzje, wyjaskrawiał porażkę Tuska. Propagandziści Platformy starają się złagodzić tę porażkę swego lidera, ogłaszając wpuszczenie na listy PO kandydatów Ruchu Samorządowego „Tak dla Polski". Ale to swoista koalicja platformersów samych ze sobą – wielu działaczy Ruchu to ukryci lub faktyczni platformersi, jak np. Jacek Karnowski z Sopotu.

Na koalicję z Lewicą na razie się nie zanosi, ale niektórzy politycy tej formacji sprawiają wrażenie, że już są udziałowcami w spółce, którą stanowić ma przyszły rząd opozycji. Anna Maria Żukowska z Lewicy po niedawnych kompromitujących wypowiedziach Radosława Sikorskiego o rzekomym rozważaniu przez PiS aneksji części Ukrainy już teraz stawia wyraźny postulat, że nie widzi Radosława Sikorskiego w przyszłym rządzie opozycji.

Osobnym problemem dla Tuska jest to, że znalazł dosyć mało zgrabnego obrońcę w postaci Tomasza Lisa. Były szef „Newsweeka" zaczął odgrywać rolę jakiegoś nieformalnego rzecznika lidera PO. I – co gorsze dla Tuska – pełni ją w sposób groteskowy. Niegdysiejsza gwiazda telewizji próbowała w ataku wściekłości obrazić Hołownię, przekręcając jego nazwisko na „Kałownia". Lis pouczył go dziaderskim tonem, żeby znał swoje miejsce w szeregu i nie spoufalał się z liderem PO.

Mniejsza z tym kłopotem Donalda Tuska, który wyhodował sobie specjalne relacje z publicystą, pokazując się z pluszową figurką rudego lisa w trakcie jednego ze swoich przemówień, gdy znanego dziennikarza zwalniano z jednego z tygodników. O wiele poważniejszym

eprasa.pl 88d2eb15d9

problemem Tuska jest coraz wyraźniej formułowana w mediach teza, że jest on dla swojej partii obciążeniem.

Z niedawnego sondażu IBRiS wynika, że Rafał Trzaskowski wygrywa z Donaldem Tuskiem, gdy pyta się potencjalnych uczestników wyborów o to, kto po ewentualnym zwycięstwie opozycji powinien tworzyć rząd. Prezydent Warszawy bardziej podoba się wyborcom PO jako kandydat na premiera niż lider tej partii. Jak wskazuje sondaż, wśród zwolenników opozycji Tuska jako przyszłego premiera widzi 22 proc., a Trzaskowskiego aż 41 proc respondentów. Wśród wyborców niezdecydowanych różnica okazała się być jeszcze bardziej wyrazista. Tuska w roli premiera akceptuje tylko 2 proc. respondentów, Trzaskowskiego aż 37 proc.

Tusk ma problemy z własną partią. Nie bardzo wiedział, jak zareagować na wyskok Radosława Sikorskiego, twierdzącego, że PiS mógł skusić się na propozycję rozbioru Ukrainy

Młodszy o prawie 20 lat od Tuska Hołownia nie musi się spieszyć. Jego partia na pewno wejdzie do Sejmu z wynikiem ok. 10 proc. Dla kogoś, kto chce startować w najbliższych wyborach prezydenckich, to wygodna pozycja FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Komentatorka „Rzeczpospolitej" Zuzanna Dąbrowska pisze: „Prezydent Warszawy bardziej podoba się wyborcom jako kandydat na premiera niż lider PO. Zanim jednak misja tworzenia rządu zostanie powierzona opozycji, trzeba najpierw wygrać wybory. A tę misję do wykonania ma Tusk". To prawda. Tyle że nikt nie przeprowadza ciężkiej kampanii tylko po to, by po wygranej oddać główny polityczny łup komuś, kto niespecjalnie wykazuje się pracowitością. Zwolennicy Trzaskowskiego wskazują, że ma czystsze konto polityczne, że nie obciążają go antysocjalne decyzje z lat 2007–2014, takie jak podwyższenie wieku emerytalnego, i to nie na niego skierowana jest krytyka „Wiadomości" TVP. Trzaskowski dobrze oceniany jest przez wyborców PO jako gospodarz Warszawy, a jednocześnie cały czas przypomina o sobie, organizując Campus Polska Przyszłości i stałe lokalne imprezy pod nazwą Campus Academy, którymi zajmuje się Sławomir Nitras.

Zwolennicy Tuska irytują się, że młodszy od ich szefa polityk podróżuje w polskiej polityce „na gapę". To lider PO bierze na siebie ciężar walki o wygraną swojej partii, to on walczy o wspólną listę i to on musi zmagać się z atakami PiS. Tyle że ta sytuacja, w której – jak wskazują to publicyści – „Tusk musi, Trzaskowski może", nie zmieni się w najbliższych miesiącach. Trzaskowski korzysta z popularności, którą zdobył w kampanii prezydenckiej, ale zwolennicy Tuska po cichu zżymają się, że napompowano człowieka, który jako lider PO mógłby okazać się dużym dzieckiem. A Tusk nie po to walczy o wygraną, by oddać lejce komuś, kogo uczynił tylko jednym z 14 wiceprzewodniczących Platformy Obywatelskiej.

Na dodatek lider PO ma też problemy z własną partią. Widać było wyraźnie, że nie bardzo wiedział, jak zareagować na wyskok Radosława Sikorskiego, twierdzącego, że PiS mógł skusić się na propozycję rozbioru Ukrainy.

ILE LIST OPOZYCJI?

Jeśli wziąć za dobrą monetę gromkie deklaracje liderów PO, że sprawa jednej listy opozycji została zdjęta z porządku obrad głównej partii opozycyjnej, to nasuwa się automatycznie pytanie: Ile opozycyjnych list będzie w wyborach? Dotąd wydawało się, że nawet jeżeli do wspólnej listy z PO nie dojdzie, to będą być może tylko dwie listy na opozycji. Bo wtedy Lewica doszlusuje do Platformy, a Hołownia stworzy listę razem z Polskim Stronnictwem Ludowym.

Po niespodziewanej wolcie Hołowni w sprawie głosowania nad ustawą o Sądzie Najwyższym nic nie jest już pewne. Władysław Kosiniak-Kamysz w swoim ulubionym, nieco płaczliwym tonie zademonstrował swój uraz wobec lidera Polski 2050. A przecież po wizycie Hołowni na jednym z wieców Władysława Kosiniaka-Kamysza jego wspólny start z PSL uznawano niemal za pewnik. Teraz arogancki Hołownia nie poinformował nawet lidera ludowców, że zmienia front.

Jedna z wersji tłumaczących, dlaczego przedstawiciele Hołowni w parlamencie zagłosowali przeciw ustawie, wiąże to z panującymi w tej grupie nastrojami startowania w pojedynkę. Odwrócenia się plecami od Platformy, która może nie być hojna w obsadzaniu dotychczasowych posłów Polski 2050 jako jedynek na listach, a także wobec PSL, który może

eprasa.pl 88d2eb15d9

być postrzegany jako kłopotliwy partner. Ludowcy już rządzili razem z Platformą i mogą zepsuć wizerunek partii Hołowni jako ugrupowania, które jest świeże i nieubabrane w polską politykę.

PSL w sondażach balansuje na granicy progu wyborczego. Ewentualna opcja wśród ludzi Hołowni na samodzielność chyba musi ich niepokoić. Ludowcy pocieszają się tym, że tylko oni mają silne struktury, zdolne do zorganizowania kampanii we wszystkich okręgach wyborczych. A Hołownia, który jeszcze niedawno lubił chwalić się, ilu to jeszcze znanych polityków z innej partii zasili jego ugrupowanie, od ponad roku nie może pochwalić się żadnym nowym transferem. Owszem, jest dobrze rozpoznawanym liderem, ale oprócz garstki parlamentarzystów ewentualne listy Polski 2050 zasiedlać będą ludzie zwani zjadliwie przez ludowców „no-nejmami".

Jak mówi się w sejmowych kuluarach, wielu polityków ludowców liczyło, że w razie wspólnej listy Polski 2050 z PSL to oni, dysponując bardziej znanymi nazwiskami, będą w stanie przeskoczyć „hołowczyków" i nawet jeśli wystartują np. z drugiego miejsca, to mandat zdobędą. Ale były to plany snute przy założeniu, że sojusz Hołowni z PSL to już przesądzona sprawa. Dziś nie jest to już takie oczywiste. Samodzielna lista Polski 2050 przyniosłaby reelekcję obecnych parlamentarzystów związanych z Hołownią bez potrzeby rywalizowania z PSL-owcami na jednej liście.

A CO Z LEWICĄ?

Włodzimierz Czarzasty był dotąd zwolennikiem wspólnej listy opozycji, bo wiedział, że w ten sposób może zapewnić przynajmniej najważniejszym postaciom Lewicy tzw. biorące jedynki. Ale Tusk wyraźnie nie pali się do współpracy z Nową Lewicą. Politycy Nowej Lewicy byli przekonani, że mogą przydać się Platformie jako gwaranci prosocjalnej polityki przyszłego rządu. Ale deklaracje PO, że sprawa jednej listy przestała być na porządku dnia, pozwala platformersom w wygodny sposób wyplątać się z ewentualnej wizji współpracy z Czarzastym i jego kolegami. Jeśli dodać do tego tradycyjną skłonność Adriana Zandberga i jego partii Razem do startowania na osobnej liście Lewicy, to oznaczać to może koniec idei „jednolistowych" w fioletowo-czerwonym obozie. To dla Lewicy niemiła wiadomość, bo przy jej koalicyjnym charakterze lewicowa lista będzie musiała przekroczyć próg 8 proc. Ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma.

Wszystko to może wróżyć cztery osobne listy opozycji – listę PO plus Ruchu „Tak dla Polski", listę Hołowni, listę PSL i listę Lewicy. W wypadku PSL Kosiniak-Kamysz może jeszcze wyprosić miejsca na liście Platformy, ale Tusk nie będzie zbyt hojny dla słabowitych ludowców.

Tak to wygląda dzisiaj, ale pewne roszady mogą się wciąż zdarzać. Jest jeszcze trochę czasu do wiosny, kiedy to planiści poszczególnych partii będą musieli wiedzieć, jak zaplanować kampanie wyborcze. Tymczasem numer, jaki Hołownia wykręcił swoim kolegom z opozycji, to ciągłe odwlekanie decyzji o ostatecznym kształcie list. Najbardziej uderza to w prestiż Platformy. Gdy Donald Tusk wracał z Brukseli w 2022 r., zakładał, że ma ponad rok na wykreowanie siebie na absolutnego lidera strony opozycyjnej. Dziś widać, że tego statusu nie uzyskał. Jak określił to dosadnie jeden z krytyków Tuska w obozie PO: „Hołownia ściągnął Tuskowi gacie i pokazał, że jest tylko kandydatem na lidera opozycji, a nie jej realnym wodzem".

Jednocześnie Tusk jest na tyle silny, by nieliczni zwolennicy Trzaskowskiego nie byli w stanie doprowadzić do zmiany na stanowisku lidera kampanii 2023 do Sejmu. Najbardziej irytuje to dziennikarzy „Gazety Wyborczej", którzy odkrywają, że ich rola demiurga ustalającego, jaki jest układ sił na opozycji, to już przeszłość. Stąd gniewne tyrady czołowego publicysty „GW" Pawła Wrońskiego, że jeśli PiS załatwi sobie III kadencję, to Hołownia zostanie uznany za winnego numer jeden.

Na Hołownię takie klątwy redaktorów z Czerskiej już chyba nie działają. Wychodzą za to na jaw takie cechy charakteru Hołowni jak egotyzm, bezwzględność i forsowanie przede wszystkim swojego interesu. Młodszy o prawie 20 lat od Tuska Hołownia nie musi się spieszyć. Owszem, jego partia nie rozwinęła się specjalnie w ciągu ostatniego roku, ale na pewno wejdzie do Sejmu z wynikiem ok. 10 proc. Dla kogoś, kto chce startować w najbliższych wyborach prezydenckich, to wygodna pozycja. Tym bardziej że opozycja, nawet gdy stworzy rząd po wyborach, nie będzie mogła lekceważyć takiego średniej wielkości ugrupowania jak Polska 2050.

Tusk musi, a Hołownia może.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 88d2eb15d9

FOT. MARTON

Z prof. Zbigniewem Szcześniakiem z Wojskowej Akademii Technicznej
rozmawia Radosław Wojtas

Schron dla każdego?

RADOSŁAW WOJTAS: Mieszkam w szeregowcu. Mam niewiele wolnej przestrzeni w ogródku, mniej więcej kwadrat 6 x 6 m. Mogę mieć schron opracowany niedawno przez pański zespół w Wojskowej Akademii Technicznej?

PROF. ZBIGNIEW SZCZEŚNIAK: Myślę, że to nie jest niemożliwe, choć w przypadku dokładnych wyliczeń odesłałbym raczej do firmy wykonawczej. Jeśli chodzi o opracowany w Wojskowej Akademii Technicznej schron, to w wersji podstawowej nie potrzeba dużo miejsca. Schron ma poniżej 35 mkw. powierzchni całkowitej i ok. 24 mkw. powierzchni użytkowej.

Dlaczego akurat taką powierzchnię – do tego wrócimy później. Najpierw chciałbym zapytać o coś innego. Kieruje pan projektem Polskiego Schronu Modułowego i jest pan głównym konstruktorem schronu, który nazywany jest „jednorodzinnym". Licencję od WAT na wprowadzenie produktu na rynek otrzymała niedawno prywatna polska spółka. Pierwsze pytanie zadawałem z lekkim przymrużeniem oka, a teraz bardziej serio: Czy rzeczywiście każdy Kowalski może mieć w ogródku schron z prawdziwego zdarzenia?

Technologia, o której rozmawiamy, nie jest w wojsku niczym nowym. Nowością jest to, że zainteresowali się nią prywatni inwestorzy. Okazuje się, że w Polsce mamy coraz więcej osób, które zbudowały dom, a teraz zaczynają myśleć o swoim bezpieczeństwie. Zastanawiają się, jak to zrobić, jak wykonać schron, gdzie go ulokować. A my znaleźliśmy na to rozwiązanie. Są nim prefabrykowane obiekty modułowe podzielone na takie segmenty, by można je było przewieźć typowymi środkami transportu o każdej porze dnia i nocy, bez pilotów etc. Montuje się je na miejscu, z minimalną ilością mokrych, ogólnobudowlanych robót. Obiekt ma gotowe pomieszczenia, gotowe segmenty przestrzenne i one są już obudowane konstrukcyjną osłoną budowlaną. Mówiąc w uproszczeniu – wykonuje się wykop w podłożu gruntowym, montuje schron w zaplanowany wcześniej sposób, zasypuje gruntem i gotowe. Przypomina to wojskową fortyfikację polową, stosowaną od wielu lat, ale w środowisku inwestorów prywatnych jest to coś nowego.

Zejdźmy zatem pod ziemię. Do schronu. Zechce pan profesor oprowadzić?

Układ przestrzenny schronu zależy od inwestora, który może wybrać wersję najprostszą albo rozbudowywać ją za pomocą kolejnych modułów. Opowiem – na ile mogę, bo wszystkiego zdradzać nie powinienem – jak wygląda wnętrze schronu w najprostszej konfiguracji. Już dojście do schronu powinno być przewidziane tak, żeby miało określone elementy ochrony mechanicznej, aby np. nie spadł nam na głowę gruz lub inny przedmiot z pobliskiego budynku. W wersji cywilnej proponujemy dojście w formie schodów, w wojskowej wystarczy zamykany szyb. Dalej jest właściwe

eprasa.pl 88d2eb15d9

Wizualizacja wnętrza schronu. To część dzienna z kanapą i aneksem kuchennym (także na głównym zdjęciu) FOT. MAHTON

wejście do obiektu. W najbardziej minimalistycznej wersji najpierw wchodzi się do przedsionka o walorach ochronno-hermetycznych. Za hermetyzującym przedsionkiem jest segment wydzielony na urządzenia instalacyjne, można to nazwać przedziałem technicznym. Z niego przechodzimy do pomieszczenia, w którym jest węzeł sanitarny. Absolutne minimum to sanitariat typu WC, ale proponujemy też prysznic. Całość sąsiaduje z – nazwę to szumnie – salonem, czyli pomieszczeniem dziennym z wydzielonym aneksem kuchennym. Można tam odpocząć na kanapie, obejrzeć telewizję itd. Kolejne pomieszczenie to oddzielna sypialnia. Z niej wyprowadzone jest wyjście awaryjne prowadzące do bezpiecznego miejsca na powierzchni. Tak wygląda najprostszy schron, ale jak mówiłem, możemy dokładać kolejne moduły i tworzyć bardziej rozbudowane konfiguracje przestrzenne.

Ten najprostszy ma powierzchnię ok. 35 mkw. I nie jest to liczba przypadkowa.

Może to być 35 mkw. lub nieco mniej, ale nie więcej. Dlaczego? Bo schron tej wielkości inwestor będzie mógł zbudować na zgłoszenie, bez pozwolenia na budowę. Takie przepisy są już wprowadzone dla innych obiektów budowlanych, wiem, że odpowiednie regulacje z myślą o schronach są już uzgodnione i gotowe do wdrożenia. Jeśli ktoś będzie chciał większy schron, to wtedy będzie potrzebne pozwolenie na budowę, projekt itd.

Mówił pan o hermetyzującym przedsionku, zatem schron zapewne ma zabezpieczać przed promieniowaniem. Przed czym jeszcze? Po co tak właściwie cywilowi prywatny schron?

Cywile nawet w czasie działań wojennych nie powinni być źle traktowani, tak stanowi międzynarodowe prawo, ale wiemy, że tak nie jest. Widzimy to choćby na Ukrainie, gdzie do cywili się strzela, a na budynki mieszkalne spadają rakiety. Bzdurą byłoby jednak proponowanie do cywilnych zastosowań obiektów, które mają wytrzymać wybuch pięćsetkilogramowej, tysiąckilogramowej albo jeszcze większej bomby. W oparciu o nasze doświadczenia, również wojskowe, wypracowaliśmy pewne optymalne rozwiązanie. Zresztą w wojsku też stosuje się różnego rodzaju schrony, te lżejsze, polowe rozwiązania także są skuteczne w określonych warunkach.

Przechodząc do sedna, schron modułowy opracowany w WAT chronić ma przede wszystkim przed zagrożeniami środowiskowymi, czyli zanieczyszczeniami powietrza. Wszelkiego rodzaju – środkami toksycznymi, biologicznymi, radiacyjnymi, przed promieniowaniem przenikliwym. Chroni także przed skutkami termicznego oddziaływania długotrwałych pożarów. Ważną rolę osłonową odgrywa tutaj grunt, który tworzy szczególną synergię z materiałami konstrukcji schronu. Jeśli zaś chodzi o ochronę mechaniczną, to projektując schron, uwzględniliśmy zagruzowanie oraz oddziaływanie dynamiczne nadciśnienia powietrznej fali uderzeniowej, która jest generowana nawet przez konwencjonalne środki rażenia, a także możliwość uderzenia odłamków bomb i pocisków.

Jak długo schron pozostaje samowystarczalny?

W tej materii także nie chciałbym ujawniać zbyt wielu szczegółów, ale jesteśmy przygotowani nawet na długotrwały pobyt. Uwzględniamy tu dwa okresy operacyjne. Pierwszy dotyczy autonomicznego funkcjonowania schronu, czyli sytuacji, w której nie potrzebujemy pomocy z zewnątrz, mamy czyste powietrze, wodę, zapas jedzenia, zapas energii i wszystko inne, co jest nam potrzebne do życia. Tu mówimy nawet o tygodniach autonomicznego przebywania w schronie. Dzięki odpowiedniej instalacji filtrowentylacyjnej możliwa

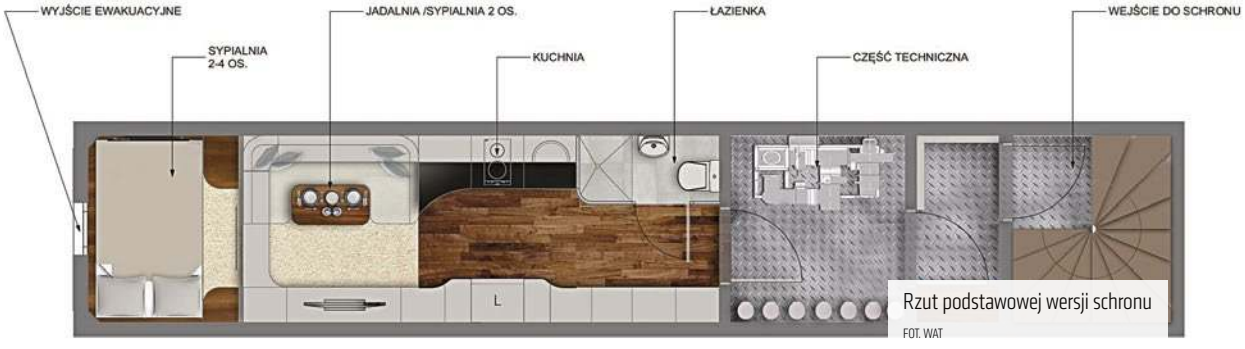

Rzut podstawowej wersji schronu FOT. WAT

eprasa.pl 88d2eb15d9

Schron składa się z modułów. Łatwo go można rozbudowywać, jeśli komuś wersja podstawowa nie wystarcza FOT. MAHTON

jest też pełna izolacja. Przez pewną liczbę godzin schron może pracować w pełnej izolacji, dokładnie tak jak okręt podwodny. Takie rozwiązania stosujemy dla wojska, takie same proponujemy dla rozwiązań cywilnych.

„Modułowy", „jednorodzinny", „podwójnego przeznaczenia". Między innymi tak na stronie Wojskowej Akademii Technicznej opisuje się schron opracowany przez zespół pana profesora. To ostatnie określenie oznacza, że schron można wykorzystywać także w czasie, gdy nie ma żadnego zagrożenia. W jaki sposób?

Większość cywilnych schronów w Polsce to obraz nędzy i rozpaczy. Zamknięte, brudne, zalane wodą itd. To jest bardzo złe podejście. Już od dawna proponowaliśmy, że powinno się projektować schrony co najmniej podwójnego przeznaczenia, czyli żeby były wykorzystywane ciągle w czasie pokoju, w czasie braku zagrożenia. Proponuję jednocześnie, by myśleć możliwie jak najszerzej, a więc nie tylko o rozwiązaniach dwufunkcyjnych, lecz także wielofunkcyjnych. W przypadku obiektów cywilnych mamy tu całą paletę możliwości. Pomysły są różne. Czasem ktoś chce wykorzystać schron jako dodatkową piwnicę, czasem jako miejsce zabaw dzieci. Albo przeciwnie – przestrzeń dla dorosłych, gdzie np. można ze znajomymi dyskretnie wypić szklaneczkę czegoś mocniejszego (śmiech). Instalacja schronowa czystego powietrza utrzymuje określone, w sposób kontrolowany, nadciśnienie w schronie. W związku z tym proponujemy również możliwość wykorzystania schronu w funkcji komory normobarycznej. Pozwala to przyspieszyć powrót do zdrowia w przypadku wielu schorzeń. Stąd można zauważyć możliwość komercjalizacji inwestycji, a sam schron zasługuje dodatkowo na określenie „ekoschron".

Przedział techniczny schronu z urządzeniami instalacyjnymi FOT. MAHTON

Zresztą schron powinien być wykorzystywany w czasie pokoju, w celu utrzymywania sprawności systemu instalacyjnego. Dokładnie na takiej zasadzie, na jakiej regularnie powinniśmy włączać np. pompę wodną w systemie obiegu przy kominku. Czy to zima, czy lato – musi regularnie popracować, bo jeśli o tym zapomnimy, to po jakimś czasie będziemy mieli problem z jej uruchomieniem.

Muszę przyznać, że kiedy usłyszałem o projekcie schronu modułowego dla cywilów, to w pierwszej chwili pomyślałem, że jest to kolejny po szturmie na strzelnice czy zainteresowaniu się Polaków środkami ochrony osobistej, jak kamizelki kuloodporne i hełmy, efekt napaści Rosji na Ukrainę i wojny u naszych granic. I zaraz przyszła też inna refleksja: Czy to jeszcze przezorność i rozwaga czy już efekt strachu, który powinien niepokoić?

To nie jest tak, że zaczęliśmy pracować nad schronem modułowym na rynek cywilny, gdy wybuchł konflikt na Ukrainie. Prace trwają już od kilku lat, a ich inicjatorem był mgr inż. arch. Michał Lorek, współwłaściciel patentu Polskiego Schronu Modułowego oraz właściciel firmy MAHTON, której WAT udzielił licencji na komercjalizację schronu. A prace zaczęły się, bo pojawiła się taka rynkowa potrzeba. To chyba znak czasów, w których przyszło nam żyć, a zainteresowanie środkami ochrony, w tym schronami, nie ogranicza się wyłącznie do Polski jako kraju sąsiadującego z teatrem działań wojennych.

Jestem w branży naprawdę kawał czasu, mój staż pracy badawczej w WAT w zakresie fortyfikacji to już ponad 40 lat i powiem szczerze, że jeszcze niedawno bym się nie spodziewał, że znajdziemy się w takiej fazie rozwoju, w której indywidualny inwestor będzie myślał tak bardzo poważnie o budowie schronu w swoim domu lub w jego sąsiedztwie. A bywają tacy inwestorzy, którzy potrafią zaskoczyć, mają wysokie wymagania i daleko wychodzą poza założenia typowe. Z drugiej strony na rynku pojawiają się obiekty reklamowane jako schrony, które na to miano nie zasługują. Jakiś zbiornik betonowy wrzucony do ziemi, zasypany, w środku łóżko, stołek i nazywa się to schronem. A już definicja schronu mówi wyraźnie, że jest to obiekt, który jest konstrukcyjnie w pełni zamknięty, hermetyczny i z każdego kierunku chroni przed określonymi czynnikami rażenia. Dopiero wtedy możemy mówić o schronie.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

__Doktor habilitowany inżynier Zbigniew Szcześniak__ jest profesorem Wojskowej Akademii Technicznej z Wydziału Inżynierii Lądowej i Geodezji, współtwórcą Polskiej Szkoły Fortyfikacji Współczesnej, autorem wielu projektów i wdrożeń, uzyskanych w wyniku zrealizowanych prac naukowo-badawczych. Wdrożeniem dużego formatu może być konstrukcja I linii metra w Warszawie wykonana z uwzględnieniem wersji schronowej.

eprasa.pl 88d2eb15d9

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Grabowski musi odejść!

Ekonomista dr Bogusław Grabowski sięga dziś po sławę, która jeszcze niedawno była w Polsce udziałem głównie – jeśli nie wyłącznie – Leszka Balcerowicza. A więc po sławę gospodarczego ultraliberała, którym antyliberałowie straszą wszystkich, począwszy od niemowląt w kołysce, a skończywszy na starcach słaniających się nad grobem. Straszą z jakże dla nich miłym – i zyskownym – skutkiem, czyli przeważnie skutecznie.

A czymże to dr Grabowski zasłużył sobie na aż taką sławę? Ano tym, że ośmielił się, i to publicznie, przypomnieć, że bez pracy nie ma kołaczy. A detalicznie rzecz biorąc – tym, że ośmielił się wskazać, iż „opozycja powinna powiedzieć prawdę: bez dłuższej pracy Polaków nie jesteśmy w stanie utrzymać niepracujących emerytów w przyszłości". Tym, że ośmielił się orzec, iż wiele państwowych spółek należy sprywatyzować, by konkurowały między sobą z korzyścią dla konsumentów, zamiast tworzyć państwowe monopole ku uciesze polityków i ich prezesów. Tym, że ośmielił się podważyć sens części programów socjalnych PiS – w tym „500+" dla bogatych oraz 13. i 14. emerytury.

W dawnych czasach – czyli, dajmy na to, jeszcze 10 lat temu – na słowa Grabowskiego zareagowano by pewnie ostro, ale w sposób zróżnicowany; jedni by go poparli, inni zganili. Ale to już nie te czasy. Dziś od Grabowskiego solidarnie, niemal jak jeden mąż (i żona), odcięli się prawie wszyscy, bo nie tylko ci z PiS i Solidarnej Polski – bo to oczywiste, a także ci z Platformy, PSL, Kukiz'15 itd. Politykom PiS i SP w odcinaniu się od Grabowskiego i wykorzystaniu tego w walce politycznej z konkurencją dopomógł fakt, że był on ekspertem zasiadającym w radzie gospodarczej przy premierze Tusku. Politykom Platformy, PSL i Kukiz'15 w odcinaniu się od Grabowskiego dopomógł fakt, że razem z Grabowskim w tejże radzie przy premierze Tusku zasiadał nie kto inny, jak premier Morawiecki.

Tak, teraz to już nie są „dawne czasy"; teraz nastały „nowe czasy" – czasy konsumowania, a nie oszczędzania, i my wszyscy – „my wszyscy z koalicji" i „my (prawie) wszyscy z opozycji" – chcemy dziś mieć dużo pieniędzy z zasiłków i wszelakich możliwych dodatków, z proinflacyjnych tarcz antyinflacyjnych, z wysokich emerytur i rent. Chcemy mieć dużo pieniędzy na wszystko – pieniędzy, które muszą się znaleźć, i basta!

I dlatego żaden Balcerowicz czy Grabowski nie będzie nam tu wprowadzał swoich porządków, czyli zaciskał nam naszego pasa – obniżał deficytu finansów publicznych i redukował długu państwa ani tym bardziej obniżał inflacji czy wzmacniał i stabilizował złotego. Bo to już nie te czasy, bo po nas choćby potop.

A Balcerowicz i Grabowski muszą odejść! ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Czy uda się wylądować?

Padł Sołedar. Nie chciało mi się nawet sprawdzać, jakie tym razem rezonatorzy ukraińskiej propagandy (jest takich wielu, w Polsce znacznie więcej niż rezonatorów propagandy rosyjskiej, których też jest niemało) znaleźli wytłumaczenia i w jaki sposób przekonywali, że właściwie jest to zwiastun rychłego upadku Rosji.

Uderzające jest co innego. Jeśli wczytać się w bardziej specjalistyczne, zdystansowane analizy, pojawiające się w anglojęzycznych źródłach, to jasne jest, że wraz z decyzją Zachodu o rozpoczęciu dostaw czysto ofensywnego sprzętu, a więc przede wszystkim czołgów Leopard oraz Abrams (ta decyzja Waszyngtonu to mała wygrana Berlina), wojna wkroczyła w nową i to bardzo niebezpieczną fazę. Tymczasem próżno szukać w sferze politycznej jakichkolwiek dotyczących tego wypowiedzi. W Polsce wspomnienie o niemijającym zagrożeniu eskalacją ściąga natychmiast oskarżenia o onucyzm albo w najlepszym przypadku kpiny.

Jedynym sposobem na zmniejszenie ryzyka jest systematyczne dążenie do zakończenia walk

Niektórzy argumentują, że przecież przez tyle czasu nic się nie wydarzyło, i wywnioskowują z tego, że Rosja po prostu da się ostatecznie pokonać, a wysłanie na Ukrainę zachodniej broni pancernej nie niesie ze sobą żadnego zagrożenia. Tyle że wojna to nie jest sytuacja statyczna, ale dynamiczna.

Czy wiedzą państwo, jak doszło do niemałej liczby katastrof lotniczych, w tym dwóch słynnych polskich samolotów „Mikołaj Kopernik" w 1980 r. oraz „Tadeusz Kościuszko" w 1987 r.? W różnych częściach maszyn – silnikach, skrzydłach, kadłubie – pojawiały się z jakiegoś powodu mikrouszkodzenia. Samolot mógł wykonać setki startów i lądowań, podczas których nic się nie wydarzało. Ale za sto pierwszym razem zbyt już duże mikrouszkodzenie zostawało poddane zbyt dużemu obciążeniu i następował rozpad.

Zobecną sytuacją wojenną na Ukrainie jest podobnie. Trzymając się analogii lotniczej – Zachód poddaje i tak już niemałe mikrouszkodzenie coraz większemu obciążeniu. Być może konstrukcja wytrzyma i uda się bezpiecznie wylądować. Ale możliwe także, że nie wytrzyma. Jedynym sposobem na zmniejszenie ryzyka jest obniżenie obciążenia poprzez systematyczne dążenie do zakończenia walk. Tego jednak Warszawa w swoich planach nie ma. ©℗

eprasa.pl 88d2eb15d9

Tomasz Rowiński

Ile kosztuje cierpienie bohaterów

Andrzej Pilecki domaga się od państwa 26 mln zł zadośćuczynienia

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Czy syn rtm. Pileckiego żąda w sądzie za dużo za krzywdę, której doznał jego ojciec?

W Sądzie Okręgowym w Warszawie trwa proces, w którym syn Witolda Pileckiego domaga się od polskiego państwa 26 mln zł „tytułem zadośćuczynienia za krzywdę doznaną przez ojca wnioskodawcy Witolda Pileckiego na skutek wydania i wykonania wyroku WSR w Warszawie z dnia 15 marca 1948 r.". O sprawie tej pisały wszystkie ważniejsze media w Polsce. Mogłoby się wydawać, że kwota, której żąda od państwa Andrzej Pilecki, jest astronomiczna. Czy tak jednak jest w rzeczywistości? A może należałoby Andrzeja Pileckiego wziąć w obronę?

ODPOWIEDZIALNOŚĆ PAŃSTWA

W tej sprawie wypada zgodzić się z Łukaszem Warzechą, który w magazynie „Kontra" pisał tak: „Skoro mamy do czynienia z państwem, które samo wzięło na siebie obciążenie wynikające z dźwigania ciężaru decyzji PRL, to dlaczego potomek jednego z najważniejszych członków opozycji, na którego wyrok był jednoznacznym przykładem niesprawiedliwości, nie miałby właściwie ubiegać się o odszkodowanie? To żądanie można nawet widzieć jako właśnie głos sprzeciwu wobec systemowego nierozliczenia ludzi odpowiedzialnych za to, co spotkało ojca powoda. Tym bardziej że ten został uniewinniony przez Sąd Najwyższy jeszcze w 1990 r.".

Biorąc pod uwagę to, że prześladowania, które dotykały polskich opozycjonistów w czasach komunistycznej dyktatury, bardzo często kładły się cieniem nie tylko na ich życiu, lecz także na życiu najbliższych dla nich osób, wydaje się słuszne, by prawny spadkobierca PRL wziął na siebie odpowiedzialność za przywrócenie sprawiedliwości, a nie tylko takie działania pozorował.

Podobnie zresztą o sprawie odszkodowań dla osób represjonowanych w czasach komunistycznych mówił w roku 2018 na łamach kwartalnika „Wyklęci" mec. Maciej Drogoń. „Odszkodowanie i zadośćuczynienie nie są z jednej strony »nagrodą« za działalność opozycyjną ani z drugiej strony »jałmużną« związaną w jakikolwiek sposób z obecną sytuacją materialną osoby uprawnionej. Każdy, kto we współczesnej Polsce – i w innych państwach prawa – zostanie niesłusznie pozbawiony wolności przez organy władzy państwowej [...], ma prawo dochodzić odszkodowania za szkody i zadośćuczynienia za krzywdy, których doznał w następstwie tej sytuacji. Jest to logiczny wyraz sprawiedliwości za konsekwencje niezasadnego ograniczenia przez państwo jednego z podstawowych praw człowieka – prawa do wolności".

Problem polega jednak na tym, że odszkodowania przyznawane w Polsce w ramach ustawy rehabilitacyjnej z 1991 r. są zwykle niskie i nawet na zdrowy rozsądek nie spełniają konstytucyjnego wymogu wynagrodzenia – w domyśle: sprawiedliwego – doznanych krzywd. A przecież „każdy ma prawo do wynagrodzenia szkody, jaka została mu

eprasa.pl 88d2eb15d9

wyrządzona przez niezgodne z prawem działanie organu władzy publicznej" – mówi art. 77 Konstytucji RP.

LIMITY ODSZKODOWAŃ

Do absurdalnej wręcz sytuacji doszło w 2007 r., gdy ustawę rehabilitacyjną postanowiono znowelizować, dodając do niej internowanych w czasie stanu wojennego. Wszystko byłoby dobrze, gdyby równocześnie nie ograniczono do 25 tys. zł limitu roszczeń kompensujących szkody i krzywdy będące konsekwencją represji za działalność opozycyjną. Zmiana ta była podyktowana obawami płynącymi z rządu, że suma odszkodowań będzie zbyt wysoka, ponieważ mogą one dotyczyć zbyt wielu osób.

Oznacza to, że gdyby rodzina Witolda Pileckiego zabiegała o odszkodowanie w ramach obowiązującej od 1991 r. ustawy i podjęła się tego po jesieni roku 2007 r., nie otrzymałaby nawet swoich 50 tys. zł. A przecież przed nowelą wyliczanie kwot odszkodowań odbywało się nieraz po linii najmniejszego oporu, np. przez przemnożenie utraconych pensji bez brania pod uwagę innych strat. Szczęśliwie przepis ten został podważony przez Trybunał Konstytucyjny i w 2011 r. przestał obowiązywać.

Sprawa Witolda Pileckiego – ta sprzed lat – może być przykładem lekceważącego podejścia naszego państwa do cierpienia polskich bohaterów. Witold Pilecki został zrehabilitowany 1 października 1990 r., jeszcze przed uchwaleniem przez parlament ustawy z lutego 1991 r., wyrokiem Izby Wojskowej Sądu Najwyższego. Wtedy zasądzono także odszkodowanie w wysokości ówczesnych 500 mln zł, czyli wspomnianych już 50 tys. nowych złotych. Z pewnością w latach 90. XX w. kwota ta mogła robić większe wrażenie niż dziś. Czy jednak można ją uznać za wystarczającą?

Zdaniem mec. Macieja Drogonia, reprezentującego byłych opozycjonistów i ich rodziny w sprawach tego typu, odszkodowanie dla rodziny Pileckiego z roku 1990 trzeba uznać za „rażąco niskie". Na pytanie, jak ocenia proces odszkodowawczy, który rozpoczął w zeszłym roku Andrzej Pilecki, syn Witolda – zastrzegając, że nie zna szczegółów sprawy – odpowiedział w dwojaki sposób. Jego zdaniem samo dochodzenie sprawiedliwości trzeba uznać za słuszne. Skoro Tomasz Komenda, odsiadujący w III RP długoletni wyrok za niewinność, mógł otrzymać od polskiego państwa 12 mln zł odszkodowania, to tym bardziej cierpienia związane z pobytem w stalinowskim więzieniu i śmierć Pileckiego powinny być wyżej wycenione, niż to miało miejsce. Tym bardziej że w przypadku naszego bohatera narodowego nie można mówić o żadnej pomyłce, ale o zamordowaniu niewinnego człowieka po niegodziwym procesie. Do tego należy jeszcze dodać kwestię długoletnich konsekwencji, jakie te wydarzenia miały dla rodziny rotmistrza.

MILIONOWE ROSZCZENIA

Drugim aspektem sprawy jest ogłoszona w mediach kwota roszczenia, czyli słynne już 26 mln zł. Mecenas Drogoń wskazuje, że ze względu na słuszną w jego ocenie zasadę, wyłączającą konieczność wniesienia opłaty sądowej od roszczeń opartych o ustawę rehabilitacyjną, domagać się można każdej kwoty. Taka opłata – jak ocenia – zamknęłaby drogę do dochodzenia roszczeń znacznej grupie uprawnionych. Jednak według mec. Drogonia w pamięci opinii społecznej nie pozostaną zasądzone kwoty, co do zasady o wiele niższe niż te wnioskowe, ale żądania milionów ogłaszane w mediach. Na pytanie, czy kancelaria reprezentująca Andrzeja Pileckiego nie przyczynia się za pomocą takich działań do budowy negatywnego klimatu społecznego wokół ważnej przecież sprawy, jaką jest zadośćuczynienie osobom represjonowanych w czasach Polski komunistycznej, mec. Drogoń unika odpowiedzi. Jego zdaniem do oceny etycznych aspektów działalności radców prawnych i adwokatów powołane są właściwe instytucje samorządów zawodowych. Dodaje, że sprawy takie jak ta dotykają kwestii w istocie filozoficznej: Ile warte jest życie człowieka?

Mecenas Maciej Drogoń ma wiele racji. Rzeczywiście, przyglądając się innym sprawom, syn rtm. Pileckiego może liczyć prawdopodobnie na nie więcej niż kilkaset tysięcy złotych rekompensaty. Nawet gdyby miało to być nieco więcej, i tak zapewne kwota ta nie przekroczy 10 proc. roszczenia. Niestety, w większości opinia publiczna zapamięta tylko to, jak wysokie było wstępne roszczenie, często odbierane dziś jako nadmierne. W konsekwencji cała sprawa przywracania sprawiedliwości wobec ofiar rządów komunistycznych może być niesłusznie powiązana z rzekomym „skokiem na kasę". Zapisy ustawy rehabilitacyjnej, które powodują, że poszkodowani komunistycznym orzecznictwem nie muszą ponosić kosztów sądowych, gdy domagają się od państwa określonych kwot, prowadzą do tego, że nikt – także prawnicy Andrzeja Pileckiego – nie jest odpowiedzialny za dowolną publiczną eskalację roszczeń. Wydaje się, że nie ma dobrego wyjścia z tej sytuacji.

Być może jednak, skoro zasadniczo oczekiwania Andrzeja Pileckiego nie powinny być traktowane jako wygórowane, reprezentujący go prawnicy postąpili słusznie, nie uginając się pod ciężarem niezadowolenia części opinii publicznej. Po prostu wyłożyli, mówiąc kolokwialnie, kawę na ławę. Tym bardziej że wyroki w sprawie odszkodowań, które zapadały w ostatnich latach, wciąż są bardzo niskie. Można tu podać przykład jednego z ostatnich żyjących uczestników wydarzeń Poznańskiego Czerwca, który za swój udział w protestach trafił na półtora roku do więzienia, a to wówczas miało jeszcze standard stalinowski. Ledwie przed czterema laty sąd pierwszej instancji „wycenił" krzywdę tej osoby na 60 tys. zł. Wyrok ten został podtrzymany przez sąd apelacyjny. Sprawa ma ciąg dalszy tylko dzięki prawnikom reprezentującym tę osobę.

– Decyzje sądów są często zaskakujące, na rzecz osób represjonowanych w ten sam sposób i z podobną intensywnością, uczestniczących w tych samych aktach sprzeciwu wymierzonych we władze PRL, zasądzane są czasem kompensaty różniące się o rzędy wielkości, co powoduje nie tylko niezrozumienie byłych opozycjonistów, lecz także podejrzliwość i antagonizmy – konkluduje mec. Maciej Drogoń.

Istnieje pokusa, by kancelarie, które chcą zajmować się takimi sprawami, traktować niczym krwiopijców. Jednak trzeba pamiętać, że to niejednokrotnie dzięki nim ostateczne kwoty odszkodowań przynajmniej zbliżają się do tych, jakich wymagałaby sprawiedliwość. Może zatem to nie prawnicy, a państwo nie staje na wysokości zadania. Może na tym raczej należałoby się skupić, jako kwestii kluczowej dla problemu przywracania sprawiedliwości wobec represjonowanych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 88d2eb15d9

„Nightmare", Johann Heinrich Füssli

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Koszmar na jawie

Wiesław Chełminiak

Polski romantyzm zaczął się od wierszy stworzonych przez poetę z Litwy. Brytyjski – od obrazu namalowanego przez Szwajcara

Francja walczy z kulturową dominacją Anglosasów i próbuje się oprzeć potędze gospodarczej Berlina, ale coraz wyraźniej przegrywa. Widać to nawet w muzeach. Gwiazdami jesienno-zimowego sezonu wystawowego w Paryżu są dwaj artyści brytyjscy, urodzeni w strefie niemieckojęzycznej.

Petit Palais kusi pracami Waltera Sickerta, postimpresjonisty z makabrycznym poczuciem humoru, który obecny renesans popularności zawdzięcza hipotezie, że w wolnych chwilach był Kubą Rozpruwaczem. W Musée Jacquemart-André można zaś podziwiać monograficzną ekspozycję Johanna Heinricha Füsslego alias Henry'ego Fuselego, ojca chrzestnego symbolizmu.

PIEKIELNE POKUSY

Autor „Koszmaru" przyszedł na świat w Zurychu, w 1741 r. Miał w sobie więcej z intelektualisty niż malarza, jednak Zeitgeist, czyli duch czasów, znalazł w nim idealnego wyraziciela. Był niski, lecz posiadał dominującą osobowość. Brylował w oświeconym towarzystwie, ze swadą debatując o sztuce, literaturze i polityce. Nie znosił, by mu przerywano. Sam Goethe był pod wrażeniem temperamentu i erudycji Szwajcara. Füssli cieszył się też sławą poligloty: swobodnie czytał i mówił dziewięcioma językami. Wśród przełożonych przez niego książek była biblia neoklasycyzmu – „Myśli nad naśladownictwem dzieł greckich w malarstwie i rzeźbie" Winckelmanna. Z czasem wyszło na jaw, że sam hołduje zgoła odmiennej estetyce.

Wiek rozumu, paradoksalnie, miał słabość do hazardu i zjawisk irracjonalnych. Furorę robili okultyści, alchemicy i bajarze w typie hrabiego di Cagliostro i markiza de Saint-Germain. Więcej czytelników niż traktaty postulujące ulepszenie świata miały zaś powieści epatujące grozą i erotyzmem, w których duch zdecydowanie górował nad materią. Natchnieni poeci, wierzący, że w przebłysku geniuszu moż-

eprasa.pl 88d2eb15d9

na dotrzeć do absolutu, artyści balansujący na krawędzi szaleństwa, politycy ślepi na konsekwencje swych rewolucyjnych poczynań, nie wzięli się wszak znikąd.

Füssli wpadł w szpony romantyzmu za sprawą literackiej klasyki. Wielbił grecką i germańską mitologię, „Boską komedię" Dantego, dramaty Szekspira i twórczość Miltona (w przyszłości stworzy cykl 47 obrazów, ilustrujących „Raj utracony"). Wypracował oryginalny język malarski, łączący dramatyzm z erotyką i wzniosłość z groteską. Jeśli w sztuce urzeka was feeria barw, idealna kompozycja, realizm, skąpane w słońcu plenery – to trafiliście pod zły adres. U byłego pastora królują zimne kolory, świetlne kontrasty, fantastyka tudzież nienaturalne pozy i gesty. Nazywany „nadwornym malarzem diabła", nigdy jednak nie odpłynął w artystycznych wizjach tak daleko, jak młodszy o lat 16 William Blake. Temu wizyty składali aniołowie, król Salomon i św. Paweł, a jako czterolatek ponoć ujrzał twarz Boga w oknie pokoju brata.

SZEKSPIR DLA POCZĄTKUJĄCYCH

Füssli, z woli ojca malarza portrecisty, który spłodził 18 dzieci, kształcił się na pastora. Podpadł jednak skorumpowanym władzom Zurychu i musiał wyemigrować. Przez Berlin i Frankfurt nad Menem trafił do Londynu. Dopiero tu postanowił zostać malarzem. Zachęcony przez prezydenta Akademii Królewskiej, sir Joshuę Reynoldsa, klasycystę i wielkiego fana Michała Anioła, wyprawił się do Italii. Spędził tam osiem lat, studiując i kopiując freski z kaplicy Sykstyńskiej. Dzisiejsi historycy sztuki widzą w nich zapowiedź manieryzmu. Ten termin, jak się wydaje, najlepiej określa twórczość Szwajcara. Füssli, który w Rzymie z praktycznych powodów zaczął używać nazwiska Fuseli, był manierystą. Włoscy artyści w połowie XVI w. zwątpili w humanistyczne idee oraz świetlaną przyszłość ludzkości w ogóle, a własnej ojczyzny w szczególności. Dwa stulecia później lęk przed nadchodzącymi zmianami był jeszcze bardziej uzasadniony.

Nasz bohater miał 29 lat, gdy na stałe osiadł w stolicy Wielkiej Brytanii. Trochę późno jak na początkującego malarza, lecz z drugiej strony nie mógł wybrać lepszego momentu. Albion dojrzał bowiem do estetycznej rewolucji. Frywolne rokoko znudziło się elitom, wróciła moda na wzniosłe tematy. W brytyjskich teatrach znowu grano Szekspira. Gdyby istniały wówczas listy bestsellerów, ich szczyty okupowałyby romanse grozy w rodzaju „Tajemnic zamku Udolpho" Anny Radcliffe i „Mnicha" 19-letniego Matthew Lewisa (tytułowy bohater padał ofiarą kobiety diabła). Arystokraci wznosili rezydencje w średniowiecznym, „uduchowionym" stylu.

Fuseli szybko wyrobił sobie nad Tamizą opinię ekscentryka. Wyspiarze cenią takich ludzi, podobnie jak sarkastyczne poczucie humoru, którym ekspastor biegle się posługiwał. Na bezczelności mu nie zbywało. Oświadczył, że jest jedynym człowiekiem w Anglii, mającym pojęcie o dobrym malarstwie. Tymczasem jego własne umiejętności pozostawiały sporo do życzenia. Widać to w tematach szekspirowskich, które otwierają paryską wystawę. Fuseli najchętniej ilustrował „Makbeta" oraz „Romea i Julię". Niektóre płótna opatrzył szczegółowymi podpisami, np. „Hamlet. Akt 3 scena 4". Bardziej niż na warsztatowej poprawności zależało mu na wzbudzeniu emocji. Tej samej zasady trzymał się, zapełniając płótna scenami rodem z „Iliady", „Odysei" „Eneidy" czy „Pieśni o Nibelungach". Zmieniały się tylko źródła inspiracji: od biblijnych do współczesnych (poemat Waltera Scotta „Król ognia").

TA PANI ZEMDLAŁA

W sercu wystawy kuratorzy umieścili dzieła będące świadectwem prywatnych obsesji. Byłego pastora fascynowały zjawiska nadprzyrodzone, halucynacje, sny i zjawy. Londyńczycy przekonali się o tym wiosną 1782 r., zwiedzając wystawę w londyńskiej Royal Academy. Fuseli namalował kobietę leżącą na wznak (co uważano powszechnie za najbardziej niezdrową z pozycji), prawie spadającą z łóżka. Nad złym snem nieboraczki czuwa inkub, czyli demon, specjalizujący się w nękaniu samotnych dam i panien na wydaniu. Z ciemności wyłania się zaś koński łeb, opatrzony parą fosforyzujących ślepi.

„Autoportret", Johann Heinrich Füssli

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„Nightmare" był wyzwaniem rzuconym akademickim zasadom. Rzucał się w oczy, tym bardziej że powieszono go w sąsiedztwie wyrafinowanych portretów pędzla Reynoldsa. Nawet Horace Walpole, twórca makabrycznej powieści „Zamczysko w Otranto", był tym zbulwersowany. Kobiety, przychodzące na wystawę specjalnie, by zobaczyć skandalizujące dzieło, mdlały na jego widok. A przecież autor zastosował się jedynie do tezy filozofa Edmunda Burke'a, głoszącego, że prawdziwa sztuka powinna wywoływać przerażenie.

Fuseli przezornie wstrzymał się od komentowania obrazu, zatem do boju ruszyli domorośli interpretatorzy. Jedni próbowali zastosować klucz biograficzny. Na rewersie „Koszmaru" znajduje się niedokończony portret młodej damy, ukuto więc hipotezę, że malarz zemścił się na damie z Zurychu (która odrzuciła jego zaloty), wzywając siły piekielne, a może nawet osobiście ją prześladując pod postacią inkuba. Drudzy uznali dzieło za konterfekt narkomanki, gdyż flaszeczka stojąca na stoliku z pewnością zawiera laudanum. Jeśli Fuseli chciał zaintrygować publiczność, to z pewnością mu się udało.

Oryginał „Nightmare" znajduje się dziś w Detroit, lecz artysta namalował kilka różniących się szczegółami replik. Na tych późniejszych demon przypomina kota. W Musée Jacquemart-André wystawiono dwie: z prywatnej kolekcji i nowojorskiego Vassar College. Ciekawostką jest obraz z roku 1780 (a więc wcześniejszy), na którym Fuseli przedstawił przebudzenie ofiar demona, który czmycha przed wschodzącym słońcem.

OBUDŹ SIĘ, ANGELO!

„Koszmar" był jedynie ogniwem w łańcuchu, nie pierwszym i nie ostatnim. Najstarsze z zachowanych malowideł Szwajcara (z 1768 r.) nosi tytuł „Józef interpretujący sny służącego i piekarza faraona". Potem był „Sen królowej Katarzyny"

eprasa.pl 88d2eb15d9

„Achilles chwyta cień Patroklosa", Johann Heinrich Füssli FOT. MATERIAŁY PRASOWE

(pierwszej żony Henryka VIII) inspirowany, a jakże, sztuką Szekspira, „Sen pasterza z »Raju Utraconego«) i „Ryszard III nawiedzony przez duchy".

Popularne dzieła są z reguły plagiatowane i parodiowane, taki los spotkał też „Nightmare". Fuseli popełnił koszmarny błąd, oddając za bezcen prawa do reprodukcji londyńskiemu wydawcy. Ten zasypał rynek grafikami, na które stać było nawet ubogiego studenta. Po latach jedna z nich ozdobiła wiedeńskie mieszkanie doktora Freuda. W roku 1800 Duńczyk Nicolai Abraham Abildgaard, znajomek Fuselego z czasów rzymskich, zdobył się na trawestację malowidła w duchu libertyńskim. W tej wersji rzucający wielki cień diabeł siedzi okrakiem na dwóch roznegliżowanych śpiących dziewczętach, filuternie uśmiechając się do publiczności.

„Koszmar" zapłodnił wyobraźnię twórców będących filarami „czarnego romantyzmu": Mary Shelley, autorkę „Frankensteina", i Edgara Allana Poe („Upadek domu Usherów"), a potem twórców pierwszych horrorów filmowych. Entuzjastyczne strofy poświęcił mu Erasmus Darwin (dziadek Karola), który zasłynął z pomysłu zastąpienia chrześcijaństwa „religią natury" tudzież naukowych dzieł pisanych wierszem. Miarą popularności obrazu Fuselego były karykatury, ukazujące się w angielskiej prasie. Sądząc z satyrycznych rycin, nocne widziadła nękały kolejnych brytyjskich premierów, Napoleona Bonaparte, adm. Horatia Nelsona, prezydenta George'a W. Busha i kanclerz Angelę Merkel.

Sprawca całego zamieszania bynajmniej nie spotkał się z potępieniem. Osiem lat po wystawieniu „Koszmaru" w Royal Academy został członkiem tej konserwatywnej instytucji (obraz dyplomowy „Thor walczący z wężem Midgardu" dotarł na paryską wystawę), a po następnych pięciu latach jej szefem. Wywarł duży wpływ na nowe pokolenie angielskich malarzy. Henry Fuseli umarł jako człowiek otoczony powszechnym szacunkiem. W uznaniu zasług pochowano go w londyńskiej katedrze św. Pawła.

NIEBEZPIECZNE MODNISIE

Z kilku szkiców wystawionych w Musée Jacquemart-André można wnosić, że ojciec chrzestny symbolizmu był o wiele lepszym rysownikiem niż malarzem. Operując ołówkiem lub kredką, stawał się bardziej precyzyjny, kilkoma kreskami umiał trafić w sedno tematu. Czy tworzył te obrazki wyłącznie na własny użytek? Nie można wykluczyć, że krążyły w zaufanym, męskim gronie. Sporo z nich przedstawia bowiem kobiety – i to w sposób zupełnie inny niż w dziełach pokazywanych publicznie.

„Oficjalne" dzieła Szwajcara zaludniają, podpatrzeni u Michała Anioła, atletycznie zbudowani panowie, uosabiający wielkie idee i dramaty. Rysunki świadczą natomiast, że płeć piękna frapowała Johanna Heinricha już jako nastolatka. Wątek, w Paryżu zaledwie zasygnalizowany, doczekał się rozwinięcia w Londynie. W Somerset House, gdzie artysta pracował i mieszkał, w październiku otwarto ekspozycję „Fuseli and Modern Woman: Fashion, Fantasy, Fetishism". Główną bohaterką zbioru rycin i akwareli jest Sophia Rawlins, zawodowa modelka i żona malarza, młodsza od niego o 20 lat. Portretował ją jako Meduzę, Pandorę i Nemezis, zachęcał do przebieranek. Fuseli miał bowiem obsesję na tle dziwacznych fryzur i najnowszych trendów mody, która w czasach regencji księcia Walii, późniejszego Jerzego IV, biła rekordy ekstrawagancji.

Od wyidealizowanych ciał, przypominających antyczne posągi, wolał damy odziane w gorsety, paski, bufiaste rękawy i szpiczaste buty. Nie mają one w sobie nic z uległych i bezradnych niewiast z obrazów Bouchera, Fragonarda, Ingresa czy nawet samego Fuselego. Są władcze i niedostępne. Erotyzm, podskórnie obecny w dziełach eksplorujących nocne wizje, wychodzi tutaj na wierzch.

„Nienawidzę inteligentnych kobiet, bo z nimi są tylko kłopoty". Zdaje się, że wygłaszając takie opinie, nasz bohater dawał upust nie tyle mizoginii, ile lękowi zmieszanemu z fascynacją. Niektóre rysunki wystawione w Londynie to czysta pornografia. Było ich więcej, ale po śmierci autora wdowa paliła nimi w kominku. No cóż, Fuseli nie żył w epoce wiktoriańskiej. W tym samym roku, w którym zaskoczył Anglików „Koszmarem", po drugiej stronie kanału La Manche ukazało się pierwsze wydanie „Niebezpiecznych związków" Laclosa, a wkrótce na rynek miały trafić utwory markiza de Sade.

Wielce ceniony przez wyspiarzy pejzażysta William Turner miał zwyczaj dokumentować wizyty w burdelach. Czy panie portretowane przez Fuselego też wykonywały najstarszy zawód świata czy zrodziły się w bujnej wyobraźni artysty? Tego się nigdy nie dowiemy. W lutym londyńska wystawa zostanie przeniesiona do Zurychu. W roku 2025 minie 200 lat od śmierci autora „Koszmaru" i można być pewnym, że ów jubileusz zostanie godnie uczczony nie tylko przez Brytyjczyków i Szwajcarów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Füssli, królestwo marzeń i fantazji" w paryskim Musée Jacquemart-André była otwarta do 23 stycznia. Ekspozycję „Füssli. Moda – Fetysz – Fantazja" w Kunsthaus Zürich można oglądać od 24 lutego do 21 maja.

eprasa.pl 88d2eb15d9

Ludzie i osiołki

Piotr Gociek

Amerykańscy krytycy obwołali „IO" najlepszym filmem roku 2022. To najciekawsze dokonanie Jerzego Skolimowskiego od czasu comebacku reżysera w roku 2008

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

To całkiem niezły rodzaj emerytury – pomyślałem wtedy. Było ciepłe, leniwe, późne popołudnie w Malibu. W domu Jerzego Skolimowskiego na stromym wzgórzu przy oceanie, pośrodku living roomu, stał stół do bilarda amerykańskiego, a wszędzie dookoła stały oparte o ściany świeżo namalowane obrazy. Był rok 2001, od poprzedniego filmu Skolimowskiego minęło 10 lat, i, szczerze mówiąc, wątpiłem, czy jeszcze jakieś nakręci. Pytany o nowe projekty, odpowiadał zdawkowo (że coś tam w głowie ma), w sposób, który sprawia, że nigdy nie wiesz, czy indagowany rozmówca chce uprzejmie powiedzieć, żeby dać mu święty spokój, czy też ma coś dopięte na ostatni guzik, ale nie może zdradzić szczegółów. Milcząco zakładałem raczej to pierwsze.

UCZUCIE ULGI

Przyleciałem do Los Angeles z chłopakami z Fundacji Tumult organizującej Camerimage. Okazja zacna – hołd składany Krzysztofowi Kieślowskiemu przez amerykańską Akademię Filmową. Na uroczystości pojawiła się ciekawa grupka: reżyserzy Arthur Hiller, Paul Mazursky i paru innych, kilku producentów; z Polski przyjechali m.in. Agata Buzek, Maria Gładkowska czy operator Jacek Petrycki. Intensywnych kilka dni; oprócz obowiązkowego łażenia po Hollywood był też rekonesans na planie „Mulholland Drive" Davida Lyncha i kilka innych atrakcji, no i wspomniana wizyta u Skolimowskiego. Bilard, piwo, basen i luźne pogaduchy; z ogrodu widok na nieskończony błękit, w oddali słynny Santa Monica Pier, a na niebie przypominające sterowce balony reklamujące opony. I zdawało się, że z tego zakątka Skolimowski będzie już tylko wybierał się na rozmaite ceremonie ku czci… własnej albo nieżyjących już kolegów.

Nie stawiajcie przedwcześnie krzyżyków na artystach, nawet jeżeli zdążyli już odebrać nagrody za całokształt twórczości (Skolimowski – w 2016 r. w Wenecji). Polski reżyser nie tylko w 2011 r. podbijał festiwal w Wenecji filmem „Essential Killing", lecz także od niespełna roku zacząć dopisywać do CV kolejne laury, zdobywane dzięki filmowi „IO" („EO") – Nagroda Jury na festiwalu w Cannes, nominacja do Cezara, do Europejskiej Nagrody Filmowej, a w ostatnich dniach przede wszystkim nominacja do Oscara. I spore szanse na

eprasa.pl 88d2eb15d9

Kadr z filmu „IO" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

wygraną, bo film bardzo podobał się amerykańskim krytykom. Wielu z nich umieszczało „IO" w swoich zestawieniach najlepszych filmów roku 2022, a stowarzyszenia krytyków z Nowego Jorku i Los Angeles (oraz Amerykańskie Stowarzyszenie Krytyków Filmowych), przyznając swoje nagrody, ogłosiły najnowsze dzieło Skolimowskiego filmem najlepszym.

„Wypadałoby mi być szczęśliwym, ale głównie mam uczucie ulgi, bo wyobrażam sobie, jakbym się czuł, gdybym nie dostał tej nominacji" – mówił Skolimowski na konferencji w Polskim Instytucie Sztuki Filmowej. „Wykonaliśmy rzeczywiście katorżniczą pracę i głównie ze względu na rozmiar wysiłku, jaki poświęciliśmy kampanii". Zdobywanie nominacji oscarowych i samych Oscarów to rzeczywiście osobny rodzaj sztuki, za którą kryje się gigantyczny wysiłek promocyjny. „Stąd ulga, że ten wysiłek nie poszedł na marne. Była to właściwie robota głupiego – objaśniał Skolimowski – odwalałem konieczność, którą trzeba było zrobić, żeby zamanifestować swoją obecność tam, żeby dostać się na trzecią lub siódmą stronę jakiegoś pisma, żeby jakaś tam wzmianka była, bo ta wzmianka się liczy tak, jak teraz będzie się liczyć liczba okładek branżowych pism".

Miłe to narzekania i jestem dziwnie przekonany, że „Skolim" nie zamieniłby tego wysiłku na rozbijanie piramid bil w zaciszu swojego domu. Dobrze powalczyć o Oscara, 85 lat na karku w tym nie przeszkadza (zapytajcie Clinta Eastwooda).

NAJLEPSZY FILM „NOWEGO" SKOLIMOWSKIEGO

„IO" to jednocześnie film zignorowany przez jury ubiegłorocznego Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni – obraz, który wystawiono do walki o oscarową nominację, nie dostał tam żadnej nagrody. Uznano ponoć, że to film za dobry, by go nagradzać – w myśl zasady, że mistrz przerasta konkurencję tak bardzo, iż uznanie dla niego zaburzyłoby logikę konkursu. To oczywiście nie tylko rozpaliło bieżące dyskusje krytyków i dziennikarzy, lecz także odnowiło stary spór związany z charakterem gdyńskiej imprezy: Jak traktować na nim nowe filmy mistrzów polskiego kina? Pokazywać je poza konkursem, na specjalnych prawach, jako uświetnienie imprezy? Czy dopuszczać do wyścigu i liczyć się z tym, że zmiażdżą w większości kategorii mniej doświadczoną i cenioną konkurencję? Jury ubiegłorocznego festiwalu, włączając do selekcji konkursowej „IO", a następnie film pomijając, wybrało trzecią drogę, która nie zadowoliła nikogo. A już na pewno nie Jerzego Skolimowskiego.

Nie mam wątpliwości, że „IO" to najlepszy film „nowego" Skolimowskiego – można rzec „drugiego Skolimowskiego", Skolimowskiego po reaktywacji z 2008 r., kiedy to po hibernacji trwającej 17 lat reżyser powrócił filmem „Cztery noce z Anną". (Potem nakręcił jeszcze wspomniany „Essential Killing" oraz „11 minut" plus krótkometrażówkę pandemiczną dla HBO i, oczywiście, „IO"). Jednocześnie wciąż nie zdecydowałem, czy przypadkiem nadal nie wolę „starego" Skolimowskiego, „pierwszego" Skolimowskiego. Wiem, że on sam zaraz by się obruszył; po comebacku opowiadał w wywiadach, jak wielu nowych rzeczy się nauczył, jak inaczej patrzy na kino. I tym samym dyskredytował swoje pierwsze filmy, bardziej jako dzieła instynktu i talentu niż przemyślane propozycje autora świadomego możliwości medium.

Otóż ja pierwsze filmy Skolimowskiego uwielbiam i uważam, że to właśnie w nich widać najlepiej jego pazur, jego osobny charakter pisma. Nie bez powodu francuscy krytycy z kręgu „Cahiers du Cinéma", podsumowując rok 1966 w kinie, umieścili „Walkower" na drugim miejscu swojego top 10. Skolimowski przegrał wtedy jedynie z Robertem Bressonem, pokonał zaś m.in. Godarda, Hitchcocka, Rosselliniego czy Johna Forda. Dwa lata później w rankingu za rok 1968 wylądował na miejscu siódmym, pokonując choćby dwa filmy Truffauta. Komunistyczne władze PRL, wypychając Skolimowskiego z kraju (i stawiając na półki film „Ręce do góry"), zamknęły jednocześnie ten etap jego twórczości, tak jak zmiażdżenie Praskiej Wiosny czołgami Układu Warszawskiego brutalnie przecięło kariery tak wielu twórców czechosłowackiej nowej fali.

Wyrzucony z Polski, poradził sobie znakomicie – w każdym razie taki był początek, bo na dzień dobry nakręcił za belgijskie pieniądze film „Start" („Le départ"), który zdobył od razu Złotego Niedźwiedzia na festiwalu w Berlinie. Potem bywało różnie, ale da się zauważyć pewną prawidłowość: tam, gdzie zaufano Skolimowskiemu, powstawały rzeczy wybitne – taki jest film „Na samym dnie" („Deep End", 1970). Tam, gdzie próbowano wtłoczyć go w ramy machiny rozrywki lekkiej, łatwej i przyjemnej, kończyło się to katastrofą („Przygody Gerarda", 1970).

Lwi pazur pokazał znów Skolimowski w filmie „Wrzask" („Shout", 1978) nagrodzonym w Cannes Wielką Nagrodą jury. Z kolei lata 80. to przede wszystkim znakomita „Fucha" („Moonlighting", 1982) z Jeremym Ironsem, nagrodzona za scenariusz w Cannes. Poruszająca opowieść o polskich emigrantach pracujących na czarno w Londynie (szef ukrywa przed nimi to, że wprowadzono stan wojenny) powstała szybko i za skromne pieniądze. Irons dostępny był przez krótkie okienko między innymi projektami. – To było wariactwo, czyste wariactwo – kręcił głową Skolimowski, kiedy robiłem z nim wywiad

eprasa.pl 88d2eb15d9

pod koniec lat 90. w Toruniu na festiwalu Camerimage. I umniejszał swój wysiłek, podkreślając raczej rolę splotu szczęśliwych zbiegów okoliczności tudzież wysiłku producentów i gromadki ludzi dobrej woli, dzięki którym przedsięwzięcie w ogóle okazało się możliwe.

Potem kolejne filmy: niezbyt udany „Najlepszą zemstą jest sukces" („Success Is the Best Revenge", 1984) oraz niedoceniony wówczas, a nabierający klasy z upływem lat thriller psychologiczny „Latarniowiec" („The Lightship", 1985), z Robertem Duvallem i Klausem Marią Brandauerem, według powieści Siegfrieda Lenza. No i bardzo ciekawe podejście do prozy Turgieniewa w „Wiosennych wodach" („Torrents of Spring", 1989). Wreszcie w 1991 r. „Ferdydurke" („30 Door Key"), chyba niepotrzebnie na siłę umiędzynarodowiony, w efekcie oderwany od polskiej tradycji, a na zewnątrz i tak niezrozumiały. Potem długa, 17-letnia przerwa, w trakcie której Skolimowski przypominał o sobie, ale jako aktor, pojawiając się w epizodach u Tima Burtona („Marsjanie atakują!"), Davida Cronenberga („Wschodnie obietnice") czy Juliana Schnabela („Zanim zapadnie noc").

Jerzy Skolimowski do dziś pozostaje artystą osobnym, łączącym unikatowe, własne spojrzenie na kino z coraz większą maestrią w operowaniu językiem kina. „Essential Killing" zachwyca wizualnie, przykuwa uwagę traktowaniem przestrzeni, choć pozostaje filmem pustym. „11 minut" to doskonałe ćwiczenie z formy. „IO" jest zaś dowodem na to, że zatęsknił Skolimowski za kinem jako traktatem filozoficznym, i w pewnym sensie blisko temu malarskiemu filmowi do najciekawszych dokonań Lecha Majewskiego. Obraz, muzyka, prowadzenie aktorów, rytm opowieści – wszystko jest tu na najwyższym poziomie. Podstawowa różnica polega na tym, że Majewski idzie tropem metafizycznym, Skolimowski zaś Boga w kinie nie szuka. Co zresztą sprawia, że tak nietrafione były pojawiające się od chwili premiery „IO" słowa o tym, że to hołd dla Roberta Bressona i jego „Na los szczęścia, Baltazarze".

Związek oczywiście istnieje, ale polega na czym innym. Po pierwsze, jak opowiadał po latach Skolimowski, właśnie słynny film Bressona zrobił na nim za młodu największe wrażenie, łamiąc serce i pokazując, jak wielkie może być kino. Po drugie, zarazem obaj byli – Skolimowski i Bresson – częścią tego wspaniałego zamieszania w kinie europejskim lat 60. Pisałem wcześniej o tym, jak podsumowując rok 1966, krytycy „Cahiers du Cinéma" wstawili „Walkower" na drugim miejscu top 10. Kto wygrał? Właśnie Robert Bresson z filmem „Na los szczęścia, Baltazarze".

POLEMIKA Z BRESSONEM

Arcydzieło francuskiego reżysera pozostało w głowie Skolimowskiego, aż postanowił… No właśnie: nie złożyć hołd, nie naśladować, nie inspirować się Bressonem, lecz wejść z nim w polemikę, bardzo zresztą współczesną. U Bressona podarowany dziewczynce osiołek zamieniał się w figurę religijną, a metafora dotyczyła wszystkich, którzy przewinęli się wokół jego zwierzęcego żywota. Był to film o tym, jak głęboko w nas tkwi grzech pierworodny; był to film, w którego centrum była ofiara, wedle chrześcijańskiej tradycji.

Skolimowskiego ten trop nie interesuje. U niego sympatyczne, cierpliwe zwierzę o smutnych oczach jest symbolem świata natury, z którym zderza się świat człowieka, i jest to zderzenie dobra ze złem. Taka interpretacja zachwyci wyznawców modnego dziś terminu „antropocen", argumentujących, że wszystko na

REŻ. JERZY SKOLIMOWSKI „IO" POLSKA, WŁOCHY 2022

Ziemi szłoby doskonale, gdyby nie podły homo sapiens, który naturalną harmonię niszczy. Na szczęście nie daje nam Skolimowski dzieła publicystycznego, lecz medytację skłaniającą do zastanowienia się nad relacją człowiek – natura. Także konserwatywni myśliciele w ostatnich dekadach zwracali na to uwagę, wspomnijmy choćby głośne dzieło Rogera Scrutona „Zielona filozofia. Jak poważnie myśleć o naszej planecie". Brytyjski, nieżyjący już, filozof konserwatywny wzywał do porzucenia utopii działań ponadnarodowych, systemów wymuszeń, kwot, haraczy itp., lobbując na rzecz osobistej odpowiedzialności każdego mieszkańca naszej planety za najbliższe otoczenie. Decydującą rolę przyznawał więc naszemu osobistemu wyborowi między dobrem a złem. Skolimowski w „IO" idzie podobną drogą, choć jestem przekonany, że nie Scrutona miał w głowie, kręcąc swój film.

Reszta to kwestia interpretacji – zapalczywi wyznawcy „antropocenu" wciągnąć mogą „IO" na sztandary, wołając: „Oto, jak odrażający jest człowiek!" (w domyśle: lepiej byłoby bez niego), z perspektywy chrześcijańskiej ujrzymy na ekranie dobrze znane pytanie, dlaczego, mając wybór między dobrem a złem, tak często wybieramy niewłaściwie, oraz wołanie o rozciągnięcie sfery moralności na naszych braci mniejszych (lecz starszych).

Wybór należy do widza. Dla mnie „IO" jest filmem pięknym i szczerym, opowiadał zresztą Skolimowski w wywiadach, jak bardzo jego samego zmieniła praca na planie, gdzie ze względów produkcyjnych ogrywał nie jednego, lecz całe stado osiołków dublerów. Z drugiej strony przypomina mi się, jak u początków swej kariery George Lucas mówił o tym, że bardzo łatwo jest manipulować emocjami publiki: „Każdy może to zrobić, nawet z zamkniętymi oczami. Wystarczy wziąć kotka i sprawić, by jakiś facet skręcił mu kark". Strzeżmy się manipulatorów emocjami i cynicznych ideologów, doceniajmy pięknie zrobione filmy.

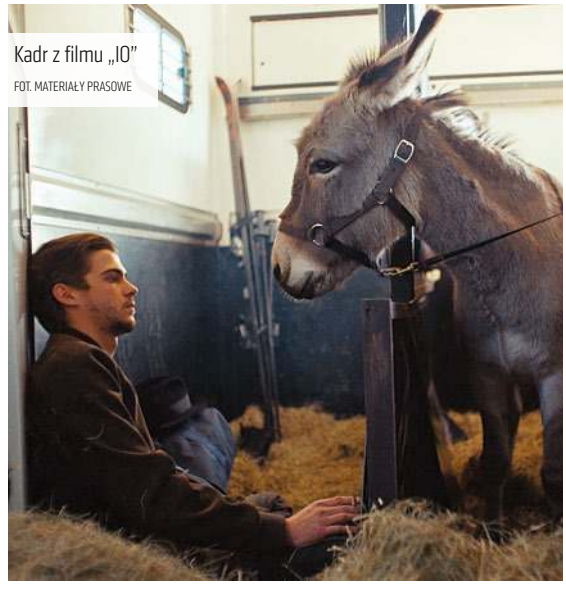

Kadr z filmu „IO"
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 88d2eb15d9

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Paryskie wieczory

iTunes
Rakuten
CANAL+ ONLINE

★★★★★★
REŻ. ANTHONY FABIAN
„PARYŻ PANI HARRIS" („MRS. HARRIS GOES TO PARIS")
WIELKA BRYTANIA 2022

dystr. iTunes, Rakuten, Canal+ Online

Oto bajka – twórcy filmu „Paryż pani Harris" mrugają do nas od samego początku. Przez londyńską mgłę kroczy kobieta w płaszczyku i kapeluszu, niewiele brakuje, by potrącił ją kominiarz na rowerze – ale to nie Mary Poppins szykuje się, by zapukać do drzwi rodziny Banksów. To pani Harris z Battersea, która 12 lat po wojnie nie może się pogodzić z faktem, że nie ujrzy już ukochanego męża (zginął jako pilot nad Warszawą).

Zauroczona widokiem sukienki od Diora w szafie damy, u której sprząta, wdowa Harris postanawia uskładać na własną. Wydatek? Bagatela 500 funtów. W roku 1957 była to równowartość dzisiejszych 15 tys. funtów (oto skala wyzwania). Plus, oczywiście, koszt podróży do Paryża. Pani Harris oszczędza na ogrzewaniu i świetle, gra na wyścigach i obstawia mecze, przede wszystkim jednak nie przestaje wierzyć, że jej się uda. Do optymistów świat należy. Powieść Paula Gallico, oryginalnie wydana w roku 1958, przeniesiono na ekran już po raz czwarty, ale nigdy dotąd nie dokonano tego z taką lekkością i wdziękiem. Największy w tym udział Lesley Manville, która jest w roli Ady Harris doskonała.

Gdy akcja przenosi się do Paryża, bajka wznosi się na kolejny poziom, bo pani Harris wkracza między postacie z wyższej sfery: kierującą domem Diora Claudine Colbert (Isabelle Huppert) czy markiza de Chassagne (Lambert Wilson). Samego Christiana Diora zagrał Philippe Bertin. Zabawy nie psują nawet powielane na ekranie stereotypy (wino, bagietka, kabaret, fascynacja Sartre'em), hasło „we Francji robotnik jest królem", mało odkrywcze kpiny z bogaczy. Pani Harris ma bowiem dobre serce i mądrą głowę, czym podbija świat także poza Londynem. Kolejna (czwarta!) ekranizacja powieści Paula Gallico z 1958 r. jest pierwszorzędną konfekcją filmową, którą warto wyłuskać spośród hałaśliwej, streamingowej tandety. Dodatkowym powodem do uśmiechu są szpile wbijane przez brytyjskich scenarzystów sąsiadom zza kanału La Manche: śmieciarze strajkują, „więc cały Paryż pachnie jak ja" – informuje kloszard z szerokim uśmiechem. Stolica Francji emanuje urokiem przebrzmiałym tudzież dekadencją. Bo przyszłość należy do ludzi robotnych i ogarniętych – jak pani Harris. ©℗

NOWE SERIALE: „RÓŻOWE LATA 90."

Stare dekoracje, nowe pokolenie: Leia, córka Erica i Donny, sprowadza się do domu dziadków w Point Place, by spędzić lato, poznać nowych przyjaciół, a nawet się zakochać. Dziesięcioodcinkowy sezon to bardziej epilog niż nowe otwarcie. Najlepiej wypadają aktorzy znani z oryginału. Gościnnie pojawiają się Topher Grace, Laura Prepon, Wilmer Valderrama, Mila Kunis i Ashton Kutcher. Debra Jo Rupp i Kurtwood Smith jako państwo Forman biją na głowę całą młodą obsadę. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***sezon 1 „Różowe lata 90." („That '90s Show"), USA 2023, Netflix***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 1 ***„Maria Antonina"***, Francja/Wielka Brytania 2022 (CANAL+)
- sezon 1 ***„Terapia bez trzymanki"***, USA 2023 (tv)
- miniseria ***„Zakłamane życie dorosłych"***, Włochy 2023

eprasa.pl 88d2eb15d9

Kac w Zakopanem

KINO

Przepis znany od lat: weź kilka historycznych postaci, umieść je w wyssanej z palca kryminalnej lub obyczajowej aferze, dodaj szczyptę seksu i trochę polityki. Jako nadzienia użyj dowcipów. Jeśli masz talent, to wyjdzie ci „Zakochany Szekspir". W przeciwnym wypadku wyprodukujesz zakalca w stylu „Czerwonej Wenecji", z Pszoniakiem profanującym Vivaldiego. Maciej Kawalski, choć debiutant, w filmowej kuchni poczyna sobie śmiało. Anachronizmów się nie boi, pozwala aktorom szarżować. Pomnikowe postaci traktuje z dezynwolturą godną galicyjskiego gimnazjalisty. Witkacy sam się prosił, lecz ministerstwo kultury nie dało raczej pozwolenia na szarganie pamięci Conrada, Szymanowskiego, Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej czy Nałkowskiej. I co na to Iwaszkiewicz? Uczciwie trzeba przyznać, że „Niebezpiecznych dżentelmenów" od upadku z Giewontu na dno farsy często ratują wykonawcy. Dorociński przechodzi sam siebie, Seweryn jest jak Connery w „Indianie Jonesie", Kot zaś już zapomniał, że był Religą, i chce zostać liderem antyklerykalnej krucjaty. Szkoda, że w końcówce reżysera opuściła odwaga. Nacisnął hamulec i nie skorzystał z okazji, by – wzorem Quentina Tarantino – zmienić historię. A mogło być tak pięknie. ©℗

★★★★☆☆

REŻ. MACIEJ KAWALSKI
„NIEBEZPIECZNI DŻENTELMENI"
POLSKA 2023

wyst. Tomasz Kot, Marcin Dorociński, Andrzej Seweryn

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ULUBIEŃCY AMERYKI

HBO max

Ethan Hawke bije pokłony przed Paulem Newmanem i Joanne Woodward, analizując karierę i życie prywatne słynnej pary, mniej usłane różami, niż przywykliśmy sądzić. Gdy zaczynali, w modzie było aktorstwo instynktowne i intensywne, całkowite utożsamianie się z rolą. Paul miał kompleksy. Sądził, że jest gorszą wersją Deana i Brando, nudziarzem pozbawionym osobowości. Joanne pierwsza zdobyła Oscara, lecz przystojny małżonek wkrótce przewyższył ją sławą.

Przed śmiercią spalił swoje prywatne archiwum, ale materiału i tak starczyło na sześć odcinków. Hawke namówił kolegów po fachu, bezrobotnych z powodu pandemii, do użyczenia głosów dramatis personae (Newmana dubbinguje George Clooney, Woodward – Laura Linney). Razi tylko bombastyczny tytuł. Epoka hollywoodzkich gwiazd wcale nie skończyła się wraz ze zmierzchem pokolenia wychowanków Actor's Studio. To tylko kino wróciło do jarmarcznych korzeni. ©℗

★★★★☆☆

REŻ. ETHAN HAWKE
„OSTATNIE GWIAZDY KINA" („THE LAST MOVIE STARS")
USA 2022

OSTATNI TANIEC

KINO

Krytycy pieją z zachwytu, widzowie są zdezorientowani („O co tu chodzi?" – usłyszałem w kinie). No cóż, „Aftersun" nie jest filmem lekkim, łatwym i przyjemnym, choć większa część akcji rozgrywa się w śródziemnomorskich okolicznościach przyrody. Trochę przypomina zeszłoroczną „Córkę": gdziekolwiek pojedziesz, wewnętrzne demony będą ci towarzyszyć. Kluczową postacią jest 11-latka, która wiele widzi, ale mało jeszcze rozumie. Sophia spędza wakacje z rzadko widywanym ojcem. Nie stać go na all-inclusive, lecz stara się spełniać zachcianki dzieciaka. Kupił nawet kamerę, by rejestrować ulotne chwile szczęścia. Domyślamy się, że opuścił rodzinną Szkocję nie tylko z powodu braku słońca; mówiąc zaś, że daleko od domu można być, kim się chce, próbuje przekonać sam siebie. Mescal dostał za ten występ nominację do Oscara, ma zagrać główną rolę w sequelu „Gladiatora". Russell Crowe czekał dłużej. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. CHARLOTTE WELLS
„AFTERSUN"
WIELKA BRYTANIA/USA 2022

wyst. Paul Mescal, Francesca Corio, Celia Rowlson-Hall

GRA TYGODNIA: „FIRE EMBLEM ENGAGE"

„Fire Emblem Engage" to bardzo dobra pozycja z szerokiego już portfolio Nintendo taktycznych japońskich erpegów. To, co w takich tytułach niezmiernie istotne, czyli system walki, jest w „FEE" zrobione bardzo dobrze. Fabuła? Królestwa kontynentu Elyos jednoczą się przeciwko wspólnemu wrogowi, istocie zwanej Upadłym Smokiem. Z tysiącletniego snu budzi się nadzieja na jego pokonanie – Boski Smok Alear. Postaci są nakreślone wyraziście (zarówno jeśli chodzi o ich charakter, jak i kreskę). Mocne wejście Nintendo w siódmy (!) rok Switcha na rynku. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★☆

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *jRPG, tRPG*
- ***Platforma:*** *Nintendo Switch*
- ***Producent; wydawca PL:*** *Intelligent Systems, ConQuest Entertainment a.s.*

eprasa.pl 88d2eb15d9

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Poezja niewyszukana

Na pierwszy rzut oka nowy tom wierszy Justyny Chłap-Nowakowej „Dziecięce zabawy" sprawiać może wrażenie poetyckiej książki wspomnień. I autorzy, i czytelnicy uwielbiają podobne powroty do dzieciństwa, odnajdujemy w nich siebie samych, tęsknimy przecież wszyscy do czasów „sprzed pogrzebów", jak je nazywał ks. Twardowski, do lat szkolnych, a może nawet przedszkolnych, wraz z upływem lat coraz bardziej je idealizując. W końcu „Kraj lat dziecinnych! On zawsze zostanie / Święty i czysty jak pierwsze kochanie". I nie ukrywam, że podobnie jak u Ernesta Brylla, który pisze o tym w swoim pięknym liście stanowiącym rodzaj posłowia do tego tomu wierszy, w trakcie lektury najbardziej „odpomniał" we mnie ten czas, „kiedy sam byłem bohaterem dziecinnych zabaw".

Tylko że poezja Justyny Chłap-Nowakowej, niezależnie od wzruszeń, które ze sobą niesie, odległa jest od powszechnego dzisiaj kultu niedojrzałości. Dlatego za najważniejszy utwór czwartego tomu liryków tej autorki uważam „Żegnanie z Piotrusiem Panem" z przyznaniem się, że „i z Peerelu dzieciństwo się cukruje…", i do tego, że choć w dzieciństwie umiało się – wbrew prawom grawitacji – latać, a dzisiaj już nie, to czy rzeczywiście wystarczający to powód, by pozostawać „tak jak Piotruś Pan, / stare, uciekające wciąż dziecko – / od czego? Ku czemu? Aż po wieczność?". Nie, wszystko ma swój czas, także, a może przede wszystkim nasze życie, w którym „ledwie wstał ranek, / a to już wieczór minął i cichcem przyszło jutro". Nic dziwnego więc, że poetyckie pożegnanie z Piotrusiem Panem kończy suplika: „Dopomóż, Panie, dorosnąć. / Dopłynąć, nie wypaść za burtę".

„A jakie to jutro cichcem przychodzi?" – pytaniem tym nawiązuje Ernest Bryll do wierszy „Dziecięcych zabaw", wśród których znajdziemy również utwory odnoszące się do naszej historii najnowszej, m.in. Orląt Lwowskich, wojny i okupacji czy pogrzebu bł. ks. Jerzego Popiełuszki. O kształcie tomu decydują jednak najbardziej takie wiersze jak „Kantyczka" o „Dzieciąteczku w stajeneczce", nad którym pastuszkowie czuwają gromadką „i się dziwują – taka Drobina, / Pan tyci, a jak chwyci / Swoją maleńką rączyną, / to świat w niej cały utrzyma!".

I nieprzypadkowo prof. Maciej Urbanowski we wstępie do tomu Justyny Chłap-Nowakowej porównuje „Dziecięce zabawy" do o sto lat wcześniejszych „Rymów dziecięcych" Kazimiery Iłłakowiczówny, sugerując, że już sam tytuł książki „jest może rodzajem hołdu dla poetyckiej patronki i sygnałem związku z liryczną tradycją, którą reprezentowała Iłłakowiczówna, tradycją poezji skamandryckiej, kobiecej i katolickiej jednocześnie". To także poezja z całą mocą przeciwstawiająca dobro złu, prawdę kłamstwu, mądrość przemądrzałości. Pewnie i dlatego przeszłość wnosi w przedstawiony świat wartości pozytywne, współczesność – w najlepszym razie niepokoi.

Nie ująłbym tego lepiej i celniej niż Maciej Urbanowski, który pisze: „Dzisiaj dominuje w poezji polskiej postawa skrajnego pesymizmu, nawet katastrofizmu, a dalej dystansowania się wobec rzeczywistości, napawania się przez poetów samotnością, odtrąceniem, wykluczeniem, czym tam jeszcze chcecie. Słowem: »mała rozbita dusza z wielkim żalem nad sobą«, że przywołam słowa klasyka.

Otóż w wierszach autorki »Dziecięcych zabaw« nie ma nic z tego jęczenia, szlochania, krzyczenia… Jest postawa, którą za Karolem Ludwikiem Konińskim nazwałbym zaufaniem do rzeczywistości […], do jej głębokiego sensu, porządku, urody".

Ale ta ufność nie oznacza wcale afirmacji. Przedstawiany świat nie tylko zachwyca, lecz także napawa smutkiem. Z goryczą i troską pisze Justyna Chłap-Nowakowa o tych, którzy „Próbują znów zabić Boga, / Tym razem w nas i skutecznie. / A my milczymy, / roztyło się nasze serce". W innym wierszu wyznaje: „Coraz mniej rozumiem świat. / A może nie chcę go znać. / Nie przemówię odmienionym językiem. / Przeraża i duch jego, i litera, / słowa odwrócone na nice".

W wierszu „Sepet" autorka wylicza „różne słówka seraficzne, / poetyckie sztuczki śliczne", odnotowuje też „całe mrowie: / mecyj, dziwów niesztampowych, / dla głębi i dla ozdoby", gdzieś tam mądrzył się „»jazyk zaumnyj« / (niezawodny gwóźdź do trumny), / synestezja i finezja…". Wszystko to uleciało gdzieś. A co zostało? „Jedna tylko ocalała / boczna skrytka bardzo mała / z napisem NIEWYSZUKANE". I to „z nimi zostanę" – deklaruje poetka.

A ja mam nadzieję, że czytelnicy „Dziecięcych zabaw" zostaną z wierszami Justyny Chłap-Nowakowej. Niewyszukanymi właśnie, co w tym wypadku proszę traktować jako najwyższy komplement. ©℗

★★★★☆

JUSTYNA CHŁAP-NOWAKOWA „DZIECIĘCE ZABAWY" BIAŁY KRUK, KRAKÓW 2022

eprasa.pl 88d2eb15d9

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Wyznania fajnego chłopca

Najciekawsze w książce Dave'a Grohla jest to, co w niej ominięto. Muzyk, który był częścią grupy Nirvana, jednego z największych fenomenów muzycznych ostatniego półwiecza, omija ten okres swojego życia. Wiele dowiadujemy się o tym, jak mały Dave dorastał – i o tym, jak sam został tatą. O tym, co sobie mały Dave wymarzył – i o tym, jak wiele udało mu się zrealizować. No dobrze, ale czy bylibyśmy zainteresowani autobiografią muzyka grupy Queen, który ominąłby w swoich wspominkach Freddiego Mercury'ego?

O Nirvanie Grohl nie pisze prawie nic, o Kurcie Cobainie troszeczkę. Sposób, w jaki go wspomina, sugeruje, że być może jest to trauma, z którą nie oswoił się nawet po niemal trzech dekadach od śmierci kumpla. „Życie stało się długą serią pierwszych razów. Pierwsza filiżanka kawy, odkąd zniknął. Pierwszy posiłek. Pierwszy telefon. Pierwsza jazda samochodem i tak dalej, i tak dalej" – pisze Grohl w rozdziale „On nie żyje". A może jako człowiek stroniący od konfliktów nie chciał jakimiś szczegółami podsycać toczonego do dziś ostrego sporu „dlaczego?", „kto zawinił?".

Istnieje życie po Nirvanie, i to całkiem udane życie – takimi słowami rekomendowałem w 2016 r. („Do Rzeczy" nr 30/2016) książkę „Foo Fighters" Mike'a Walla. Tam jest dużo i mocno zarówno o Nirvanie, jak i o najważniejszym przedsięwzięciu Grohla w erze „pocobainowskiej". „The Storyteller. Opowieści o życiu i muzyce" to wspomnienia głównie ciepłe i sympatyczne. W porównaniu z wieloma kumplami z branży Grohl miał szczęście: nawet demony, które go zżerały, były jakieś sympatyczne (trudno mi nie sympatyzować z człowiekiem, który opowiada o swoim uzależnieniu od kawy).

W czasach, kiedy każda biografia musi być opatrzona słowem „przełomowa", każde wspomnienia słowem „demaskatorskie", opowieść Grohla (jak wieść niesie, napisał ją sam, bez ghostwritera) robi wrażenie staroświeckiej i nazbyt uładzonej. Okazało się jednak, że takiej właśnie książki czytelnicy potrzebowali, bo „The Storyteller" błyskawicznie stał się bestsellerem w Stanach, a i u nas szybko rośnie liczba jego czytelników. Z każdego cyfrowego okienka dopadają nas nowe strachy, tymczasem na okładce książki Grohla wita nas brodaty chłopiec, któremu wszystko się w życiu dobrze ułożyło. Jak tu za takim życiem nie tęsknić? ©℗

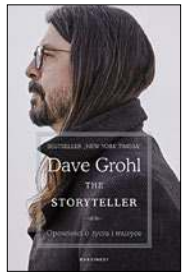

★★★★☆☆

DAVE GROHL „THE STORYTELLER. OPOWIEŚCI O ŻYCIU I MUZYCE"
MARGINESY 2022

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Skąd u Rosjan entuzjazm wobec wojny i barbarzyństwa własnych żołnierzy? „O ideowych źródłach rosyjskiej agresji" (podtytuł) to opowieść przerażająca, wskazująca na głębokie historyczne korzenie procesów kształtujących Rosję.

PIOTR SKWIECIŃSKI „KONIEC RUSKIEGO MIRU?" FUNDACJA ŚW. MIKOŁAJA

Działanie łaski Bożej na grupę odmiennych, lecz mocno ze sobą związanych osób – tak pisarz streszczał książkę, która jest jedną z jego najważniejszych powieści. Nostalgia, ironia i psychologiczna przenikliwość. Klasyka.

EVELYN WAUGH „POWRÓT DO BRIDESHEAD" WYDAWNICTWO CZARNE

„Jak odnaleźć równowagę w epoce obfitości" – zastanawia się autorka, kiedy społeczeństwo i konsumpcyjna kultura wymagają od nas płacenia za kolejne podniecające bodźce, ale to, zamiast uszczęśliwiać, prowadzi do bólu.

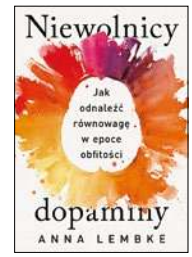

ANNA LEMBKE „NIEWOLNICY DOPAMINY" ZYSK I S-KA

Jak modlił się Jezus? Jaki wzór modlitwy nam pozostawił? Wychodząc od dobrze znanych scen z Ewangelii, proponował Benedykt XVI głęboki dialog z Bogiem, naukę odczytywania tego, co nas dotyka, w perspektywie Jego woli. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

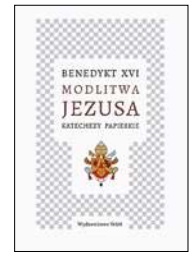

BENEDYKT XVI „MODLITWA JEZUSA. KATECHEZY PAPIESKIE" WAM

KOMIKS TYGODNIA: „MŁODY LEONARDO"

Bawiąc, uczyć, lekcja na najwyższym poziomie: francuski rysownik i scenarzysta William Augel łączy tradycję komiksu humorystycznego z opowieścią edukacyjną o osiągnięciach Leonarda da Vinci. Pojedynczym scenkom towarzyszą często krzepiące cytaty z notatek mistrza. Komiks jest częścią serii „Mali Geniusze", w której ukazały się także opowieści o małym Mozarcie, Agacie Christie i Katherine Johnson. ©℗ ***Piotr Gociek***

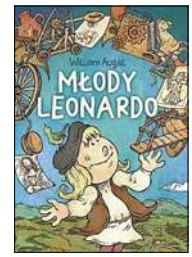

WILLIAM AUGEL „MŁODY LEONARDO" SCREAM COMICS 2022

eprasa.pl 88d2eb15d9

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

W rocznicę Stycznia

Dwa miasta. Warszawa i Kraków. Dwie wystawy. Ten sam temat. Powstanie styczniowe. W 160. rocznicę największej i najdłużej trwającej polskiej insurekcji, powstania przeciw rosyjskim ciemiężcom, które zjednoczyło Polaków, Litwinów, Białorusinów i Ukraińców.

FOT. MN W KRAKOWIE/ PAWEŁ CZERNICKI

Na wystawie „Miłość i obowiązek. Powstanie styczniowe 1863" w pałacu Pod Blachą w Warszawie prezentowane są obrazy, grafiki, rysunki, a także artefakty z epoki: fotografie, stroje cywilne i mundury, broń, biżuteria patriotyczna, przedmioty osobiste. Eksponaty pochodzą z muzeów w Polsce, na Litwie i na Ukrainie. Zamek Królewski w Warszawie zorganizował ją we współpracy z Litewskim Muzeum Narodowym w Wilnie i w partnerstwie z Muzeum Wojska Polskiego.

Na wystawie w Sukiennicach zebrano pamiątki po powstańcach (broń, przedmioty osobiste, np. lunetę po dyktatorze powstania Romualdzie Traugutcie, pukiel włosów Zygmunta Sierakowskiego i fotografię jego córeczki, guzik z chleba wykonany przez więźnia Cytadeli Warszawskiej) i sztandary przechowywane w zbiorach Muzeum Narodowego w Krakowie oraz ikonografię wodzów powstania, bitew i potyczek stoczonych z wojskami carskimi. Jednym z najcenniejszych eksponatów jest sztandar, który najprawdopodobniej był używany przez oddziały pod dowództwem Edmunda Taczanowskiego w 1863 r. ©℗

GDZIE? ***Zamek Królewski w Warszawie***
KIEDY? ***do 16 kwietnia***
GDZIE? ***Galeria Sztuki Polskiej XIX w. w Sukiennicach***
KIEDY? ***do 30 czerwca***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Zamilkł niezwykły głos

Dwa tygodnie temu, w wieku 81 lat, odszedł David Crosby – jeden z najważniejszych muzyków amerykańskich ery flower power i kalifornijskiej sceny lat 70.

Historia jego życia nadaje się na niezły scenariusz filmowy. Ojciec, Floyd, był operatorem filmowym nagrodzonym Oscarem w 1931 r. David miał zostać aktorem, ale zamiast tego założył w 1963 r. zespół The Byrds, który był pionierem amerykańskiego folk rocka. Następnie współtworzył supergrupę Crosby, Stills & Nash. Jej utwór „Guinnevere" nagrał sam Miles Davis, a debiutancki album „If I Could Only Remember My Name…" z 1971 r. stał się klasykiem kalifornijskiego rocka. Później David zasłynął z… nadwagi i narkotykowych ekscesów, które doprowadziły go w 1985 r. do więzienia. Powstał, unormował życie osobiste, wymienił wątrobę i w końcu z Lighthouse Band powrócił na należne mu miejsce w świecie muzycznym.

Album zawiera zapis koncertu z 2018 r. Crosby zawsze słynął z tworzenia wspaniałych wokalnych harmonii, dlatego członkami jego zespołu zostało troje wokalistów/multiinstrumentalistów. Crosby jest w świetnej formie, a młodzi muzycy wspaniale go uzupełniają, tworząc wspólnie chóralne symfonie. Na repertuar albumu składają się piosenki z dwóch albumów Lighthouse Bandu oraz standardy (m.in. „Guinnevere", „Déjà Vu" i „Woodstock"). ©℗

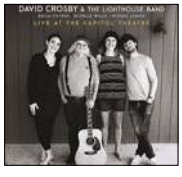

★★★★★☆

DAVID CROSBY & LIGHTHOUSE BAND
„LIVE AT THE CAPITOL THEATRE"
BMG

★★★★★☆

RÓŻNI WYKONAWCY
„MĘSKIE GRANIE 2022"
MYSTIC

Album podsumowujący coroczny festiwal muzyczny. W 2022 r. supergrupę tworzyli: Bedoes, Krzysztof Zalewski i duet Kwiat Jabłoni. Na pierwszym CD jest 13 coverów i hymn „Jest tylko teraz", na drugim CD usłyszymy 13 dodatkowych wykonawców. ©℗

★★★★★☆

RÓŻNI WYKONAWCY
„KNOCK DOWN – POLISH ANIMATED SHORTS"
GAD

Elektroniczne wizje stworzone do artystycznych filmów powstałych w Studiu Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej w latach 1975–1984. Utwory Marka Wilczyńskiego, Zbigniewa Lamparta czy Zenona Kowalowskiego pokazują nieznane dotąd oblicze polskiej elektroniki. ©℗

eprasa.pl 88d2eb15d9

Zgaduj-zgadula

Krzysztof Masłoń

FOT. TVP

Polacy podobno uwielbiają teleturnieje. Czy w nadmiarze jednak? Właśnie wystartował nowy, przepraszam za wyrażenie, format pod optymistyczną nazwą „Polacy to wiedzą". Tytuł zaskakujący, oglądając bowiem teleturnieje, od których roi się zwłaszcza w telewizji publicznej, odnieść można wrażenie, że Polacy raczej nie wiedzą niczego. Oczywiście poza zawodowcami, którzy przemieszczają się od „Jednego z dziesięciu" do „Gigantów historii", z „Va banque" do „Gigantów nauki" i Bóg raczy wiedzieć, gdzie jeszcze. W tej sytuacji start nowej przepytywanki, którą firmuje Robert El Gendy, wypadł nawet niezgorzej, rywalizowały bowiem ze sobą omnibusy wielokrotnie sprawdzone i doskonale znane telewidzom.

Kiedyś Marek Krukowski, zwycięzca prawie 60 teleturniejów, w tym 15 razy legendarnej „Wielkiej gry", pytany o swój udział w tych programach, powiedział: „Te pieniądze leżały w telewizji, po prostu się po nie schylałem". Dzięki temu przez dłuższy czas miał z czego utrzymać swoją rodzinę. Ci wszyscy, którzy idą w jego ślady, mają rację, choć nagrody w takiej np. „Grze słów. Krzyżówce" nie zawsze wystarczą na zakupy w Biedronce. Ale co robić, inflacja goni, drożyzna straszy i choć stówki rozdawane przez Radosława Brzózkę są, jakby to rzec, mało imponujące, to wiadomo, że grosz do grosza, a zbierze się kokosza.

Najokazalsza jest oczywiście TVN-owska kokosza, czyli „Milionerzy", w których starzeje się Hubert Urbański. Stacja z ulicy Wiertniczej zapowiada, że już wiosną uruchomi kolejny teleturniej, tym razem o charakterze rodzinnym (?), czyli „Let's Ask Poland", rodzimą wersję zaoceanicznego hitu „Let's Ask America". Ludzie to kupią? Zapewne, klasyk już dawno temu przepowiedział: „Ludzie to lubią, ludzie to kupią, byle na chama, byle głośno, byle głupio", co zresztą odnosi się nie tylko do teleturniejów, lecz także nie wyłącznie do telewizji.

A skoro przypomniany został już klasyk, czyli Wojciech Młynarski, to wśród tzw. masy teleturniejowej, bo oczywiście nie wśród profesjonalistów, natrafić można i na takich, którzy o nim nie słyszeli. Zresztą nie słyszeli chyba o niczym, niczego nie wiedzą, nikogo nie znają, za to parcie na szkło rozwinięte mają nad wyraz.

Największe szanse w teleturniejowej rywalizacji mają doświadczeni krzyżówkowicze. Przez lata wytrwale wypełniając diagramy, co nazwano rozrywką umysłową, przyswoili sobie tysiące haseł, na ogół potrafiąc te literowe zbitki przypasować do podanych definicji. Kiedyś Jerzy Urban, zanim stał się naprawdę złym człowiekiem, zasłużył sobie na nienawiść miłośników jolek, szarad i diakrostychów, obśmiewając w felietonie ich pozorną wiedzę, bo do czego – wywodził – przydaje się znajomość nazw dopływów rozmaitych rzek czy miejsc bitew stoczonych przed wiekami Bóg wie, gdzie i po co. Ale ten facet, celnie nazwany przez Jerzego Pilcha w „Marsz Polonia!" Bezetnym, uwielbiał podobne prowokacje i jakoś uchodziły mu one zawsze na sucho. Choć krzyżówkowicze mu tamtej obrazy nie zapomnieli, a ich grono powiększyło się znacznie od czasu, gdy dawne łamigłówki zastąpiły krzyżówki panoramiczne odznaczające się tym, że bez większych kłopotów rozwiązuje je absolwent szóstej klasy szkoły podstawowej. Dobra, niech będzie, że siódmej. I to z tych absolwentów rekrutują się ci wszyscy uczestnicy teleturniejów, którzy odpadają wprawdzie po kilku pytaniach, ale zanim się to stanie, wprawiają telewidownię w osłupienie swoją bezdenną ignorancją.

Telewizja wypełnia w ten sposób swoją funkcję edukacyjną (sic!), a prezenterzy trzepią kasę. Niekiedy odnieść można wrażenie, że cała ramówka to jeden wielki teleturniej, bo widząc niektóre twarze, nie wiemy, czy zaczyna się właśnie telewizja śniadaniowa, studio sportowe, program informacyjny czy jeszcze co innego. A to tylko wciąż ta sama zgaduj-zgadula. I nie wiem, dlaczego przeklęta pamięć podpowiada w tym miejscu stary, wulgarny zresztą, wierszyk-zagadkę. O kim to mogła być mowa: „Tańczy, śpiewa, recytuje, daje d.py i gotuje"? ©℗

eprasa.pl 88d2eb15d9

Rafał A. Ziemkiewicz

Powstańcza choroba dwubiegunowa

To obcy, a nie Polacy, wyznaczali momenty „zrywów zbrojnych". Nic zatem dziwnego, że były to momenty korzystne nie dla nas, a dla nich

Wszystkie nasze narodowe powstania, poza spychanym na drugi plan powstaniem wielkopolskim, są przedmiotem niekończących się sporów, rozgrzewanych kolejnymi rocznicami. Do tych najbardziej kontrowersyjnych należy powstanie styczniowe, którego niedawne stulecie obchodziliśmy w randze omalże nieoficjalnego święta narodowego, z udziałem najwyższych władz, nie tylko polskich, oraz specjalnymi programami państwowych mediów.

W tym jednak wypadku poszliśmy krok dalej, bo nie tylko odżyły spory o sens samego powstania i mitu, który zbudowano na nim ówcześnie, a zinstytucjonalizowano w Polsce sanacyjnej – jakoby odzyskanie niepodległości w roku 1918 było odłożonym w czasie zwycięstwem powstania styczniowego i bez tej ofiary wolnej Polski by nie było. Pojawia się także spór nowy: o nowy mit, który właśnie podczas niedawnych obchodów sformułowano w obozie rządzącym i jego mediach: wspólnej walki narodów polskiego i ukraińskiego (i białoruskiego, i litewskiego) przeciwko rosyjskiemu imperializmowi i moskiewskiemu samodzierżawiu.

Co do sporu pierwszego, toczonego od dawna, w istocie mamy w naszej debacie publicznej raczej dwa monologi. W obu używa się argumentów z innych dziedzin, nieporównywalnych i przez to niezazębiających się w żadną dyskusję, która mogłaby inaczej być pożyteczna dla przepracowania przez Polaków historii i zrozumienia prawideł rządzących polityką. Jedni „serce krwawią, duszę krwawią", mówiąc słowami wieszcza, uznając, że stojące za powstańcami racje moralne każą odrzucić jakiekolwiek wątpliwości motywowane kategoriami tak przyziemnymi, jak pragmatyzm, zysk czy strata. Drudzy mnożą racjonalne dowody, że żadne z powstań, zajmujących główne miejsca w romantycznej narodowej legendzie, od samego początku nie miało szans na powodzenie, a sposób ich prowadzenia dodatkowo sytuację pogarszał.

SYNTEZA ROMANTYZMU Z REALIZMEM

Najrozsądniejsza, i na swój sposób w tym nieprzekraczalna, wydaje się krytyka tradycji powstańczej dokonana przez Romana Dmowskiego. „Pan prezes", jak go nazywali współpracownicy i stronnicy, wbrew stereotypowi wynikającemu po części z powszechnej nieznajomości jego dorobku, a po części z bezrefleksyjnego traktowania propagandy reżimu sanacyjnego, nie ustawiał się bowiem w tym sporze po żadnej ze stron, ale próbował dokonać syntezy. W takim duchu zresztą kształtowało się całe myślenie zarówno Dmowskiego,

eprasa.pl 88d2eb15d9

Artur Grottger, „Kucie kos", rysunek z cyklu „Polonia", 1863 r.
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

jak i innych ojców założycieli endecji, bynajmniej, wbrew wspomnianej propagandzie sanacji, nietożsame z myśleniem „realistów" ze stronnictw ugodowych. Ci zresztą w swoich współczesnych pismach traktowali rodzący się polski nacjonalizm jako ruch wrogi właściwemu porządkowi rzeczy i, obok socjalizmu, jedną z dwóch równie niebezpiecznych idei szerzących się w młodym pokoleniu.

Doskonałą próbką endeckich starań o syntezę romantyzmu z realizmem jest wywód Dmowskiego o sławnym w narodzie, a znienawidzonym przez krakowskich „stańczyków" i „realistów warszawskich" czy „petersburskich" cytacie z Mickiewicza: „Mierz siły na zamiary". Otóż Dmowski formułę tę afirmował – tak właśnie, trzeba mierzyć siły na zamiary, wręcz nie ma innej możliwości odniesienia sukcesu niż najpierw postawić przed sobą szaleńczo śmiały cel, a potem szukać sił dla jego realizacji. „Nie o to więc mamy pretensje do naszych przodków – pisał – że mierzyli siły na zamiary, tylko że ich zamiary nie były mądre" (z kontekstu tych słów można sądzić, że w polszczyźnie współczesnej użyłby raczej mniej rażącego słowa: „nieprzemyślane").

Nie to było złe, że Polacy w walce o odzyskanie narodowej suwerenności i podmiotowości w polityce narodowej sięgali po broń – przeciwnie, nie sposób takich celów zrealizować inaczej niż przez zbrojne powstanie. Ale powstania nasze „były jedynie zbrojną reakcją na ucisk", zamiast, jak powinny, przemyślaną akcją polityczną.

Powstanie, jak to zauważył już Zygmunt Fortunat Miłkowski, wymaga najpierw zgromadzenia „skarbu narodowego" i stworzenia organizacji wojskowej, ta zaś powstać nie może bez wcześniej zbudowanej organizacji cywilnej. Nawiasem mówiąc, może dlatego o tym założycielu Ligi Narodowej i wychowawcy pokolenia Dmowskiego zapomniano, że jako nie tylko powstaniec, lecz także przez całe życie zawodowy żołnierz, jeszcze ze szkoły napoleońskiej, uparcie głosił, iż „żołnierz nie na to w bój idzie, aby go zabito, ale na to, by wygrać".

Powstanie, zdaniem endeków, powinno być uwieńczeniem pracy nad odzyskaniem Polski (tak właśnie, jak zrobiono w „endeckiej" Wielkopolsce), a nie „początkiem" jej odzyskiwania, „rzuceniem iskry", która, jak to sobie inicjatorzy kolejnych zrywów wyobrażali, podpali sumienia i wyrwie Polaków z „gnuśności".

Chyba najbardziej dla nas nieznośne w tym podejściu do tradycji powstańczej – każdy chyba przyzna, że merytorycznie znacznie bardziej płodnym niż młócka zderzająca argumenty etyczne z pragmatycznymi, ku której najchętniej spór jest kierowany – jest zwrócenie uwagi na istotną słabość polskich walk o niepodległość w ubiegłych dwóch wiekach. Niechętnie wspominamy czas, który upłynął pomiędzy powstaniami listopadowym a styczniowym – a jeśli, to chcemy widzieć tylko beznadziejną męczeńską szarpaninę emisariuszy, usiłujących nieustannie wzniecić tu czy tam kolejne „pełnoskalowe" powstanie. Tymczasem był to przede wszystkim czas mniej lub bardziej radosnej kolaboracji z zaborcami i wielkiej degeneracji, narodowej dekadencji, mówiąc wprost: beznadziejnego chlania na umór. Świadectwo „Mieszanin politycznych" Henryka Rzewuskiego, który tym rozkładem społecznym Polaków motywował swą kolaborację, można uznać za stronnicze, choć prawdziwości jego opisów to nie podważa – ale i bez niego mamy liczne, nie tak artystycznie udane, pamiętnikarskie zapisy, zebrane np. w „Alkoholowych dziejach Polski" Jerzego Besali.

KOMU POSŁUŻYŁO POWSTANIE STYCZNIOWE?

Problemem polskiej historii było więc nie tyle rzucanie się „z motyką na słońce", ile narodowe schorzenie, które psychiatria diagnozuje jako „zaburzenie afektywne dwubiegunowe". Po przegranej wpadaliśmy w długą fazę apatii, z której wyrywał nas nagły wybuch wściekłości, gdy depczący naszą godność zaborcy posunęli się za daleko. To obcy, a nie Polacy, wyznaczali więc momenty „zrywów zbrojnych". Nic zatem dziwnego, że były to momenty korzystne nie dla nas, a dla nich, co sprawiło, że – znów zacytujmy Dmowskiego – swymi powstaniami przyzwyczailiśmy Zachód do traktowania nas jak „bezmózgowej hołoty, której łatwo i za bezcen można używać do swoich celów". Powstanie styczniowe, poza wszystkimi represjami, które sprowadziło na Polaków, i długofalowymi skutkami, takimi jak np. praktyczne zniszczenie przez Rosję polskiej edukacji i odcięcie Polaków od możliwości awansu społecznego, chyba że za cenę wynarodowienia, były także prezentem dla Prus, fatalnym dla całej Europy. Zryw z 1863 r. zmusił Rosję do bliższej współpracy z Berlinem, do czego nie była wcześniej skłonna, otwierając Prusom drogę do zjednoczenia wokół siebie całych Niemiec i, w kolejnym pokoleniu, rozpętania wojny światowej.

O tym Stefan Bobrowski, wzywający do powstania, by „rzeka krwi", którą zmuszeni będą Moskale wytoczyć z Polaków, raz na zawsze uniemożliwiła pojednanie z zaborcą, nie myślał w stopniu najmniejszym. Podobnie jak nie myślał o skutkach swej akcji inicjator potencjalnie najbardziej tragicznego w skutkach polskiego powstania, które, dzięki Bogu, i trochę także dzięki Dmowskiemu, nie wybuchło: powstania

eprasa.pl 88d2eb15d9

w Królestwie Kongresowym w sierpniu 1914 r. Bez wątpienia zostałoby ono szybko zmiażdżone, tak jak większość poprzednich, ale – zgodnie z traktatami sojuszniczymi, które w tym momencie obowiązywały – zwolniłoby Rosję z zobowiązań wojskowych, które miała wobec Francji, czyli dałoby jej prawo do wycofania się z wojny trzy lata wcześniej, niż stało się to w rzeczywistości – do czego zdominowana przez Niemców w służbie carskiej administracja Mikołaja II bardzo intensywnie parła. W oczywisty sposób zmieniłoby to bieg historii w kierunku skrajnie dla zachodniej Europy i dla Polski niekorzystnym.

Rzetelne, merytoryczne przepracowanie własnej historii nie może uciekać ani od krótkowzroczności i naiwności powstańczych prowodyrów, ani od owego fatalnego dla naszego wieku XIX istnienia „afektywnego dwubiegunowego". Co innego jednak rozumienie historii, co innego narodowy mit. Tu z natury rzeczy akcentować należy to, co dobre: bezprzykładne bohaterstwo, poświęcenie dla ojczyzny oraz pozytywny wpływ legendy „Gloria Victis", na której wychowano do patriotyzmu następne pokolenia, szczególnie pokolenie międzywojenne.

MITY POTRZEBNE I MITY SZKODLIWE

Budowanie mitu historycznego, czyli, jak dziś się to często nazywa, „polityka historyczna", z zasady jest bowiem czymś zupełnie innym niż historia jako taka i historyczna edukacja – tak jak każda polityka z zasady nie do końca spełnia zasady, do których się odwołuje, a już na pewno nie wszystkie naraz. Niezrozumienie tej różnicy jest wielką słabością współczesnych krytyków powstańczej tradycji. Zwykle skupiają się oni na wskazywaniu niezgodności pomiędzy legendą a mitem, nie zdając sobie sprawy, że mit historyczny, polityka czy też „narracja" historyczna rozliczane być muszą nie tyle z wierności faktom (nie powinny ich oczywiście negować czy ignorować, bo to je czyni nieskutecznymi, ale samo zwrócenie uwagi na te akurat, a nie inne, jest już formą interpretacji), ile z tego, jak służą obecnym interesom narodowym i racji stanu.

Jeśli więc np. krytykuję z całą stanowczością mit września 1939 r. i całego fatalnego w skutkach udziału Polski w drugiej wojnie światowej czy mit Piłsudskiego, to nie tylko ani nie przede wszystkim dlatego, że ufundowane zostały na kłamstwach i przeinaczeniach, lecz dlatego, że są one dziś dla Polski nieopisanie szkodliwe, inspirując nas do naiwnego pojmowania polityki międzynarodowej jako rzekomego sposobu realizowania wyższych wartości oraz wpychając nas w polityczną bierność, „wodzusiostwo" i tożsamościową wojnę politycznych plemion, przez które możemy zmarnować najlepsze od 300 lat polityczne koniunktury.

Mity 1939 r. i Piłsudskiego są dziś dla Polski szkodliwe, inspirując do naiwnego pojmowania polityki

Na świeżą próbę zbudowania nowej narracji o powstaniu styczniowym jako „wspólnej" walce o wolność Polaków, Litwinów i Rusinów patrzyłbym więc przede wszystkim pod tym kątem. Oczywiście ci, którzy zwracają uwagę na słabą podstawę faktograficzną tego mitu, a zwłaszcza na liczne przejawy niechęci prowincji kresowych, których świadomość narodowa zaczęła w tamtym czasie kiełkować, do związków z Polską i polskim powstaniem, mają rację. Powstanie styczniowe było wspólnym powstaniem narodów dawnej Rzeczypospolitej jedynie w sferze symbolicznej. Słynne godło rządu narodowego, na którym oprócz Orła i Pogoni umieszczono Archanioła Michała, jako symbol trzeciego, ruskiego (po dzisiejszemu: ukraińskiego) członu odbudowywanej „ojczyzny swobód", było politycznym postulatem, fundamentalnym zresztą dla powstania, a nie odzwierciedleniem rzeczywistości. Ale właśnie ten symbol w dobie, gdy Ukraina broni siebie i, chcąc nie chcąc, także nas, przed agresją rosyjską i gdy rosyjska propaganda, agregowana niestety także przez prominentnych idiotów z obozu lewicowo-liberalnej opozycji, usiłuje wmówić światu, że Polska dąży do oderwania od Ukrainy swoich przedwojennych ziem, na takiej zasadzie, jak w 1939 r. niefortunnie zalegalizowała wkroczeniem na Zaolzie niemiecki podbój Czechosłowacji, jest jak najbardziej godny, by go przypominać i podnosić.

Inna sprawa, czy na powstaniu styczniowym można wiele w tej kwestii zbudować. Raczej nie, ale rozsądnie byłoby jego setną rocznicę potraktować tylko jako rozbiegówkę do innych rocznic, które powinny być w tym roku szczególnie hucznie nagłośnione – przypadające na wrzesień i listopad 365. rocznicę ugody hadziackiej, w której Ruś uznana została za trzeci, pełnoprawny człon państwa polsko-litewskiego, oraz 350. rocznicę bitwy pod Chocimiem, gdzie wojska wszystkich tworzących Rzeczpospolitą narodów pod dowództwem Sobieskiego pokonały znacznie liczniejsze wojska tureckie. Sceptykom, przypominającym, że zawarta w Hadziaczu ugoda nie padła na podatny grunt i nie weszła w życie, przypomnę, że to samo powiedzieć można o Konstytucji 3 maja i przecież w żaden sposób nie umniejsza to jej znaczenia dla naszej historii. Ważne jest przypomnienie, że mimo wszystkich bolesnych punktów naszej historii Polska nigdy nie dążyła do aneksji Ukrainy, a przeciwnie, do jej upodmiotowienia i wspólnej walki ze wschodnią barbarią.

Nie ma zresztą mitu, także wśród tych upowszechnianych za ciężkie pieniądze przez mocarstwa zachodnie, który by w stu procentach przylegał do historii (więcej: to właśnie mity amerykańskie, brytyjskie czy francuskie w największym chyba stopniu opierają się na przemilczaniu czy wręcz fałszowaniu nieprzystających do współczesnych potrzeb faktów, co jednak jest tematem na osobną pracę). Nie są też prawdziwe mity, którym przez wiele lat hołdowano i nadal się hołduje, opisując, po obu stronach granicy, sprawy polsko-ukraińskie, na czele z opisywaniem insurekcji Chmielnickiego jako powstania narodowego, gdy przecież sam Chmielnicki był polskim szlachcicem, a postrach Kozaków, Jeremi Wiśniowiecki, czystej krwi Rusinem, którego „błachoczestywy" ojciec Michał nie umiał jeszcze słowa po polsku.

Potrzeba jest matką wynalazków, także w dziedzinie narracji historycznych o wzajemnych związkach narodów. A że takie potrzeby gwałtownie się przed rokiem pojawiły, to już chyba nikogo przekonywać nie trzeba.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 88d2eb15d9

W Davos bez zmian

FOT. MATTIAS NUTT/WORLD ECONOMIC FORUM

Na pierwszy rzut oka niedawna edycja Światowego Forum Ekonomicznego nabrała dystansu do agendy Wielkiego Resetu i pomysłów transhumanistycznej transformacji, skupiając się obecnie na pomocy Ukrainie i „współpracy w podzielonym świecie", wedle hasła tegorocznej imprezy w Davos. Tymczasem, jeśli wsłuchać się w wypowiedzi, z ust polityków i przedsiębiorców popłynęła w zasadzie ta sama co dotychczas rewolucyjna narracja, tyle że wyrażona mniej dosadnie i mniej ostentacyjnie. W trend ten wpisał się także premier Mateusz Morawiecki, apelując o nowy światowy porządek finansowy.

Wojciech Golonka

W Davos wybrzmiały w najlepsze stare dobre mantry globalistów o ratowaniu ziemi przed szkodnikiem jeszcze straszniejszym niż prezydent Federacji Rosyjskiej, tj. przed mięsożernym człowiekiem – z jego patogenami, nacjonalizmami, brakiem otwartości na postęp – który lada dzień sprowadzi na ziemię armagedon

Ostatnie Forum w Davos bez wątpienia skupiło się na kwestii ukraińskiej, ale temat ten bynajmniej nie przyćmił innych, dotychczas ważnych dla tego klubu globalistów tematów. Owszem, nastąpiła dostrzegalna zmiana od czasu burzy wywołanej hasłem Wielkiego Resetu, odkąd Davos jest w ogniu krytyki, a na samo forum zaczęli

eprasa.pl 88d2eb15d9

przyjeżdżać niepokorni dziennikarze, zadający niewygodne pytania i psujący atmosferę dobrej imprezy w gronie „samych swoich"; stąd odczuwalna ostrożność i pewne uspokojenie przekazu. Ba, na początku stycznia na stronie internetowej forum ukazał się przygotowujący tegoroczne wydarzenie wpis pod wymownym tytułem: „Rozwiązujący największe problemy świata muszą ukuć lepsze narracje", przez co poniekąd przyznano, że przekaz globalistów w ostatnich latach wiarygodny dla przeciętnych ludzi nie był.

Czy to się organizatorom udało? Otóż bliżej nieznany szerszej publice Børge Brende, onegdaj minister spraw zagranicznych Norwegii, pełniący od 2017 r. funkcję prezydenta forum, stał się w tej edycji bardziej rozpoznawalną twarzą imprezy. Owszem, nie stronił od żargonu i słownictwa właściwego dla dzisiejszych międzynarodowych organizacji, deklinując po kolei potrzebę ponadnarodowej współpracy, kryzys wojenny do zażegnania, zagrożenia klimatyczno-ekologiczne czy wyzwania zrównoważonego rozwoju, ale bez ekscesów i megalomanii, którymi zasłynął w ostatnich latach założyciel forum, a zarazem guru globalizmu – Klaus Schwab. W dodatku odbiorcom polskich mediów mogło się wydawać, że tegoroczne Światowe Forum Ekonomiczne jest w zasadzie w całości poświęcone wojnie na Ukrainie, zważywszy na zaangażowanie prezydenta Andrzeja Dudy, który w Davos dwoił się i troił w kwestii budowania międzynarodowej koalicji zbrojeniowej dla Ukrainy.

Tymczasem, oprócz zdalnego przemówienia prezydenta Wołodymyra Zełenskiego, obok obecności jego żony na forum i jej przemówienia inauguracyjnego, równolegle do krucjaty prezydenta Dudy w Davos wybrzmiały w najlepsze stare dobre mantry globalistów o ratowaniu Ziemi przed szkodnikiem jeszcze straszniejszym niż prezydent Federacji Rosyjskiej, tj. przed mięsożernym człowiekiem – z jego patogenami, nacjonalizmami, brakiem otwartości na postęp – który lada dzień sprowadzi na ziemię klimatyczny, a nawet polityczny armagedon. „Trzeba działać natychmiast, zanim nastąpi nieodwracalne!" – grzmieli niektórzy z nich, zapominając, że głośniej niekoniecznie oznacza bardziej wiarygodnie. Oto zatem kilka najlepszych kwiatków specjalistów od „rozwiązywania największych problemów świata".

Ekologia była, zdaje się, wiodącym problemem dla zebranej w Davos elity, która ochoczo zleciała tam setkami prywatnych jetów i luksusowych limuzyn

KWIATKI GLOBALISTÓW

Prezes Siemensa, Jim Hagemann, poszedł w ślady prof. Filipiaka i wezwał (tyle że uprzejmiej) miliard ludzi do zaprzestania jedzenia mięsa. Otóż córka mu zarzuciła, że jego wysiłki na rzecz zeroemisyjności będą próżne, jeśli sam nie przestanie jeść mięsa. Z kolei Hagemann doszedł do wniosku, że jego osobisty wysiłek to stanowczo za mało i lepiej byłoby trzymać się postu klimatycznego w towarzystwie miliarda osób. W przeciwieństwie do moralizatorów korzystających bardziej z kija niż z marchewki prorok snuł przed nami wizję powstającego obecnie w laboratoriach zeroemisyjnego jedzenia proteinowego, które będzie jeszcze smaczniejsze i zdrowsze niż spożywane przez nas mięso – a zatem uratujemy ziemię i dogodzimy naszemu podniebieniu za jednym razem, palce lizać. Hagemann nie wspomniał wprawdzie o możliwości wcinania robali jeszcze zdrowszych i smaczniejszych od wołowego steka (nad tym właśnie pracują obecnie fabryki protein dla ludzi), ale nie bądźmy drobiazgowi tam, gdzie liczy się szlachetny cel.

Jest jednak pewne ekologiczne „ale" – wszak produkowanie żywności wciąż będzie powodowało jakąś emisyjność gazów cieplarnianych, podczas gdy dziś zeroemisyjność netto, czyli nawet skompensowana emisja, nie wystarcza, jak alarmował ze swej strony Andrew Forrest, minister ds. górnictwa Australii, dopatrując się ratunku dla planety wyłącznie w zaniechaniu emisyjności w ogóle. Ale jak osiągnąć podobny radykalizm ekologiczny? Wystarczy, że odejdziemy – uspokajał minister – od paliw kopalnych na rzecz fotowoltaiki, turbin wiatrowych, baterii i czystego wodoru. Jaka jest emisyjność wyprodukowania turbiny wiatrowej czy baterii samochodu elektrycznego, nie wspominając o notorycznym ratowaniu tych ostatnich generatorami prądu na ropę? Zostawmy te pytania foliarzom, a sami zaufajmy nauce.

Ekologia i dbanie o klimat niską emisyjnością były, zdaje się, wiodącymi problemami dla zebranej w Davos elity ludzkości, która ochoczo zleciała do swej mekki setkami prywatnych jetów i luksusowych limuzyn, nie mówiąc o potrzebie ogrzania całego tego towarzystwa zebranego zimą w alpejskim kurorcie. Dużą sumienność w lataniu w tę i we w tę dla dobra planety wykazał specjalny wysłannik prezydenta USA ds. klimatu, stary dobry John Kerry. Na pytanie moderatora panelu, jakie jest największe wyzwanie w jego pracy, odpowiedział z uśmiechem: „Czuwanie nad punktualnością mych lotów". Latanie w przestworzach najwyraźniej także pobudza wyobraźnię amerykańskiego urzędnika, który przyznał, że „w ratowaniu planety jest coś pozaziemskiego".

Nie za bardzo do śmiechu było jednak bardziej twardo stąpającemu po ziemi sekretarzowi generalnemu ONZ, Antoniemu Guterresowi, który ostrzegał przed rychłą katastrofą klimatyczną i wzywał do pociągnięcia do odpowiedzialności przedsiębiorstw naftowych i gazowych za działalność biznesową „niespójną z przetrwaniem ludzkości". Najwyraźniej obłożenie tych firm podatkami, które przerzucą na konsumentów, a które następnie zasilą budżet ONZ-owskich organizacji, umożliwi tym ostatnim uratowanie planety przed zagładą. Pomysł ochoczo podchwycił prezes hiszpańskiego koncernu paliwowo-gazowego Cepsa, Maarten Wetselaar, który bynajmniej nie zdawał się odczuwać wyrzutów sumienia z powodu praktykowanego dotychczas nieodpowiedzialnego wobec planety modelu gospodarczego nafciarzy. Przeciwnie, dziwnie zadowolony z siebie Wetselaar mówił, że pożądane są o wiele wyższe opłaty węglowe na paliwach celem dotowania zielonej energii. Dzięki temu ma spaść też sama konsumpcja paliw: „To jest bardzo proste… Uczyń drogim to, czego chcesz uniknąć, i dotuj to, co chcesz zbudować. To nie jest trudne, ale nie robimy tego wystarczająco szybko i powszechnie". Jak wskazywał biorący udział w forum niezależny kanadyjski dziennikarz Andrew Lawton, Cepsa inwestuje obecnie także w wodór, więc najwyraźniej

eprasa.pl 88d2eb15d9

nie są jej obojętne dotacje, o które apeluje jej prezes, byle wypłacano je „wystarczająco szybko i powszechnie".

Jeszcze dramatyczniej od Guterresa brzmiał przekaz zawodowego alarmisty klimatycznego Ala Gore'a, który wręcz krzyczał o rozgrywającej się z naszej winy tragedii: „Codziennie wypuszczamy do atmosfery prawie 162 mln ton gazów cieplarnianych. Tak skumulowana ilość zamyka w atmosferze tyle ciepła, ile wyzwoliłoby 600 tys. eksplodujących codziennie bomb atomowych z Hiroszimy. To dlatego gotują się oceany, wzniecając rzeki atmosferyczne i bomby deszczowe wysysające wilgoć z ziemi, powodując susze, roztapianie lodów, podnoszenie poziomu mórz i wzbudzając fale uchodźców klimatycznych, którzy według przewidywań osiągną w tym wieku poziom miliarda osób. Spójrzcie na ksenofobię i trendy autorytaryzmu politycznego, które pojawiły się tylko z powodu kilku milionów uchodźców – co będzie zatem przy miliardzie?! Stracimy naszą zdolność do samostanowienia na tym świecie! Trzeba działać!!!" – zakończył Gore, już otwarcie krzycząc.

A zatem od gazów cieplarnianych do zagrożenia zniesienia demokracji na świecie – jak dobrze, że tylu niewybranych przez nikogo influencerów zebrało się w Davos w panelu pt. „Zaangażowani w poprawę stanu świata", aby zatrzymać wody potopu, ksenofobii i totalitaryzmu zagrażających demokracji. W tym samym czasie brytyjski „Daily Mail" opisywał na swych łamach, jak to, głosząc klimatyczną apokalipsę, były wiceprezydent USA zbił osobisty majątek wart 330 mln dol., inkasując miesięcznie 2 mln dol. zarobków – ale być może była to czysta złośliwość ludzi małostkowych i faszystów nienawidzących demokracji.

JESZCZE WIĘCEJ KONTROLI

Z kategorii polityków na emeryturze, którzy w Davos mają z powrotem swoje pięć minut atencji, głos zabrał także były premier Wielkiej Brytanii Tony Blair, tym razem celem wprowadzenia globalnej higieny: „Musimy wiedzieć, kto jest zaszczepiony, a kto nie. Niektóre szczepionki będą wymagały więcej dawek. A więc ogólnie z punktu widzenia systemu zdrowia, a z pewnością z punktu widzenia pandemicznego potrzebna jest właściwa infrastruktura cyfrowa [nadzoru] – a większość państw jej nie posiada".

Wydawało się, że temat segregacji sanitarnej i zielonych przepustek ucichł, tym bardziej w kontekście pojawiających się informacji o skutkach ubocznych szczepionek na COVID-19, tymczasem w Davos zorganizowano nawet zamknięte dla prasy posiedzenie pt. „Ulepszanie środków do życia za pomocą cyfrowej tożsamości". W opisie wydarzenia stwierdzono: „Szacuje się, że miliard ludzi na świecie nie posiada zarejestrowanej tożsamości. Podczas gdy innowacja może umożliwić respektującą prywatność cyfrową tożsamość, zachodzi potrzeba skoordynowania kroków ustawodawczych umożliwiających wykorzystanie tego potencjału. Jak przywódcy mogą wypracować międzynarodowe ustawodawstwo na rzecz równościowej polityki finansowej, społecznej i zdrowotnej za pomocą cyfrowej tożsamości?". Mówiąc prościej: za zamkniętymi drzwiami zorganizowano w Davos szkolenie, w jaki sposób politycy powinni wprowadzić międzynarodową cyfrową tożsamość jako narzędzie polityki równościowej… Polityki, której z kolei domagał się premier Mateusz Morawiecki, apelując o nowy, sprawiedliwszy porządek finansowy.

Razi, że najwyższe władze Rzeczypospolitej bezkrytycznie biorą udział w tym groźnym dla naszej wolności cyrku

Że globaliści, jak widać, rozumieją przez to jeszcze więcej kontroli cyfrowej nad jednostką, która ma przestać jeść mięso, drogo płacić za benzynę (a najlepiej przestać w ogóle się przemieszczać), dać sobie postawić za oknem wiatrak i grzecznie przyjmować wszystkie dawki kolejnych eksperymentalnych szczepionek, to jedno. Ale jeszcze ciekawsze jest to, że gdy globaliści mówią o sprawiedliwszym porządku finansowym, mają na myśli wprowadzenie na świecie obowiązkowego minimalnego podatku od zysków firm (CIT), teoretycznie po to, aby zlikwidować raje podatkowe i pozyskać więcej środków dla rządów na politykę spójności społecznej i zdrowotnej. W praktyce jednak, gdy pojawiają się opracowania na temat mających powstać globalnych agend – jak globalnej rady na rzecz zdrowia – będących odpowiednikiem tego, co nazywamy pospolicie rządem światowym, mowa właśnie o ich finansowaniu jakimś procentem wspomnianego powszechnego podatku CIT.

Mniejsza z tym, czy premier Morawiecki świetnie czy tylko trochę zdawał sobie sprawę, że apelował w Davos o quasi-totalitarną kontrolę władzy nad ludźmi za pomocą tożsamości cyfrowej (i towarzyszącego jej pieniądza cyfrowego) oraz o budżet dla zalążku rządu światowego; mniejsza z tym, gdyż z kolei Larry Fink, prezes giganta inwestycyjnego Black Rock, dał wprost do zrozumienia, że w dobie zwątpienia obywateli wobec swych władz przyszedł czas, aby prywatne konsorcja światowe zapewniły to, czego nie są w stanie dokonać poszczególne rządy. Co ważne, Fink przestrzegł, że największym wrogiem globalizacji, czyli działań tych konsorcjów w poszczególnych państwach, jest nacjonalizm, czyli suwerenne państwo narodowe, które ostatecznie dyktuje biznesom warunki gry, a nie odwrotnie.

PLANY PODBOJU LUDZKOŚCI

Klaus Schwab wezwał w tym roku w Davos do przezwyciężenia rozłamu między mającymi konstruktywną postawę globalistami a sceptyczną wobec nich frakcją ludzkości. Ale skoro mająca tego dokonać narracja pozostaje karykaturą wiarygodności, to trudno, żeby schizma miała zakończyć się po dobroci. Jest w tym pewien paradoks, że podczas gdy prezydent Andrzej Duda trudził się w Davos nad zmontowaniem sił pancernych mających wyzwolić Ukrainę spod okupacji rosyjskiej, w tym samym czasie ten chroniony przez szwajcarską armię klub globalistów znów jawnie debatował nad planami podbicia ludzkości.

Owszem, zlot cyników, megalomanów, hochsztaplerów i sfrustrowanych polityków jest do pewnego stopnia zabawny, razi jednak, że najwyższe władze Rzeczypospolitej bezkrytycznie biorą udział w tym groźnym dla naszej wolności cyrku, udając, że problemu nie ma, a nawet nobilitują forum, mówiąc dialektem i hasłami globalistów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 88d2eb15d9

Niemcy i nowy porządek świata

Marek Jurek

Jeśli plany Olafa Scholza się spełnią (istotne znaczenie ma dla nich to, kto będzie rządził w Ameryce), to „pojedyncza" Polska może znaleźć się w głębokiej izolacji. Jeśli się nie spełnią, jeśli Amerykanie będą chcieli budować nowy sojusz w Europie Środkowej – to znajdziemy się między Rosją a promującymi „wielobiegunowość" Niemcami

FOT. BLOOMBERG/GETTY IMAGES

Na postawę Niemiec wobec wojny na Ukrainie można patrzeć jako na pokłosie wieloletniej prorosyjskiej polityki rządzącej dziś SPD. Można dopatrywać się w tym wyborczych ograniczeń rządu, uzależnionego od ambiwalentnych wobec NATO uczuć elektoratu niemieckiej lewicy. W istocie jednak chodzi tu o element długofalowej strategii narodowej i to nie tylko dyktowanej przez przeszłość, lecz także przez rozpoznanie przyszłości. Dobrze pokazuje to programowy artykuł, który kanclerz Olaf Scholz opublikował w bieżącym numerze „Foreign Affairs". Biorąc pod uwagę znaczenie tej zasadniczej deklaracji – dziwić się należy, że wywołuje u nas tak mało komentarzy i dyskusji. A przecież stanowi – jak wyznaje kanclerz – „wyraz nowego stanu ducha społeczeństwa niemieckiego" i przejrzyście sformułowaną wizję nowej światowej roli Niemiec. Symboliczne znaczenie ma już tytuł: „Globalna Zeitenwende, czyli jak uniknąć nowej zimnej wojny w erze wielobiegunowości?".

W artykule adresowanym w pierwszym rzędzie do elity politycznej Stanów Zjednoczonych Scholz używa – na określenie przełomu historycznego – niemieckiego (a przecież nie należącego do funkcjonujących w kulturze powszechnej) określenia. To tyleż dyskretny, co wyraźny znak, że Niemcy chcą mówić po swojemu, chcą, aby zaczęto ich słuchać, aby nowa epoka przywróciła ich państwu i kulturze należne im miejsce w świecie. Niewiele może być kwestii ważniejszych dla Polski.

WYTĘSKNIONA WIELOBIEGUNOWOŚĆ

Pisząc o przełomowym momencie historii, Scholz nie zatrzymuje się na Ukrainie. Owszem, traktuje wojnę jako kluczowy symptom nowej epoki i w tym kontekście zapewnia, że Republika Federalna będzie kierować się atlantycką solidarnością. Wyjaśnia jednak od razu, że nie będzie to solidarność bezwiedna: „Niemcy muszą się dziś stać jednym z kluczowych czynników bezpieczeństwa europejskiego […], ale zrównoważone i mocne partnerstwo transatlantyckie wymaga również, aby Niemcy i Europa odgrywały rolę aktywną". Nie można bowiem ulec „fatalistycznej wizji nieuchronnego ponownego podziału świata na konkurujące bloki". Najważniejszą dla kanclerza kwestią jest więc to, jak Niemcy i Europa mogą „stać się niezależnym podmiotem w coraz bardziej wielobiegunowym świecie". Nie waha się mówić o „wielobiegunowości", choć do tej pory był to eufemizm, skrywający antyamerykańskie nastawienie Rosji i Chin. Jak widać – starcie Zachodu i Rosji to z perspektywy polityki niemieckiej dramatyczny, ale przejściowy kryzys, którego następstw nie należy utrwalać. Tego wniosku, płynącego z artykułu kanclerza Niemiec, nie powinna ignorować polska opinia publiczna.

DIALEKTYKA I GEOPOLITYKA

Przejściowy i względny charakter ma mieć również walka o światową demo-

eprasa.pl 88d2eb15d9

krację. Artykuł Olafa Scholza zawiera wzniosłą deklarację, że „poszanowanie wolności i praw podstawowych nigdy nie może być »wewnętrzną sprawą« poszczególnych państw, bo każde państwo należące do ONZ zobowiązało się je szanować". Chwilę później okazuje się jednak, że walka o demokrację ma jej rzecznikom pomagać, a nie przeszkadzać w prowadzeniu polityki. Należy bowiem wrócić do bardziej klasycznych zasad, zakładających, że bezpieczeństwo jest warunkiem korzystania z wolności i że jest ważniejsze od form, które mu nadamy. „W wielobiegunowym świecie – pisze kanclerz Niemiec – dialog i współpraca powinny rozszerzyć się poza strefę demokratycznego komfortu. Nowa strategia bezpieczeństwa narodowego Stanów Zjednoczonych słusznie uznaje konieczność współpracy z »państwami, które choć nie przyjmują instytucji demokratycznych, jednak uznają i wspierają międzynarodowy porządek oparty na zasadach«. Demokracje całego świata muszą pracować razem z tymi państwami, by bronić i zachować porządek światowy, który łączy władzę z zasadami i który przeciwstawia się takim rewizjonistycznym aktom, jak agresywna wojna Rosji. Ten wysiłek wymaga pragmatyzmu i pewnej pokory".

Groźny jest nie realizm Scholza. Istotnie, polityka ma przede wszystkim chronić życie, można walczyć, aby zmieniać je na lepsze, ale nie kosztem samego życia narodów i ludzi. Groźne jest to, że Scholzowy realizm jest nagi jak siła, bo całkowicie arbitralny. W jego ramach można uznać komunistyczne Chiny za „państwo, które choć nie przyjmuje instytucji demokratycznych, to jednak uznaje i wspiera międzynarodowy porządek oparty na zasadach", a Polskę czy Węgry za „państwa, które choć przyjmują instytucje demokratyczne", to jednak popierany przez Niemcy „porządek" dezorganizują.

UPORZĄDKOWANA EUROPA

Ambitne plany, zrodzone z „nowego stanu ducha społeczeństwa niemieckiego", wymagają bowiem porządku. Jeśli „Niemcy i Europa" (Scholz bardzo lubi tę formułę) mają stać się silnym partnerem Ameryki w „wielobiegunowym świecie" – to potrzebują silnego mandatu. Kanclerz Niemiec deklaruje, że będą go mieć, bo w Unii Europejskiej należy „wyeliminować taktyki egoistycznego blokowania procesów decyzyjnych, eliminując możliwość weta pojedynczych państw, przeciwnych pewnym działaniom. Skoro Unia Europejska rozszerzyła się i jest geopolitycznym podmiotem, to warunkiem jej sukcesów staje się szybkie podejmowanie decyzji".

Unia Europejska właśnie dlatego, że „się rozszerzyła", musi „wyeliminować" narodowe suwerenności, czyli prawa „pojedynczych państw". To warunek tego, by „Niemcy i Europa" mogły na równej stopie rozmawiać ze Stanami Zjednoczonymi o „wielobiegunowym świecie".

Ta perspektywa w polityce niemieckiej istniała zawsze. Norbert Lammert, przewodniczący Bundestagu, powiedział mi kiedyś, że większość CDU uważała, iż należy najpierw „zreformować Unię Europejską", a potem ją „rozszerzać", czyli – krótko mówiąc – że należało jeszcze bardziej kategorycznie podyktować warunki akcesji rządom środkowoeuropejskim. Niestety, jak wspominał Lammert, kanclerz Kohl zdecydował inaczej…

NIEMCY I ROSJA

Stanom Zjednoczonym kanclerz Scholz proponuje więc warunkową współpracę. W sytuacji, gdy interesy USA zagrożone są co najmniej na trzech frontach – w Europie, na Bliskim Wschodzie i we wschodniej Azji – Amerykanie mogą mieć w Europie ważnego, wspierającego ich partnera. Niemcy mogą wzmocnić swą militarną wiarygodność i dochować solidarności dyplomatycznej z Ameryką. Jednak w ramach „wielobiegunowego świata", w którym zachowają własną ocenę możliwości współpracy i kompromisu z zachowującymi pokój antagonistami Stanów Zjednoczonych.

To oczywiście dotyczy Chin (przewodniczący Xi Jinping to jeden z pozytywnych bohaterów tego artykułu), a także Rosji. Deklaracja Scholza zawiera bowiem orędzie ważne dla Moskwy. Scholz przypomina, że jego „kraj został zjednoczony dzięki przewidującym politykom i wsparciu partnerów zarówno z Zachodu, jak i ze Wschodu", pisze też o tym, że właśnie „doświadczenie podziału szczególnie uświadamia [Niemcom] ryzyko nowej zimnej wojny". Z artykułu kanclerza wynika jasno, że może być jak dawniej, jeśli Rosja (nawet nie będąc doskonałą demokracją) „jednak uzna i będzie wspierać międzynarodowy porządek oparty na zasadach".

CZAS NA POLSKĄ ZEITENWENDE

Deklaracje są tylko zapisami intencji, potem życie poddaje je cenzurze. Warto jednak wiedzieć, dokąd zmierzają Niemcy. Na przykład, że mogą przywracać międzynarodową wiarygodność Rosji, skoro w obecnej wojnie widzą przede wszystkim kryzys naruszający pół wieku Ostpolitik, dzięki której – jak uważają – osiągnęli jedność narodową. I że dogmatem polityki niemieckiej jest wykluczenie powrotu do „bloków" (Scholz używa tego postsowieckiego języka) i wznowienia zimnej wojny, czyli po prostu traktowania zagrożenia ze strony Rosji jako wyzwania strukturalnego i strategicznego.

Taka polityka Niemiec zupełnie mija się z naszą wizją Zachodu solidarnie przeciwstawiającego się zagrożeniu ze Wschodu. Niemcy uznają, że dziś tak być musi, ale nie chcą, by tak było zawsze.

Jeśli plany Scholza się spełnią (istotne znaczenie ma dla nich to, kto będzie rządził w Ameryce), to „pojedyncza" Polska może znaleźć się w głębokiej izolacji. Jeśli się nie spełnią, jeśli Amerykanie będą chcieli budować nowy sojusz w Europie Środkowej – to znajdziemy się między Rosją a promującymi „wielobiegunowość" Niemcami i państwami udzielającymi im poparcia. One również będą chciały oddziaływać na Ukrainę, a strategia powojennej Ukrainy będzie wynikać z jej własnego, a nie z naszego, narodowego wyboru.

Jedno jest pewne. W nadchodzącym czasie, poza zachowaniem zdolności rozwoju ekonomicznego i zwiększeniem zdolności obronnych, musimy wzmocnić naszą narodową tożsamość, wspólnie zresztą z innymi państwami Europy Środkowej, w oparciu o wspólne uniwersalne fundamenty. To warunek konieczny, aby zaczynającą się Zeitenwende przetrwać. Warto zastanowić się nad tym, co pisze Olaf Scholz. My też musimy mówić po swojemu i zabiegać o to, by znaleźć tych, którzy się z nami zgadzają. Tylko tak w nowej epoce ochronimy i zachowamy dla Polski oraz naszej kultury należne nam miejsce w świecie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 88d2eb15d9

Obraz „Śmierć na bladym koniu" Benjamina Westa

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Jeźdźcy Apokalipsy

Paweł Chmielewski

W Kościele katolickim w Polsce przybywa osób, które spodziewają się lada chwila katastroficznych wydarzeń. Klęsk, które mają zmieść z powierzchni ziemi większość ludzkości; przejęcia Kościoła przez Antychrysta; rychłego końca czasów zapowiadanego, jak sądzą, przez liczne znaki. Apokaliptyczna atmosfera grozy powstaje dzięki rozpowszechnianiu niesprawdzonych lub odrzuconych przez Kościół zjawień prywatnych, a wzmacnia ją samowolna i dyletancka interpretacja Pisma Świętego. Jednocześnie zaostrza się niechęć do prawowitej władzy w Kościele

Dramatyczne ostrzeżenia przed nieubłaganie nadciągającym końcem kojarzyły się dotąd raczej z działalnością różnych sekt protestanckich czy parachrześcijańskich. Wierzący katolicy, wydawałoby się, nie ulegają takim nastrojom. To jednak przeszłość. Dziś szerzy się coraz bardziej apokaliptyczna atmosfera, którą budują internetowi głosiciele zagłady, tak duchowni, jak świeccy, wspierani przez coraz liczniejsze publikacje książkowe poświęcone przerażającym wizjom. Chociaż to zjawisko narasta od lat, to jego prawdziwa skala uwidoczniła się po śmierci Benedykta XVI, który uznany został przez wielu za katechona – tego, który powstrzymuje nadejście Antychrysta. Omawiany fenomen jest tym groźniejszy, że uleganiu nastrojom apokaliptycznym towarzyszy coraz głębsza kontestacja prawomocnej władzy – zarówno papieża, jak i biskupów.

FAŁSZYWE WIZJE

Skandalem jest, gdy niesprawdzone lub fałszywe katastroficzne wizje rozprzestrzeniają w Internecie księża, korzystając w nieuprawniony sposób ze swojego autorytetu. Przykładem na szerzenie tego rodzaju strachu jest rozpowszechnianie treści zjawień z Itapiranga w Brazylii. Niejakiemu Edsonowi Glauberowi objawiać mieli się tam przez całe lata Matka Boża i św. Józef. Zjawienia rozpoczęły się w latach 90. i miały początkowo charakter umiarkowany. W 2010 r. uznał ich autentyczność lokalny biskup. Wkrótce doszło jednak do sporu między lokalną władzą kościelną a wizjonerem. Treść rzekomych objawień zaczęła się zmieniać, przybierając katastroficzny charakter. W 2017 r. Kongregacja Nauki Wiary zdecydowała się ogłosić, że zjawienia z Itapiranga są fałszywe i nie wolno ich propagować. Stosowny dekret wydał też ordynariusz miejsca. Niestety, nie wszyscy się temu podporządkowali. Po śmierci Benedykta XVI w polskim Internecie jeden z kapłanów straszył wiernych nadchodzącą katastrofą, przypisując słowa ze zjawień samej Maryi. Nagranie obejrzały setki tysięcy osób.

Dlaczego po śmierci Benedykta miałoby dojść do tragedii? W drugim liście do Tesaloniczan św. Paweł pisze o „tajemnicy bezbożności". Gdy „ten, co teraz powstrzymuje, ustąpi miejsca, wówczas ukaże się Niegodziwiec" – wskazuje apostoł. Co to

eprasa.pl 88d2eb15d9

oznacza? „Ten, co teraz powstrzymuje" to po grecku katechon. Kościół katolicki nigdy nie wypowiedział się autorytatywnie na temat interpretacji tego fragmentu Pisma Świętego. Pozostaje niejasny, tak jak duża część Apokalipsy św. Jana; tę niejasność trzeba przyjąć z pokorą. Na przestrzeni dziejów pojawiały się wszelako różne prywatne interpretacje upatrujące katechona w tym czy innym podmiocie politycznym albo religijnym, jednostkowym albo grupowym – np. w Imperium Rzymskim. Po abdykacji Benedykta XVI różne osoby zaczęły głosić ideę, jakoby katechonem miał być właśnie emerytowany papież. Te głosy znacząco wzmogły się po jego śmierci. Uznanie Benedykta za katechona implikuje przyjęcie twierdzenia, jakoby miał lada chwila ukazać się „Niegodziwiec", którego zjawieniu się towarzyszyć będzie – jak pisał św. Paweł – „działanie szatana", i to „z całą mocą".

Jak miałoby to się przejawić? Tu popularni kaznodzieje chętnie sięgają po treść zjawień z Akity w Japonii, do których miało dochodzić w latach 70. i na początku lat 80. XX w. Biskup miejsca uznał je za nadnaturalne, a Stolica Apostolska nie sprzeciwia się kultowi w tym miejscu. Trzeba to jednak wyraźnie podkreślić: nie jest to równoznaczne z afirmacją treści zjawień. Najpopularniejszym ich elementem są słowa mówiące o „ogniu, który spadnie z nieba i unicestwi większą część ludzkości", co będzie „karą większą niż potop". To słowa przerażające. Jak uczy Katechizm, objawienia prywatne, jeżeli są autentyczne, mają pomagać „w pełniejszym przeżywaniu" ostatecznego Objawienia Chrystusa w różnych epokach historycznych. Każdy, kto interesował się choćby pobieżnie przebiegiem drugiej wojny światowej poza granicami Europy, słysząc w kontekście Japonii o „ogniu z nieba", pomyśli o nalotach na Tokio czy bombardowaniu Hiroszimy i Nagasaki. Przed oczami pojawiają się fotografie: setki tysięcy zabitych, stosy spopielonych ciał, w tym dziecięcych. Trudno w związku z tym nie zadać pytania, czy rzekome przepowiadanie nowego „ognia z nieba" przez Matkę Bożą rzeczywiście umacnia wiarę w Jezusa Chrystusa.

RYZYKO SCHIZMY

Można pisać wiele o duchowości, którą buduje się na tego rodzaju wizjach, przepowiedniach i zjawieniach. Tu zwrócę tylko uwagę, że aparycjonizm, czyli przykładanie szczególnej wagi do prywatnych zjawień – i to nawet odrzuconych przez Kościół – może wiązać się z mniej lub bardziej uświadomioną postawą buntu. Przejawia się to dziś nierzadko w postaci kontestacji pontyfikatu Franciszka. Podkreślam: kontestacji, nie krytyce. Mam okazję obserwować to, nie tylko śledząc popularność konkretnych nagrań czy książek albo czytając komentarze w sieci; spotykam się często z grupami zaangażowanych katolików w różnych częściach kraju i widzę, że odmawianie prawomocności władzy Ojca Świętego, uzasadniane rozmaitymi wizjami i przepowiedniami, jest w Polsce narastającym problemem. Łączy się to też często z radykalnym odrzuceniem autorytetu biskupów. Ryzyko schizmy nie zawsze jest tu wyłącznie teorią. Nastrój katastrofy jest też coraz częstszy wśród osób, które nie dają bynajmniej wiary niesprawdzonym objawieniom, wierząc za to w różne pozornie logiczne teorie mające wyjaśniać „prawdziwy charakter" obecnego układu władzy w Watykanie. W obu grupach, niezależnie od źródeł, pojawiają się duch buntu i roszczenie do bycia arbitrem prawdy.

Tego rodzaju postawy są efektem m.in. coraz głębszego penetrowania katolicyzmu światowego, w tym polskiego, przez duchowość zielonoświątkową. Duchowość ta zasadza się na marginalizacji roli rozumu kosztem absolutyzacji emocji i subiektywnych przeżyć religijnych. Prowadzi to w konsekwencji do odrzucenia lub przynajmniej lekceważenia oficjalnego autorytetu eklezjalnego; decyzję o tym, co w religii jest fałszywe lub prawdziwe, podejmuje już nie władza kościelna, ale dany wierzący, wspierany w tym przez jakiegoś charyzmatycznego lidera, którym może być też znany tylko z sieci świecki, ksiądz albo biskup. Do problemu pentekostalizacji dochodzi jeszcze postępująca infekcja katolicyzmu głównymi zasadami herezji modernistycznej, która, pomimo dużych wysiłków podejmowanych przez Kościół od połowy XIX w., nie została wciąż przezwyciężona. Modernizm oferuje intelektualną podbudowę wywodzenia religii z indywidualnego przeżycia religijnego. Klimat duchowy, który rodzą pentekostalizm i neomodernizm, wpływa także na innych chrześcijan. Także wśród nominalnie antyzielonoświątkowych i antymodernistycznych katolików „konserwatywnych" topnieje uznanie dla autorytetu, zastępowane przez subiektywizm oraz indywidualizm.

Za taki stan chrześcijaństwa odpowiada wiele zjawisk. Jednym z najważniejszych jest niewątpliwie przemiana, której świat katolicki doświadcza od z górą dwustu lat. Ludziom żyjącym w epokach gwałtownego przełomu materialnego, społecznego i kulturowego siłą rzeczy towarzyszy niepokój prowokujący do popadania w skrajności, w tym do dostrzegania wszędzie wokół znaków końca czasów. Nie pomaga nam również chaos doktrynalny i liturgiczny, który wytworzył się w Kościele po zakończeniu Soboru Watykańskiego II, a który zintensyfikował przemożnie papież Franciszek swoimi licznymi nieopatrznymi wypowiedziami. Biorąc pod uwagę to wszystko, łatwo popaść w przesadę i zaryzykowałbym stwierdzenie, że zdarza się to większości współczesnych zaangażowanych katolików. Życie chrześcijańskie nacechowane rzymską gravitas odchodzi do lamusa.

Czasy tak burzliwe wymagać by się zdały szczególnej troski pasterzy o stan wiernych. Niewiele jednak uwagi poświęca się w ogólnokościelnej debacie w Polsce zarysowanym wyżej problemom. Myślę tymczasem o, jak sądzę, jednym z najważniejszych elementów dziedzictwa pontyfikatu Benedykta XVI, a poniekąd również św. Jana Pawła II. To podkreślanie racjonalności katolickiej wiary i roli, jaką w życiu chrześcijańskim odgrywają powaga, wstrzemięźliwość w sądach i rozsądek. W epoce, w której tak silnie zachwalany postęp okazuje się coraz częściej jedynie przejściem „od procy do megabomby", natarczywie atakują nas myślenie magiczne, wtórna barbaryzacja i głęboki zanik szacunku dla instytucji kościelnych. Kruszeje w nas, katolikach, zaufanie do obiektywnej rzeczywistości, a co za tym idzie: do autorytetów. O powadze władzy, o rozumności musimy jednak stale pamiętać i nawzajem sobie przypominać. W przeciwnym wypadku niepostrzeżenie przekształcimy katolicyzm w religię prywatną, nasyconą trwożliwą apokaliptyką czy też agresywną kontestacją hierarchii kościelnej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 88d2eb15d9

Historia prześladowania

Piotr Tylus

Dotychczas brakowało obszernej syntezy napisanej w języku polskim, która przedstawiłaby te czasy prześladowania chrześcijan kompletnie i rzetelnie

Christianum esse non licet" („Nie wolno być chrześcijaninem") – ta zasada, ustanowiona przez Nerona w roku 64, obowiązywała w prawodawstwie rzymskim do roku 313, czyli do momentu wprowadzenia edyktu mediolańskiego przez Konstantyna (który to edykt wbrew powszechnie panującemu dzisiaj przekonaniu nie ustanawiał religii katolickiej jako religii państwowej, jedynej możliwej, lecz pozwalał jej oficjalnie istnieć obok wielorakich, często zwyrodniałych i perwersyjnych wierzeń pogańskich, zatem wolno jej było być).

Jakie wydarzenia miały miejsce między rokiem 64 a 313? Przez jakie koleje losu przechodził Kościół? Co wiemy na ten temat? Wydaje się, że po lekturze „Quo vadis" Henryka Sienkiewicza wiemy wszystko, a tymczasem jest to bardzo niepełny i nieco stronniczy obraz, który dzieli „świat" (z perspektywy mieszkańca Cesarstwa Rzymskiego w rzeczy samej Cesarstwo było całym światem) na dobrych i złych, białych i czarnych, prześladowanych i prześladowców. Choć jest to piękny i budujący obraz literacki, to trudno go traktować jako źródło wiedzy o najważniejszym okresie w historii Kościoła, kiedy na katakumbach, w których spoczęły relikwie męczenników, wzniosły się jego fundamenty. Poza tym ów obraz ukazuje jedynie pierwszy etap prześladowań, ten z czasów Nerona, a przecież był ciąg dalszy, bardzo burzliwy i dramatyczny. Dotychczas brakowało obszernej syntezy napisanej w języku polskim, która przedstawiłaby te czasy kompletnie, rzetelnie – także drugą stronę medalu: sposób myślenia pogan oraz ich motywy nie tylko religijne, lecz także polityczne i społeczne.

eprasa.pl 88d2eb15d9

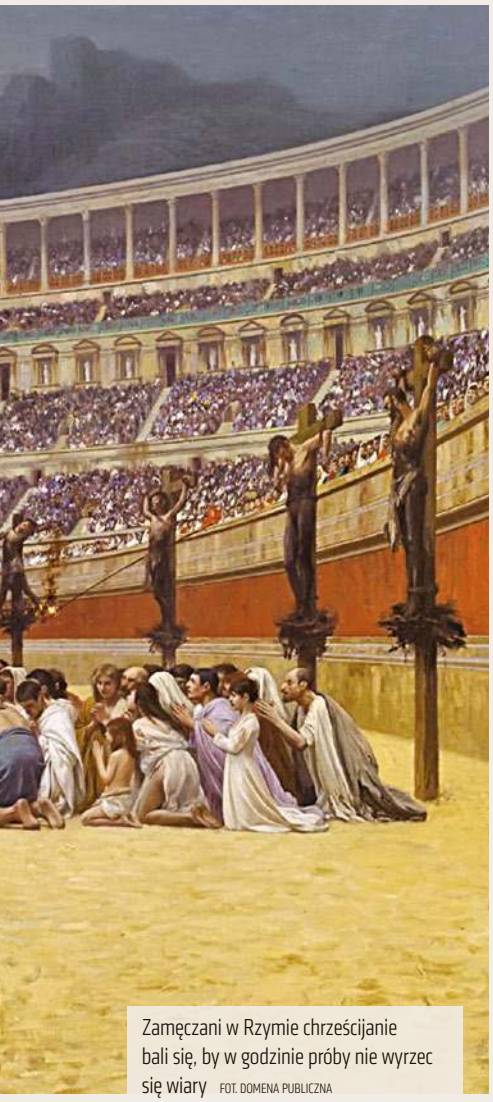

Zamęczani w Rzymie chrześcijanie bali się, by w godzinie próby nie wyrzec się wiary FOT. DOMENA PUBLICZNA

Odpowiedzią na tę potrzebę jest całkiem świeża publikacja wydawnictwa Andegavenum – chodzi o tłumaczenie książki autorstwa Anne Bernet, „Chrześcijanie w Cesarstwie Rzymskim. Od prześladowań po nawrócenie: I–IV wiek" (Kraków 2022).

RADYKALNI JAK NIGDY

Jaki obraz chrześcijan wyłania się z tej książki? Niewątpliwie chrześcijanie nigdy nie byli tak radykalni jak wtedy. Fakt wybrania Chrystusa, związany z tym chrzest i przyjęcie nowego imienia oznaczające rozpoczęcie zupełnie nowego życia – było to nie do pogodzenia ze światem. Wprowadzona przez Nerona zasada („Christianum esse non licet" – „Nie wolno być chrześcijaninem") przez cały okres prześladowań dawała rzymskim sędziom możliwość posyłania chrześcijan na śmierć, a byli oni na to gotowi.

Śmierć ówczesnych świadków wiary kojarzy się nam z arenami i dzikimi zwierzętami, które ich rozszarpywały. Dodajmy, że nie zawsze rozszarpywały skutecznie. Niekoniecznie była to błyskawiczna śmierć. Czasem zwierzęta były ospałe i nie wykazywały zainteresowania swoimi ofiarami – z pewnością ku niezadowoleniu zgromadzonych widzów, którzy, jak wiadomo, przychodzili tam chętnie i gromadnie, a często były to wycieczki rodzinne, forma rozrywki dla dzieci i oswajania ich, zwłaszcza chłopców jako przyszłych żołnierzy, ze śmiercią. Innym razem zwierzęta chciały z ofiarami się pobawić, bo przecież to były koty – lwy, lamparty i tygrysy. Czasem na arenie w roli oprawców pojawiały się byki i niedźwiedzie – te ostatnie były najgorsze, gdyż zadawały głębokie rany, ale zazwyczaj nie zabijały, ponieważ właśnie lubiły się pobawić. Gdy zgromadzony lud już na to wszystko się napatrzył, przychodził gladiator i podrzynał skazańcom gardła.

Wszystko było rozciągnięte w czasie. Oprócz straszliwych cierpień fizycznych ci ludzie odczuwali ogromne cierpienie moralne, na pewno się bali, drżeli, że się załamią i wyprą się wiary, przez co staliby się apostatami i cały ich ziemski trud poszedłby na marne. Nie możemy sobie wyobrażać, że odwaga, męstwo, niejednokrotnie wielka brawura i pragnienie poświęcenia życia dla Chrystusa, by zdobyć palmę i koronę męczeństwa oraz tym samym najkrótszą i najpewniejszą drogą osiągnąć niebo, niwelowały w tych ludziach strach. Przecież nawet Chrystus, Bóg-Człowiek, jako człowiek posiadający także duszę ludzką, odczuwał „trwogę konania", a oni, jego uczniowie, nie mogli być lepsi od Mistrza. Jednak ta forma śmierci na arenie, która pozwalała im „stać się pszenicą Bożą, ziarnem zmielonym w zębach dzikich bestii", jak pisał Ignacy Antiocheński, nie stanowiła jedynej formy zadawanej im kaźni. Obywatele rzymscy mieli prawo do śmierci od miecza, poprzez ścięcie – jak wiadomo, bardzo szybka forma „kary" głównej. Z tego prawa skorzystał św. Paweł. Zanim do tego doszło, mogli odwołać się do cesarza od decyzji sędziego.

Dodajmy tutaj, że nie wszyscy wolni mieszkańcy Imperium Rzymskiego posiadali rzymskie obywatelstwo. Dopiero Karakalla w roku 212 nadał obywatelstwo wszystkim ludziom wolnym mieszkającym na terenie Cesarstwa, co z jednej strony było postrzegane przez potomnych jako akt sprawiedliwości (Augustyn w związku z tym faktem wychwalał w „Państwie Bożym" człowieczeństwo tego władcy), a z drugiej strony odbierało obywatelom, którzy cieszyli się obywatelstwem rzymskim niejednokrotnie od pokoleń (także patrycjuszom, członkom arystokracji senatorskiej), prawo do szybkiej śmierci od miecza oraz możliwość odwołania się do cesarza.

ZABIJAĆ BOLEŚNIE I DŁUGO

Jednak nie tylko arena i dzikie zwierzęta i nie tylko miecz – prawodawstwo rzymskie posiadało cały arsenał środków pozwalających zabijać w sposób bolesny, długotrwały i spektakularny. Owszem, ukrzyżowanie uważano za najhaniebniejszą formę śmierci. Jednak w starożytnym Rzymie dla „ateistów" – czyli „bezbożników", za jakich chrześcijan uważano, ponieważ w ówczesnym społeczeństwie panowało powszechne przekonanie, że skoro nie wyznają wiary w oficjalnych bogów, to są ludźmi „bez bogów", zatem „bez-bożnicy" – bardzo często zarezerwowany był stos. Po pewnym czasie tę formę śmierci rzymskie prawo uznało za zbyt łagodną, ponieważ skazaniec zazwyczaj umierał z powodu uduszenia dymem, zanim dosięgły go płomienie. Dlatego wymyślono, żeby spalać poszczególne części ciała osobno i powolutku, poczynając od stóp. Tak więc nakładano stopniowo na ciało tkaninę nawilżoną olejem i palono na „wolnym ogniu", aż ciało odpadło od kości, po czym przechodzono do wyższych partii.

ANNE BERNET „CHRZEŚCIJANIE W CESARSTWIE RZYMSKIM. OD PRZEŚLADOWAŃ PO NAWRÓCENIE: I–IV WIEK" WYDAWNICTWO ANDEGAVENUM 2022

Czasem skazańcy umieli zadrwić sobie ze swych oprawców, wykazując się w obliczu śmierci pewnym poczuciem humoru. Autorka przytacza historię św. Romana skazanego na stos przez Galeriusza. Gdy

eprasa.pl 88d2eb15d9

przywiązano go do słupa i ułożono wokół niego wiązki chrustu, a zaraz potem podłożono ogień, nadciągnęła burza, spadł deszcz i zgasił płomienie, zanim dosięgły Romana, który wówczas zapytał: „I gdzie jest twój ogień?". To pytanie nie spodobało się cezarowi…

Dodajmy, że przed przystąpieniem do wykonania „kary" śmierci skazańca poddawano ubiczowaniu, a bicze były zakończone małymi kostkami i żelaznymi haczykami rozdzierającymi ciało. Zanim skazaniec został zabity, często stawał się jedną wielką żywą raną. Zastanawia takie okrucieństwo i można zadać sobie pytanie, skąd się brały to zdziczenie i ta perwersyjność. A czy z drugiej strony takie zachowania nie mieściły się w ówczesnej normie i jeśli one nas dzisiaj szokują, to dzieje się tak dlatego, że to właśnie chrześcijaństwo ucywilizowało świat?

Zatem bardzo mężni świadkowie wiary, nieskończenie miłujący Chrystusa, ale jednocześnie ludzcy w swoim zachowaniu, niejednokrotnie odczuwający lęk przed śmiercią oraz lęk przed dokonaniem aktu apostazji w obliczu kaźni, z powodu zwyczajnej słabości – taki właśnie autentyczny, prawdziwie ludzki obraz męczenników wyłania się z książki Anne Bernet. Autorka nie spisała żywotów świętych, które czasem mogą nużyć swą monotonią oraz irytować superheroizmem, do którego współcześni chrześcijanie mogliby nie być zdolni. Ale tamci chrześcijanie pomimo „trwogi konania" zazwyczaj nie wypierali się Chrystusa. Była to granica, której nie wolno było przekroczyć. I ta granica wciąż istnieje także dzisiaj.

UKŁADANIE SIĘ ZE ŚWIATEM

Jednak były okresy, kiedy o niej zapominano. Niektórym cesarzom chrześcijanie nie przeszkadzali, tak więc gorliwi urzędnicy nie musieli wykazywać się właściwą im gorliwością – jak zwykle zresztą – w celu przypodobania się władcy i zostawiali chrześcijan w spokoju, choć zasada „Christianum esse non licet" do czasów Konstantyna nigdy nie została oficjalnie zniesiona. Zatem chrześcijanie zaczynali układać się ze światem, jako patrycjusze czy ekwici piastowali wysokie stanowiska, stawali się sędziami, prokuratorami, namiestnikami, prokonsulami i konsulami, często też miały miejsce małżeństwa chrześcijańsko-pogańskie, co wcześniej było nie do pomyślenia. W życiu chrześcijan panował spokój i dobrobyt stawał się ich udziałem. Dobrze i wygodnie było im w świecie, ten dobrostan ich rozleniwiał. Kiedy potem nagle przychodziły prześladowania, wielu z nich wyrzekało się wiary, całymi stadami biegli do pogańskich świątyń, a czasem byli tam prowadzeni przez swoich pasterzy po to, żeby złożyć bożkom ofiarę – pozornie nic wielkiego: wystarczyło kilka ziarenek kadzidła, by uzyskać certyfikat, który pozwalał im nadal wieść spokojny żywot, korzystać z różnych udogodnień, kupować mięso w sklepach i na targach itd.

Publikacja autorstwa Anne Bernet zasługuje na uwagę poprzez swą autentyczność i dlatego warto ją przeczytać. Autorka nie koloryzuje, nie dzieli społeczeństwa tak po prostu na dobrych i złych. Z jednej strony jej książka posiada wyraźny aspekt metafizyczny i walka dobra ze złem wyłania się na pierwszym planie, ale z drugiej strony autorka stara się zrozumieć zachowania władzy i pogańskiego społeczeństwa.

Chrześcijanie przez cały okres prześladowań byli traktowani jako kozły ofiarne, obarczano ich odpowiedzialnością za najgorsze nieszczęścia spadające na Rzym, bo trzeba było na kogoś zrzucić winę. Warto powiedzieć przy tej okazji, że autorka obala znaną nam hipotezę, jakoby Neron kazał podpalić Rzym, ponieważ szukał inspiracji twórczej. Rzym spłonął nie z jego winy, ale takowa plotka rzeczywiście była rozpowszechniana, gdyż lud szukał winnego, a on nie chciał być właśnie kozłem ofiarnym i wskazał na chrześcijan jako winowajców.

WOLNOŚĆ

Poza tym, z punktu widzenia pogańskich myślicieli, chrześcijaństwo było nie do pogodzenia z cywilizacją rzymską (wbrew temu, czego pragnęli niektórzy starożytni myśliciele chrześcijańscy, a wśród nich św. Ambroży), ponieważ chrystianizm był rewolucją, czyli wywróceniem ówczesnego porządku. Chrystianizm dawał niewolnikom świadomość wewnętrznej wolności i przekonanie, że dzięki sakramentowi chrztu zyskali synostwo Boże, a ponad Boga nie ma większego pana. Chrystianizm wyzwalał też kobietę, która w prawodawstwie rzymskim była dosłownie nikim – to słynne prawo rzymskie dotyczyło wyłącznie mężczyzn, a kobieta istniała jedynie w odniesieniu do ojca, męża, brata. Chrystianizm wyzwalał również dziecko spod bezwzględnej władzy ojca, któremu wolno było bezkarnie dopuścić się dzieciobójstwa. Chrystianizm był zatem rewolucją, której pogański Rzym nie chciał.

W walce z młodym Kościołem władze posługiwały się również innymi metodami. I tak np. Licyniusz zabronił chrześcijanom gromadzenia się ze względu na kwestie zdrowia publicznego. Otóż według niego tłoczenie się dużej ilości ludzi w zamkniętym miejscu mogło stać się przyczyną wybuchu epidemii.

Anne Bernet uczciwie wszystko ukazuje. Posługuje się metodą badań właściwą historykom, sięga do źródeł, konfrontuje je ze sobą, poddaje krytyce, wyciąga wnioski, ale jednocześnie jej metoda pracy kojarzy się z dziennikarstwem śledczym. Zresztą autorka nie posiada zaawansowanej formacji akademickiej, nie zdobyła stopni ani tytułów naukowych i być może dzięki temu udało się jej uniknąć akademickiego nudziarstwa (jako profesor tytularny posiadam ten rzadki przywilej formułowania takich stwierdzeń).

Moja żona, która posiada formację ścisłą, niedawno przeczytała inną książkę Anne Bernet, wydaną przez Andegavenum – „Święty Ambroży i jego czasy", stanowiącą swego rodzaju dopowiedzenie do „Chrześcijan w Cesarstwie Rzymskim".

Ambroży żył w IV w., już po ogłoszeniu edyktu Konstantyna, ale był on świadkiem ostatniego etapu prześladowań, przypadających na czasy panowania Juliana Apostaty. Poza tym chodzi o niesłychanie ważny czas w historii Kościoła, kiedy walczył on z arianizmem, który zaprzeczał Bóstwu Chrystusa – stare jak sam chrystianizm przekonanie, które nie wyszło z mody – oraz wywalczył sobie niezależność od władzy świeckiej, której to autonomii późniejsza hierarchia kościelna nie zawsze broniła.

Po przeczytaniu „Ambrożego" moja żona, która czasem sięga po moje kryminały i thrillery, stwierdziła, że ta pozycja była lepsza, bo prawdziwa. „Chrześcijan w Cesarstwie Rzymskim" jeszcze nie przeczytała, jednak z pełnym przekonaniem mogę powiedzieć, że ta książka również jest lepsza.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 88d2eb15d9

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Alianci?

Podczas drugiej wojny światowej opowiedzieliśmy się po stronie Zachodu. Daliśmy olbrzymią daninę krwi, w imię szlachetnej, choć bardzo kosztownej zasady: „za wolność waszą…", licząc, że będzie też obowiązywać reguła „… i naszą". Tak się jednak nie stało. Wojnę 1939 r. dźwigaliśmy na barkach sami, zaatakowani z dwóch stron: przez III Rzeszę Niemiecką i Związek Sowiecki. Przegraliśmy, a Polska została podzielona i nawet neutralnej Litwie przypadł łakomy kęs, czyli Wileńszczyzna – dar Stalina dla Kowna.

Polska upadła, ale nie całkiem. W podbitym kraju zostało zbudowane Polskie Państwo Podziemne oraz jego struktury wojskowe i cywilne. Do Francji przedostało się (przez Rumunię) kilkadziesiąt tysięcy polskich żołnierzy i tam znowu walczyliśmy „o waszą". Po jej upadku część WP, mozolnie odbudowywanego, przedostała się do Wielkiej Brytanii, w tym tak poszukiwani lotnicy i marynarze.

Po niemieckiej próbie błyskawicznego podboju Związku Sowieckiego ten kraj znalazł się w obozie alianckim, co dla Wielkiej Brytanii było błogosławieństwem, dla nas zaś okazało się zalążkiem kolejnej klęski. Zostaliśmy przymuszeni, aby AK podjęła wysiłek zbrojny i wywiadowczy na rzecz Stalina. W działania „Wachlarza" zaangażowaliśmy połowę cichociemnych i ogromną część budżetu AK, bo mieliśmy teraz „sojuszników naszych sojuszników", którzy nie mieli zamiaru rezygnować ze zdobyczy, osiągniętych w zmowie z Hitlerem. Jedynym osiągnięciem była „amnestia" dla części polskiej ludności, zagarniętej przez Sowietów w latach 1939–1941 i wywiezionej daleko na Wschód.

Udało się uwolnić zaledwie 115 tys. ludzi i zbudować prawie 80-tysieczną armię. Została ona wyprowadzona na Bliski Wschód i brała udział w walkach z Niemcami do końca wojny, osiągając stan ok. 200 tys. żołnierzy. Stalin ze swej strony od 1943 r. budował alternatywne „Wojsko Polskie", jako narzędzie przyszłego skomunizowania Polski.

O postawie Wielkiej Brytanii wobec nas może świadczyć pomoc materiałowa dla AK: 443 tony sprzętu i uzbrojenia. Pomoc dla Grecji była 13 razy większa, dla Francji – 23 razy, a dla komunistycznej wkrótce Jugosławii aż – 170 razy!

Po Teheranie i szczególnie po Jałcie nie byliśmy już potrzebni, mogliśmy więc zgodnie z sugestią Churchilla „swoje dywizje zabrać". Nie zrobiliśmy tego. W czerwcu 1946 r. na londyńskiej paradzie zwycięstwa Polski nie było. Ale takie potęgi, jak Liban, Etiopia, Fidżi czy Seszele – były! ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Początki polskiego radia

W październiku 1924 r. ze stacji nadawczej Polskiego Towarzystwa Radiotechnicznego przy ul. Narbutta 29 w Warszawie wyemitowano pierwszy próbny program radiowy. Nadawano na fali 380 m, a zasięg sygnału wynosił ok. 200 km. Niebawem też pojawiły się przepisy dotyczące warunków posiadania i eksploatacji urządzeń radiotechnicznych, a przy okazji ustalono też opłaty abonamentowe (jeszcze przed uruchomieniem regularnego programu!).

Pierwszą audycję nadano 1 lutego 1925 r. o godz. 18, na fali 385 metrów. Zgodnie z zapowiedzią program emitowano codziennie i trwał on godzinę (od godz. 18 do 19). Oprócz występów aktorów i muzyków wprowadzono też komunikaty Polskiej Agencji Telegraficznej (poprzedniczki PAP) i prognozy Państwowego Instytutu Meteorologii, a prasa warszawska rozpoczęła drukowanie programu radiowego.

W sierpniu 1925 r. koncesję na budowę i eksploatację urządzeń radiofonicznych otrzymała spółka z o.o. Polskie Radio z pominięciem posiadającego niezbędne doświadczenie i warunki techniczne PTR. Nowa spółka rozpoczęła oficjalne nadawanie w kwietniu 1926 r., a do emisji wykorzystywano dotychczasowy nadajnik przy ul. Narbutta. Chociaż niebawem przeniesiono emisję do Fortu Mokotowskiego przy ul. Racławickiej 99, wykorzystując mocniejszy nadajnik. Było to jednak rozwiązanie przejściowe. Liczba abonentów w Polsce wzrosła bowiem do blisko 50 tys. i zasięg 90 km był już niewystarczający.

Rozwiązaniem miała stać się budowa nadajnika wielkiej mocy pod Warszawą, chciano bowiem uniknąć zagłuszania stacji zagranicznych. Ostatecznie wybrano okolice Raszyna, a w brytyjskiej firmie Marconi Wireless Co. Ltd. zamówiono aparaturę nadawczą o mocy 120 kW. Antenę o długości 280 m zawieszono na dwóch masztach stalowych o wysokości 200 m każdy, co było najwyższą lokalizacją anteny radiofonicznej na świecie, a cała stacja miała najsilniejszy sygnał w Europie. Osiągnięto przeciętny zasięg 300 km, a przy użyciu odbiorników lampowych audycje odbierano nawet z odległości 4 tys. km.

Do wybuchu wojny zorganizowano na terenie kraju kilka lokalnych rozgłośni cieszących się miejscową popularnością. Jako pierwszy zaczął działać oddział w Krakowie, skąd nadawano na całą Polskę transmisję hejnału mariackiego, a zdarzyła się również pierwsza relacja „na żywo" z boiska piłkarskiego, meczu Cracovii z Wisłą. Kolejne stacje nadawcze uruchomiono w: Poznaniu, Katowicach, Wilnie, we Lwowie, w Łodzi, Toruniu i Baranowiczach. Od stycznia 1935 r. z Warszawy nadawano dwa programy, a tuż przed wybuchem wojny liczba abonentów przekroczyła milion. ©℗

eprasa.pl 88d2eb15d9

Jan Bogatko
z Berlina

Za podszeptem

Rosyjska propaganda jest w Niemczech wszechobecna. Rosyjscy propagandyści, doskonali w swym rzemiośle od pokoleń, starają się na co dzień manipulować niemiecką opinią publiczną

Postawa wyczekująca, przyjęta przez lewicowy rząd Olafa Scholza w Berlinie wobec Rosji po jej kolejnym akcie agresji przeciwko Ukrainie, nie jest wynikiem jakiejś ostrożności dyplomatycznej kanclerza Niemiec, sojusznika Polski w Unii Europejskiej i NATO, lecz w dużej mierze efektem nieodwzajemnionych uczuć Berlina do Moskwy.

Obrońca Nord Stream i Nord Stream 2, projektów jakoby „czysto gospodarczych", a wymierzonych pośrednio także w Polskę, jako europejskiego „enfant terrible", musiał odczekać do niedwuznacznej reakcji Stanów Zjednoczonych, by przez usta przeszło mu określenie Rosji mianem agresora. Uczynił to wbrew własnemu przekonaniu, o czym świadczy jego polityka wymuszonej pomocy dla napadniętej przez Rosję Ukrainy. Scholz nie tylko wie, że stoi po złej stronie w tej wojnie, ale daje to wyraźnie odczuć uważnym obserwatorom. Ciągle podkreśla on znaczenie „rozmów pokojowych", roztaczając przed Rosją świetlaną wizję przyszłości, może nawet z Krymem.

Scholz, polityk zawsze prosowieckiej SPD, ma sojuszników nie tylko w szeregach własnej partii. Jest nim np. premier rządu krajowego w Saksonii Michael Kretschmer, polityk CDU (niegdyś partii chrześcijańsko-demokratycznej, dzisiaj neoliberalnej). Michael Kretschmer cieszy się na wschodzie Niemiec wielkim autorytetem. Jest on charyzmatycznym politykiem o miłym obejściu, przysparzającym mu sympatyków. Pojęcia „prawica" czy „lewica" znalazły się w koszu na śmieci współczesnej polityki. I tak oto lewica popiera prawicowego jakoby Putina, mimo różnic ideologicznych; to samo czyni niemiecka prawica, która po bliższym przyjrzeniu również okazuje się dość lewicowa. Bałagan wokół definicji ma za sobą w Niemczech długą historię: niemieccy historycy i politolodzy lewicowej proweniencji nazywali hitlerowski ruch narodowego socjalizmu prawicowym i tak już zostało (tymczasem razem z Sowietami wspólnie obchodzili 1 Maja).

Kretschmer chce utrzymać partnerstwo z Rosją. – Trzeba rychło doprowadzić do zawieszenia broni – mówi premier chadeckiego rządu krajowego w Dreźnie. – I to nawet, gdyby miało się to okazać gorzkie dla Ukrainy – dodaje. Wypowiedź ta oznacza, że po pierwsze, nie żąda on wycofania z Ukrainy wojsk rosyjskich, które wtargnęły na terytorium tego państwa 24 lutego (o aneksji Krymu nie wspominając), oraz po drugie, że nie żąda on tak samo pokonania wojsk rosyjskich przez Ukrainę.

Kretschmer, bawiąc w 2019 r. w Moskwie u Putina, żądał zakończenia sankcji wobec Rosji i domagał się poprawy wzajemnych relacji. W 2021 r. Kretschmer peregrynował do Moskwy, by… rozmawiać z Putinem przez telefon. W Saksonii wielu Niemców chciałoby, by Michael Kretschmer, „swój chłop", został któregoś dnia kanclerzem Niemiec z ramienia CDU.

POTĘŻNA ROSYJSKA PROPAGANDA

Na samą myśl o takiej karierze premiera Saksonii ciarki przechodzą po plecach ge-

eprasa.pl 88d2eb15d9

FOT. ADOBE STOCK

Moskwy

neralnego sekretarza FDP, dziś lewicującej partii liberalnej, zrzeszającej osobistości z kół gospodarczych Niemiec – Bijana Djir-Saraia (to polityk urodzony w Teheranie, Pers z pochodzenia). Djir-Sarai dziękuje Bogu, że Kretschmer nie odpowiada za niemiecką politykę zagraniczną: „Szef rządu w Saksonii najwidoczniej do dzisiaj nie zrozumiał, jak niebezpieczna jest Rosja i jak ważne jest wsparcie dla Ukrainy". Dostrzegając brak jedności podejścia wobec Rosji w partii CDU, Djir-Sarai żąda od największej partii opozycyjnej w Niemczech, by wreszcie zajęła wyraźne stanowisko.

Szef CDU w Berlinie, Kai Wegner, ostrożnie krytykuje Kretschmera, swego partyjnego kolegę: „Tak jak Michael Kretschmer wszyscy pragniemy pokoju, wolności i bezpieczeństwa na świecie. Ale także Michael Kretschmer wie, że nie jest to możliwe z podżegaczem wojennym i wojennym zbrodniarzem, jak Putin".

Podobnego zdania jest Jamila Schäfer z Zielonych. Jest tak zajęta polityką, że nie jest w stanie skończyć od 2013 r. socjologii we Frankfurcie nam Menem (wieczna studentka to zawsze lepiej niż fałszywy doktor, jak Djir-Sarai, który stracił tytuł za plagiat).

Kropkę nad „i" stawia Matthias Hauer, poseł z Essen z ramienia CDU w Bundestagu: „Ten, kto jak Kretschmer sugeruje, że inne państwa mogłyby pójść tą drogą, dał się nabrać na rosyjską propagandę".

Warto zapamiętać: na rosyjską, nie na putinowską.

A ta rosyjska propaganda jest w Niemczech wszechobecna. Rosyjscy propagandyści, doskonali w swym rzemiośle od pokoleń, starają się na co dzień manipulować niemiecką opinią publiczną. „Rosjanie wyzwalają Ukrainę od nazistów" – głosi w kanale YouTube i w innych Alina Lipp, niemiecka dziennikarka. I nie tylko ona – nie brak także niemieckich polityków, którzy uczestniczą w tym procederze, informuje drugi program niemieckiej telewizji publicznej, ZDF. Audycja publicystyczna „ZDFzoom" demaskuje strukturę dezinformacji w Niemczech. Alina Lipp („Proszę, protestujcie przeciwko dostawom broni dla Ukrainy") to tylko jedna z armii propagandystów na rzecz Rosji, którzy w Internecie, w mediach społecznościowych, stacjach telewizyjnych czy na licznych w Niemczech demonstracjach wywołują nastroje prorosyjskie, podejmując próbę destabilizacji systemu politycznego w Niemczech – utrzymuje ZDF.

„Rosjanie wyzwalają Ukrainę od nazistów" – głosi Alina Lipp, niemiecka dziennikarka. I nie tylko ona

Rosyjski politolog Siergiej Miedwiediew, mieszkający w Berlinie („Wstydzę się, że jestem Rosjaninem"), widzi w prorosyjskich mediach propagandowych instrumenty dezinformacji w celu destabilizacji. Dodaje: „To jest broń polityczna, stanowiąca realne niebezpieczeństwo dla demokracji w Unii Europejskiej".

ZDF w emitowanym programie, demaskującym rosyjską propagandę w Niemczech, podkreśla, że rozpowszechnianie rosyjskiej propagandy w Internecie jest gigantyczne. Tak np. tylko kanał na YouTube o wdzięcznej nazwie „Gołos Germanii", prowadzony w Niemczech przez Sergieja Filberta (nazwisko wskazuje na to, że należy on do tzw. grupy „Niemców nadwołżańskich" w Niemczech, liczącej tymczasem ponad 2,3 mln osób), liczy ponad pół miliona abonentów i chwali się 250 mln wejść! Treść?

eprasa.pl 88d2eb15d9

Łato się domyśleć. „Zachód sprowokował Rosję" – mówi Filbert w wywiadzie dla ZDF. „To nie ludzie z Doniecka czy Ługańska rozpoczęli wojnę i zabijanie, lecz siły ukraińskie i naziści" – przekonuje. Taką wizję przekazuje także Kreml.

Dziennikarz, zbierający materiały do audycji „ZDFzoom", Rainer Fromm, stale natrafia w swych poszukiwaniach na antyzachodnie teorie spiskowe, mity, rosyjską propagandę i dezawuowanie demokratycznych struktur. Nie dostrzega jednak tego, że także one zmurszały pod naciskiem walki ideologicznej i coraz mniej mają wspólnego z demokracją w klasycznym tego słowa znaczeniu, co ułatwia pozyskanie niezadowolonych. Na owo wykorzystanie niezadowolonych przez rosyjską propagandę zwraca uwagę cytowana w programie dr Susanne Spahn, politolog. W jej ocenie nie na wiele się też zdał zakaz nadawania przez kremlowską stację telewizyjną w Niemczech – Russia Today (RT). Sankcje, nałożone po agresji Rosji na Ukrainę przez Unię Europejską, miały na celu położenie kresu propagandzie. Jednak, jak informuje ZDF, stacja rosyjska z powodzeniem omija zakaz, nadając swe programy w Internecie. A nawet – jak przekonuje dr Susanne Spahn – propagandowy przekaz stał się jeszcze bardziej intensywny.

NIEMCY SIĘ BOJĄ

Czy Niemcy są podatni na rosyjską propagandę? Niestety, w dużym stopniu tak. I to coraz bardziej – wynika z badań przeprowadzonych przez Pię Lamberty. Młoda naukowiec jest psychologiem socjalnym i zajmuje się w swych badaniach teoriami spiskowymi. Lamberty weszła do zarządu organizacji użytku publicznego CeMAS – Centrum Monitoringu, Analizy i Strategii.

Wydawałoby się, że przekaz medialny, zdjęcia z Buczy czy Irpienia, bombardowanych przez Rosjan szkół i szpitali wystarczą za tamę dla kremlowskiej propagandy. Z ankiety przeprowadzonej przez CeMAS wynika jednak, że aż 12 proc. pytanych w Niemczech jest zdania, iż Rosja była zmuszona do działań przeciwko Ukrainie z powodu prowokacji ze strony NATO! Tak było w kwietniu, kilka tygodni po agresji Rosji. Dzisiaj tego zdania jest już 19 proc. Niemców! Prawie co piąty! Mniej więcej tyle samo Niemców uważa, że Putin występuje przeciwko „globalnej elicie", która z ukrycia „pociąga za sznurki". Skąd to się bierze? Lamberty zwraca uwagę na to, że rosyjska propaganda od lat sączyła się do głów Niemców. Prorosyjskie i antyamerykańskie postawy wzmacniają się w Niemczech od lat, nie tylko w XXI w. Marsze wielkanocne w Niemczech, lewackie happeningi na rzecz jednostronnego rozbrojenia z ubiegłego wieku stanowiły początek. Dzisiaj niemal konserwatywni Zieloni znajdowali się wówczas w awangardzie tego ruchu.

Już prawie co piąty Niemiec jest przekonany, że Rosja zaatakowała Ukrainę z powodu prowokacji NATO

Podatność na kremlowską propagandę bierze się w Niemczech ze strachu. Słowo „Angst", strach właśnie, jest między Odrą a Renem niemalże stałym słowem roku. Niemcy boją się kryzysu energetycznego, drogiego gazu i oleju opałowego, także inflacji i ryzyka wyłączenia dostaw prądu. Nie są to lęki wyssane z palca – Federalny Urząd Ochrony Cywilnej w Niemczech ostrzegł w tych dniach przed przerwami w dostawach energii elektrycznej. Według szefa urzędu Ralpha Tieslera Niemcy muszą być przygotowani na regionalne i okresowe przerwy w dostawie prądu w styczniu i lutym. Wielu Niemców nie radzi sobie z rosnącymi cenami żywności. Widać to w Zgorzelcu, dokąd przyjeżdża na zakupy do supermarketów coraz więcej Niemców. „A kiedy ludzie myślą, że tracą kontrolę, to wówczas przychodzi im z pomocą teoria spiskowa, ponieważ tłumaczy ona tym ludziom świat prosto i zwięźle" – mówi Lamberty.

Najbardziej na tę propagandę podatni są mieszkańcy Niemiec Wschodnich. Wiem o tym z codziennych rozmów z sąsiadami. Tu, na wschodzie, niemal co trzeci Niemiec uważa, że Rosja, z uwagi na postawę NATO, nie miała innej możliwości niż atak. Nikt sobie nie stawia pytania, czy NATO planowało agresję na Rosję. Zresztą po co? Antyamerykanizm wystarcza za odpowiedź. Stąd biorą się też w Niemczech ataki na Ukraińców, ostatnio pewien „demonstrant" nazwał uchodźcę z Ukrainy „nazistą". Pod Wismarem, w Meklemburgii-Pomorzu Zachodnim, błędnie nazwanym w Polsce „przednim", co wynika z bezmyślnego tłumaczenia niemieckiej nazwy landu na polski, w Budziszynie i pod Lipskiem zaledwie w ciągu kilku tygodni doszło do zamachów na schroniska dla uchodźców, w których mieszkają Ukraińcy. Ktoś nabazgrał hakenkreuz na schronisku w Rostocku. Resort spraw wewnętrznych informuje o wzroście liczby zamachów.

Oczywiście rosyjska propaganda ma swych pomocników w Niemczech. Niewątpliwie należy do nich była niemiecka korespondentka związanej z SPD stacji TV ARD w Moskwie, Gabriele Krone-Schmalz. Pracowała ona tam w okresie agonii komunizmu (1987–1991). Dziennikarka uchodzi za ekspertkę do spraw Rosji (była ona, jak podaje, w latach 2011–2016 profesorem dziennikarstwa w prywatnej powiatowej akademii Business and Information Technology School w Iserlohn). Gabriele Krone-Schmalz wywodzi się z dziennikarskiej kuźni WDR w Kolonii. WDR to Westdeutsche Rundfunk, stacja radiowo-telewizyjna nazywana potocznie nad Renem Westdeutsche Rotfunk (zachodnioniemiecka czerwona rozgłośnia). Obserwując karierę dziennikarki, trudno się nie uśmiechnąć na ten trafny epitet. Za swe prorosyjskie wystąpienie w Reutlingen zebrała ona ostre słowa krytyki ze strony prof. Klausa Gestwy z Uniwersytetu w Tybindze. Gestwa stwierdza: „Można tyle powiedzieć na temat Gabriele Krone-Schmalz, że trzeba ostrzec przed jej manipulacyjną naturą".

Profesor Gestwa jest naukowcem zajmującym się Europą Wschodnią, dyrektorem Instytutu Historii Europy Wschodniej na Uniwersytecie w Tybindze. Na wykładzie byłej korespondentki ARD w Moskwie, z którym zapoznało się prawie 800 tys. youtuberów, nie zostawił on suchej nitki. Jak i na Uniwersytecie Ludowym (VHS) w Reutlingen, który go emitował. Najkrótszy komentarz profesora: „Gabriele Krone-Schmalz od lat rozpowszechnia politycznie szkodliwą legendę, jakoby Zachód ustawicznie odrzucał wyciągniętą rękę Putina".

Co nas czeka?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 88d2eb15d9

Ukraińska legia cudzoziemska

Maciej Pieczyński

W formacjach ochotniczych na Ukrainie służy ok. 20 tys. obcokrajowców. Wśród nich Polacy, którzy w teorii wciąż potrzebują na to zgody MON. Pod komendą Kijowa z Rosją walczą także m.in. amerykańscy weterani wojen w Iraku i Afganistanie, białoruscy przeciwnicy Łukaszenki, a nawet rosyjscy nacjonaliści

Już trzy dni po agresji rosyjskiej Wołodymyr Zełenski zapowiedział utworzenie Legionu Międzynarodowego w składzie Obrony Terytorialnej. Zwrócił się wówczas z apelem do obywateli państw wspierających Ukrainę. „Wszyscy, którzy chcą się przyłączyć do obrony bezpieczeństwa w Europie oraz na świecie, mogą przyjechać i stanąć ramię w ramię z Ukraińcami przeciwko agresorom XXI w." – mówił ukraiński prezydent.

Legion liczy ok. 20 tys. żołnierzy kontraktowych. Jeden z Polaków walczących w szeregach formacji w rozmowie z Krzysztofem Stanowskim powiedział, że zarabia 1 tys. hrywien (ok. 120 zł) za jeden dzień pobytu na poligonie oraz 3 tys. hrywien (ok. 360 zł) za jeden dzień na froncie. Na początku marca 2022 r. szef MSZ Ukrainy Dmytro Kułeba poinformował, że po stronie Kijowa z bronią w ręku stanęli ochotnicy z 52 krajów. W Legionie służy wielu Amerykanów, Brytyjczyków i Kanadyjczyków – weteranów wojen w Iraku i Afganistanie. Czeczeńscy niepodległościowcy, uważający Ramzana Kadyrowa za zdrajcę swojego kraju, zasilili szeregi batalionu im. Dżochara Dudajewa czy batalionu specjalnego przeznaczenia Ministerstwa Obrony Czeczeńskiej Republiki Iczkeria. W Legionie służą też Brazylijczycy, Meksykanie, Argentyńczycy, Ekwadorczycy, Kolumbijczycy, Wenezuelczycy, Portugalczycy, Hiszpanie, Włosi, Francuzi. A także wspomniani już Polacy. Nie ma żadnych oficjalnych danych na temat ich liczby. Wspomniany już ochotnik, który anonimowo wystąpił w programie Krzysztofa Stanowskiego, ocenia, że w Legionie służy maksymalnie 30 Polaków.

Swoją tożsamość zdradzają niechętnie. Za służbę w zagranicznych formacjach zbrojnych bez zgody ministra obrony narodowej grozi kara pozbawienia wolności od trzech miesięcy do pięciu lat. Po wejściu w życie Ustawy o obronie Ojczyzny 23 kwietnia 2022 r. do MON wpłynęło 18 wniosków z prośbą o zgodę na służbę w Legionie Międzynarodowym. „Z tych 18 wniosków – 1 postępowanie umorzono na wniosek strony, 3 zakończono odmową zgody, 1 zmierza do zakończenia w wynikiem negatywnym, 2 zakończono wydaniem zgody, 5 zmierza do zakończenia z wynikiem pozytywnym, 6 postępowań jest w toku. Powodem rozpatrzenia wniosku negatywnie (odmowa zgody) jest brak spełnienia warunków określonych w przepisach. Wnioskujący posiadają przydziały mobilizacyjne w SZ RP (są żołnierzami rezerwy przewidzianymi do wykorzystania w strukturach SZ RP po mobilizacji), co powoduje obligatoryjne wydanie decyzji odmownej" – czytamy w odpowiedzi Wydziału Prasowego MON na pytania „Do Rzeczy". Przed 23 kwietnia MON rozpatrywało jedynie wnioski byłych żołnierzy (pozostałymi zajmowało się MSWiA). Na 12 wniosków tylko dwa zostały rozpatrzone pozytywnie. Większość Polaków walczy zatem na Ukrainie nielegalnie.

W grudniu do Sejmu wpłynął projekt ustawy abolicyjnej. Jeśli wejdzie w życie, to za wstąpienie w szeregi armii ukraińskiej bez zgody MON nie będzie groziła odpowiedzialność karna. Zgodnie z uzasadnieniem celem ustawy jest dostosowanie prawa do potrzeb obywateli polskich, którzy kierują się nie tylko solidarnością z krajem napadniętym przez Rosję, lecz także patriotyzmem, ponieważ Rosja „nie ukrywa nieprzyjaznych zamiarów wobec Polski". Pod projektem podpisali się przedstawiciele wszystkich sił politycznych w Sejmie poza Konfederacją. Według doniesień „Rzeczpospolitej", projekt został jednak zablokowany przez marszałek Sejmu Elżbietę Witek. – Nie jest to najbardziej pilna ustawa. Rząd traktuje Polaków, walczących na Ukrainie, jak patriotów. Dowodem na to jest choćby renta specjalna, którą otrzymały rodziny poległych ochotników. Jeśli ktoś chce walczyć na Ukrainie, niech składa wniosek do MON. Otrzyma taką zgodę z dużym prawdopodobieństwem – mówi „Do Rzeczy" poseł PiS Michał Jach, przewodniczący sejmowej Komisji Obrony Narodowej.

Według informacji Onetu od 24 lutego do grudnia 2022 r. na Ukrainie zginęło sześciu polskich ochotników. Trzydziestopięcioletni Daniel zmarł z powodu ran odniesionych w wyniku wybuchu miny pułapki podczas akcji rozpoznawczej. Był instruktorem survivalu, strzelectwa sportowego i bojowego, ratownikiem medycznym, płetwonurkiem, od najmłodszych lat zafascynowanym wojskowością. W grudniu w walkach pod Bachmutem zginęli 41-letni Janusz Szeremeta i 33-letni Krzysztof

eprasa.pl 88d2eb15d9

Członek Legionu Międzynarodowego wyszukuje rosyjskich żołnierzy na celowniku swego karabinu snajperskiego

FOT. CHRIS MCGRATH/GETTY IMAGES

Tyfel. Szeremeta był pasjonatem i popularyzatorem historii Kozaczyzny, stąd jego pseudonim Kozak. Tyfel działał w Związku Strzeleckim, a na Ukrainie szkolił żołnierzy. Na froncie zginął też m.in. Tomasz Walentek, amatorski zawodnik MMA.

Polscy ochotnicy nie lubią być nazywani najemnikami. W medialnych wypowiedziach z reguły tłumaczą, że walczą nie dla pieniędzy (Kijów nie oferuje rewelacyjnych warunków finansowych), ale dla idei. W obronie niesprawiedliwie napadniętej Ukrainy przed rosyjskimi zbrodniarzami. „Gdy zaczęły spływać informacje na temat Buczy i innych miejsc, gdzie Rosjanie mordowali cywili, stwierdziłem, że muszę tam być" – mówił „Falcon", Polak, dowódca plutonu, w podcaście „Układ otwarty" Igora Jankego. Szeremeta i Tyfel przekonywali, że walczą pośrednio w obronie własnego kraju – w obawie przed rozlaniem się konfliktu na Polskę w razie klęski Ukrainy. Podobnie swój udział w wojnie motywował Janusz ps. Hulk, były ochroniarz, który o swoim szlaku bojowym opowiedział Michałowi Nowakowi z portalu Nowy Ład. Z kolei cytowany już gość programu Krzysztofa Stanowskiego otwarcie przyznał, że jego motywacją jest „nienawiść do narodu rosyjskiego". Jak się okazało, brał udział w polsko-rosyjskich starciach pseudokibiców w Warszawie przy okazji rozgrywanego w ramach Euro 2012 meczu Polska – Rosja. Również i takich, szukających przygód, możliwości wyżycia się, ochotników z pewnością na ukraińskim froncie jest wielu. Po powrocie z frontu państwo może skorzystać z ich doświadczeń. Ponadto straumatyzowani weterani mogą też stwarzać problemy społeczne. Dlatego wyzwaniem dla państwa powinna być nie tylko legalizacja, lecz także ścisła kontrola nad ochotnikami.

WALKA Z IMPERIALIZMEM

Wśród zagranicznych najemników po stronie Kijowa wyróżniają się szczególnie Gruzini i Białorusini. W obu przypadkach główną motywacją jest walka z imperializmem rosyjskim. Gruziński Legion Narodowy powstał już w 2014 r. Był to pierwszy przypadek w historii Ukrainy, gdy w jej szeregi przyjęto obcokrajowców. Dowódcą legionu jest Mamuka Mamulaszwili, który na początku lat 90. jako 14-latek walczył z prorosyjskimi separatystami w Abchazji. Prawdopodobnie najwięcej spośród ochotników to Białorusini (część z nich również walczy już od 2014 r.). Pod komendą Kijowa służą trzy oddziały: pułk „Pahonia" („Pogoń"), batalion „Terror" oraz pułk im. Konstantego Kalinowskiego (polsko-białoruskiego działacza niepodległościowego, uczestnika powstania styczniowego). Białoruscy obrońcy Ukrainy odwołują się do spuścizny Wielkiego Księstwa Litewskiego walczącego z moskiewską ekspansją. Występują zarówno przeciwko Putinowi, jak i Łukaszence, którego uważają za pionka Kremla. Współpracujący z białoruską opozycją na emigracji założyciel „Pahoni", Wadzim Prakopieu, zaproponował, by na bazie walczących na Ukrainie oddziałów ochotniczych utworzyć coś na kształt białoruskiej armii Andersa. Jej celem byłoby wyzwolenie Białorusi spod dyktatury Łukaszenki. Jednak oddziały te podlegają rozkazom Kijowa. Ponadto, w odróżnieniu od „Pahoni", pułk Kalinowskiego nie poparł emigracyjnego rządu Cichanouskiej. Kijów z niedoszłą prezydent Białorusi ma raczej trudne relacje. Nad Dnieprem to właśnie pułk Kalinowskiego, a nie gabinet Cichanouskiej, uważany jest za nieoficjalne przedstawicielstwo „wolnej Białorusi".

Co ciekawe, u boku Ukraińców walczą również Rosjanie. I to bynajmniej nie zwolennicy globalistów, LGBT czy lewicowo-liberalni agenci Zachodu, tylko ideowi nacjonaliści. Latem 2022 r. w skład Legionu Międzynarodowego wszedł Rosyjski Korpus Ochotniczy. W Internecie RKO opublikował manifest – odpowiedź na pytanie „O co walczymy?". Autorzy zaznaczają: „My russkije, no my nie rossijanie". Nie da się tej deklaracji przetłumaczyć dosłownie. „Russkije" to Rosjanie w sensie narodowym, etnicznym. „Rossijanie" to obywatele Rosji. Przy czym autorzy manifestu te definicje rozwijają. „Russkije to naród słowiański, połączony wspólnym pochodzeniem, kulturą, terytorium i językiem" – czytamy w tekście manifestu. Ochotnicy z korpusu sprzeciwiają się synonimicznemu traktowaniu obywatelstwa i narodowości rosyjskiej. Ich zdaniem to wręcz sprzeczności. „Rossijanie" to według walczących w szeregach korpusu „zbiorowy obraz przedstawicieli wszelakich narodowości, wyznań i warstw społecznych, zamieszkujących Federację Rosyjską i wspierających, bezpośrednio lub pośrednio, obecny reżim". „Russkich", którzy stali się „Rossijanami",

eprasa.pl 88d2eb15d9

nazywają „wyrusią", czyli tymi, którzy „wyszli" z „russkiej" tożsamości, opuścili ją. (Russkije) ochotnicy oburzają się, że Moskwa chce budować „rosyjski świat" nie w Moskwie, tylko na Ukrainie. Ich zdaniem wojna była nieunikniona. Konflikt obecny uważają za kontynuację dawnej rywalizacji carskiej Moskwy z kupieckim, demokratycznym Nowogrodem. Współczesną wersją Nowogrodu jest nacjonalistyczna Ukraina, a Moskwy – imperialna Rosja. Dwa różne projekty cywilizacyjne. Dwie różne drogi dla Słowian wschodnich: sakralizujący naród nacjonalizm oraz sakralizujący władzę imperializm. Rosyjscy ochotnicy walczą o „autentyczne braterstwo z Ukraińcami i Białorusinami bez imperialnego szowinizmu". Ich konkretne cele to: obrona i odbudowa integralności terytorialnej Ukrainy w granicach z 1991 r., obalenie reżimu Putina, zapewnienie „wolności narodowi rosyjskiemu" oraz prawa do samostanowienia dla narodów zamieszkujących Federację Rosyjską. Reasumując, ich celem jest powstanie trzech równorzędnych wschodniosłowiańskich państw narodowych – Rosji, Białorusi, Ukrainy – bez przewagi żadnego z nich.

Po stronie Kijowa walczą zatem rosyjscy nacjonaliści, odcinający się od kolonialnej spuścizny Moskwy. W imię budowy państwa monoetnicznego najchętniej pozbyliby się terytoriów niezamieszkanych przez czystej krwi Rosjan.

OBALIĆ PUTINA

Żołnierze korpusu rekrutują się spośród etnicznych Rosjan żyjących na Ukrainie i w innych krajach europejskich. Część z nich po stronie Kijowa walczyła już od 2014 r., m.in. w szeregach słynnego pułku „Azow", który wyrósł na gruncie środowisk skrajnie nacjonalistycznych, rasistowskich, neonazistowskich. Podobne sympatie ideologiczne bliskie są rosyjskim ochotnikom. Oficjalny symbol RKO (biały miecz wpisany w czarną tarczę) przypomina symbol nacjonalistycznej organizacji Biała Idea, zrzeszającej rosyjskich białych (antybolszewickich) emigrantów na zachodzie Europy w latach 30. Biała Idea weszła w skład Rosyjskiej Partii Faszystowskiej, działającej w Chinach, a jej twórca, Wiktor Łarionow, wyjechał do III Rzeszy, gdzie stanął na czele Narodowej Organizacji Młodzieży Rosyjskiej, zrzeszającej młodych rosyjskich faszystów przebywających na emigracji w Niemczech. Sami ochotnicy nazywają siebie „prawicowymi konserwatystami". Ponadto część z nich nosi szewron Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej, czyli wchodzącej w skład Wehrmachtu, dowodzonej przez słynnego gen. Własowa formacji złożonej z sowieckich jeńców, którzy przeszli na stronę III Rzeszy. Oprócz symboli związanych z rosyjskim faszyzmem lub rosyjskimi kolaborantami Hitlera RKO używają również ukraińskiej flagi.

Polityczną i organizacyjną kontrolę nad RKO przejęła powstała jesienią 2022 r. w Warszawie Rada Obywatelska. Jej celem jest werbowanie Rosjan do walki z reżimem Putina na Ukrainie. Oprócz RKO Rada rekrutuje ochotników do batalionu „Krym", złożonego z Tatarów krymskich, a także z Czeczenów i innych narodów Kaukazu. W skład tej politycznej organizacji wchodzą przedstawiciele różnych regionów Rosji. Część komentatorów uważa Radę za projekt FSB.

W RKO służą rosyjscy emigranci. Tymczasem u boku Ukrainy walczy również Legion Wolność Rosji. Jego szeregi zasilają jeńcy wojenni oraz żołnierze rosyjscy, którzy po 24 lutego przeszli na stronę Kijowa. Zaczęło się od stuosobowej kompanii, która, we współpracy z SBU, trzy dni po wybuchu wojny zmieniła front. Dowódca oddziału na konferencji prasowej zadeklarował, że chce „bronić Ukrainy przed prawdziwymi faszystami". Według słów byłego już doradcy Zełenskiego, Ołeksija Arestowycza, legion zajmuje się również dywersją na terenie Rosji. Podobnie jak Narodowa Armia Republikańska – formacja partyzancka, o której powstaniu poinformował Ilja Ponomariow, kontrowersyjny, radykalny działacz antyputinowskiej opozycji, od kilku lat żyjący na emigracji na Ukrainie. Formacja ta miała rzekomo odpowiadać za śmierć Darii Duginy. Większość komentatorów uznała, że NAR jest fejkiem, PR-owskim wymysłem Ponomariowa, a może nawet projektem kremlowskich służb. W sierpniu NAR, reprezentowana właśnie przez Ponomariowa, podpisała z Legionem „Wolność Rosji" deklarację współpracy. Obie organizacje głoszą potrzebę walki o obalenie Putina, wolność słowa, demokrację i „zachowanie jednej i niepodzielnej Rosji w granicach z 1991 r.". Czyli Rosji bez Krymu i Donbasu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 88d2eb15d9

FOT. VOX ESPAÑA

Chcemy przejąć stery Europy

Z Santiago Abascalem, hiszpańskim politykiem, liderem partii VOX
rozmawia
Małgorzata Wołczyk

MAŁGORZATA WOŁCZYK: „Egzotyczny sojusz eurofobów" – tak nazywa się czasem współpracę partii konserwatywnych. Sądząc po ostatnich spotkaniach i nienawiści, która wybuchła w szeregach europejskiego mainstreamu, ten sojusz zagraża lewicowej większości. Wydaje się, że zgodnie z logiką lewicy, im bardziej VOX udaje się zjednoczyć konserwatywne partie Europy i Iberoameryki, tym bardziej jest antyeuropejski! Co chciałby osiągnąć VOX?

SANTIAGO ABASCAL: Będziemy jednoczyć wszystkie siły, które wierzą w prawdziwą Europę, które chcą ochronić swoją narodową tożsamość, swoje granice i styl życia. Chcemy sprawić, aby właśnie te siły miały władzę w Europie, a choć są demokratyczne, to jednocześnie są najbardziej atakowane przez biurokratów europejskich. To one powinny współrządzić Europą, a nie ci, którzy dążą do jej zniszczenia, zrujnowania przemysłu, zniesienia granic, zubożenia klasy średniej. Mamy bardzo ambitny cel: wraz z naszymi partnerami chcemy przejąć stery Europy właśnie po to, aby ją ocalić.

Trudno chyba będzie planować przyszłość i patrzeć z optymizmem, skoro europejski mainstream interpretuje każde wydarzenie – czy to z Brazylii, czy z Kapitolu w Waszyngtonie – według wygodnego klucza: źli są zawsze po prawej stronie, a demokraci po lewej.

My musimy zażądać od nich wyjaśnień, permanentnie stawiać ich wobec trudnych pytań. Mainstream europejski musi wytłumaczyć, jak to możliwe, że z jednej strony opowiada się przeciw Putinowi, a z drugiej – popiera wszystkich sojuszników Putina w Iberoameryce: Lulę, Maduro i łączy się ze wszystkimi, którzy chcą zniszczyć demokrację. Możemy sprawić, aby wybrzmiał publicznie ten fałsz, skoro z jednej strony establishment potępia Putina, a z drugiej strony forsuje radykalną politykę klimatyczną, która była dyktowana bezpośrednio z Moskwy i rujnuje nas wszystkich.

Okazuje się, że skoro nie są w stanie dać wiarygodnych odpowiedzi, to pozostaje im już tylko odwołać się do tyranii większości. To nie ma nic wspólnego z demokracją. Używają tej tyranii większości, aby dyktować potem suwerennym krajom, takim jak Polska, nawet wasze ustawodawstwo. Wszystko to robią ponad obowiązującymi traktatami. I taka jest nasza rola: żądać wyjaśnień i racjonalnego wytłumaczenia na oczach Europejczyków, aby ci mogli się przekonać, kto rzeczywiście reprezentuje demokrację.

Były premier Felipe González powiedział ostatnio: „W demokracji prawdą jest to, co obywatele uważają za prawdę". Można założyć, że dla waszej lewicy o prawdzie decyduje powszechne głosowanie. Biorąc pod uwagę, że VOX głosi stare prawdy, mało popularne w postępowej Hiszpanii, jak oceniacie swoje szanse na zwycięstwo w majowych wyborach samorządowych i grudniowych parlamentarnych?

VOX jest partią realistów, która ma ogromną przyszłość w Hiszpanii i będzie nią rządzić w przyszłości, ale to nie zdarzy się z dnia na dzień. VOX musi walczyć jednocześnie przeciw wszystkim partiom w tej dyktaturze skorumpowanej klasy politycznej

eprasa.pl 88d2eb15d9

i w dodatku przeciw wszystkim mediom mainstreamu. VOX nie wygra tych wyborów samorządowych, ale wciąż jest partią, której popularność nieprzerwanie i najszybciej rośnie. Trzeba pamiętać, że jesteśmy bardzo młodą partią i jeszcze trzy lata temu nie mieliśmy żadnej reprezentacji w instytucjach. Jednocześnie osiągnęliśmy bardzo wiele w rekordowo krótkim czasie, ale mamy przed sobą długą drogę. VOX na pewno otrzyma wielkie poparcie w wyborach powszechnych i okaże się zapewne siłą decydującą, aby Hiszpania pozbyła się wreszcie rządów koalicji socjalistów i komunistów. Będziemy pierwszą partią narodową i osiągniemy to wbrew kampanii kłamstw naszych adwersarzy i tego „kordonu sanitarnego" narzuconego w głównych mediach. Naszą siłą jest wytrwałość, wierność starym prawdom. Nigdy nie będziemy dostosowywać się do tego, co mówi większość w danym momencie. Większość może zbiorowo się mylić i spowodować, że w danym momencie w kraju będzie się bronić tego, co jest straceńcze dla narodu. Nasze zadanie to sprawić, aby obrona starych zasad i przekonań została też dobrowolnie przyjęta przez społeczeństwo jako egzystencjalna konieczność.

Trybunał Konstytucyjny w Hiszpanii wydał już trzy wyroki za nadużycie władzy obecnego rządu. Wiele się mówi o zamachu rządu na władzę sądowniczą, ale eksperci i analitycy wskazują, że rząd ma całkowitą kontrolę nad prokuraturą, Trybunałem Obrachunkowym, Centrum Narodowym Badania Opinii Publicznej, Głównym Urzędem Statystycznym, Indrą (centrum odpowiedzialnym w jakiejś części za liczenie głosów w wyborach). A jednak w UE mówią, że to ja i moi rodacy żyjemy w niepraworządnym reżimie. Jakie jest największe zagrożenie dla praworządności w Hiszpanii, którego UE nie chce zobaczyć?

W Hiszpanii największymi zagrożeniami są wola lewicy utrzymania się u władzy za wszelką cenę i nieakceptowanie alternacji w demokracji. Brak skrupułów lewicy, która dla przedłużenia swego mandatu jest gotowa współrządzić z jawnymi wrogami konstytucji i wrogami narodu, czyli z komunistami, separatystami i z terrorystami [spadkobiercami ETA – przyp. M.W.]. Pomimo ich wysiłków, by zgromadzić całą władzę i zapobiec demokratycznej zmianie, lewica i tak zostanie w Hiszpanii odsunięta od władzy z pomocą urn.

Z tego, co obserwuję, połowa Hiszpanii jest oburzona, że w regionie Kastylii i León (jedynym, w którym VOX ma udział we władzy) chcecie uruchomić ponoć „groźny protokół" w placówkach służby zdrowia, czyli możliwość wysłuchania bicia serca dla kobiet ciężarnych stojących przed decyzją o aborcji. Oskarża się was o sadyzm, faszyzm i plan rozprzestrzenienia tej agendy na resztę kraju, podczas gdy skrajna lewica otwarcie promuje pedofilię. Czy można jeszcze przekonać lewicę czy po prostu trzeba ją zwalczać?

Nie mam wątpliwości, że pozostaje nam już tylko ją pokonać. Owszem, możemy przekonać część wyborców lewicy, którzy są oszukiwani na wszelkie sposoby, ale co do przywódców lewicy już nie ma złudzeń. Lewica uważa, że to horror, jeśli kobieta może posłuchać bicia serca czy zobaczyć dziecko w ultrasonografii 4D. Jest to też lewica, która wcale nie chce bronić rolników ani robotników, która jest zgorszona, że mogą istnieć inne związki zawodowe niż te kierowane przez komunistów i socjalistów. To jest lewica, którą należy jak najszybciej pokonać głosami wyborców.

> **Największymi zagrożeniami są wola lewicy utrzymania się u władzy za wszelką cenę i nieakceptowanie demokracji**

Partia Ludowa i KO Tuska współpracują w Parlamencie Europejskim, próbując obalić polski rząd. Ze swojej strony Tusk potępił wspólny pakt Partii Ludowej i VOX w Kastylii i León. Skąd to poczucie wyższości wśród liberałów, aby dyktować innym, co mają robić, tym bardziej że sami są tak ulegli wobec dyktatu lewicy?

Ich postawa wynika z absolutnego braku wiary w suwerenność narodów. Im się zdaje, że mogą dyktować innym nacjom albo partnerom politycznym, z kim mogą rozmawiać, a z kim nie. My mamy bliskie relacje z bardzo ważnymi partiami w Europie: z PiS, Fratelli d'Italia i z innymi partiami UE, ale żaden z naszych partnerów nigdy nie odważyłby się nam dyktować, co mamy robić we własnym kraju i z kim wolno nam paktować. A gdyby tak robił, od razu zerwalibyśmy relacje, bo my wierzymy w suwerenność narodów i prawo do decydowania przez demos. Nigdy nie przyszłoby nam też do głowy mówić PiS, jaką politykę ma rozwijać we własnym kraju.

Vox wielokrotnie krytykował rosyjską agresję, domagał się większego udziału Hiszpanii w wysyłanie broni Ukrainie. Jak wiadomo, to partia Podemos, koalicjant w rządzie, proponowała wyjście Hiszpanii z NATO i jest tzw. koniem trojańskim Rosji. Dlaczego liberalnym mediom tak łatwo przychodzi manipulowanie prawdą i oskarżanie partii antyglobalistycznych, takich jak VOX, o sympatię dla Rosji Putina?

Myślę, że jest im coraz trudniej oszukiwać, bo główne media są coraz mniej wiarygodne i przez to mniej czytane. Spora część Europejczyków woli zasięgać informacji w niezależnych mediach, uczciwiej informujących niż mainstream. Większość już rozumie, że Putin nigdy nie rozpocząłby tej wojny, gdyby nie fatalna rola Niemiec: ich uzależnienie od dostaw z Rosji, ich radykalna polityka klimatyczna, która przesądziła o kształcie obecnej polityki i która była dyktowana z Kremla. Wiemy dziś o kanclerzu Niemiec, który był zatrudniony przez Gazprom, wiemy jak bardzo Niemcy zwalczały atom. Ucierpiał sektor przemysłowy w całej UE, ponieważ niemieckie lobby Zielonych było opłacane przez Rosję.

Dziś rozumiemy więcej: Putin czuł się silny, ponieważ Niemcy były słabe, a choć prezydent Trump ostrzegał, to był za to wyśmiewany. I to Niemcy się poddały, a w swojej kapitulacji pociągnęły resztę krajów. Dziś ta prawda jest powszechnie znana, rozbrzmiewa w social mediach. Europejczycy, którzy będą niedługo podejmować decyzje, głosując na swoich europosłów, muszą wziąć to pod uwagę.

A teraz musimy sobie wyjaśnić coś raz na zawsze: polscy konserwatyści i sympatycy VOX pytają, komu kibicować: Realowi Madryt, FC Barcelonie czy Atlético Madrid? Co VOX radzi w tej materii?

Nie mamy doktryny w materii futbolu i nie mogę wypowiadać się za całą partię, więc powiem to tylko we własnym imieniu: pomimo Lewandowskiego w ekipie Barçy podpowiadam, aby kibicować Realowi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 88d2eb15d9

Teresa Stylińska

Demonstracja po zablokowaniu przez brytyjski rząd szkockiego prawa, Glasgow, 21 stycznia 2023 r. FOT. JEFF J MITCHELL/GETTY IMAGES

Suwerenność w cieniu trans

Czy dążenie do niepodległości może wiązać się z kwestią zmiany płci? Tak – chociaż pytanie wydaje się absurdalne. Równie absurdalne zresztą jak treść ustawy o zmianie płci, którą pod koniec ubiegłego roku uchwalił parlament szkocki, a której wejście w życie rząd brytyjski postanowił zablokować

Ingerencja rządu w Londynie w ustawodawstwo szkockie może doprowadzić do wzrostu antyangielskich nastrojów wśród Szkotów. Antyangielskich – a zatem wymierzonych de facto w unię Szkocji z Anglią i resztą Zjednoczonego Królestwa. O takie nastroje nietrudno, bo w Szkocji na polu uczuć narodowych wszystko może stać się iskrą rzuconą na beczkę prochu.

Za secesją i utworzeniem odrębnego państwa jest obecnie aż 56 proc. mieszkańców Szkocji, znacznie więcej niż w referendum niepodległościowym z 2014 r., gdy suwerenność poparło tylko 44,7 proc. głosujących. To nie znaczy, że dzisiaj wynik referendum byłby inny. Oddanie głosu w głosowaniu o fundamentalnych przecież konsekwencjach ma inną wagę niż niewiążąca deklaracja na użytek sondażu. Przed referendum wyniki badań opinii też przecież dawały separatystom nadzieję na zwycięstwo. Obecny trend nie musi być trwały; zbyt wiele jest zresztą niewiadomych, by można było trafnie przewidywać rozwój wydarzeń.

Rząd premiera Rishiego Sunaka zablokował szkocką ustawę, uznawszy, że jest sprzeczna z Equality Act, czyli ogólnokrajową ustawą o równości, i gdyby weszła w życie, kobiety w Szkocji nie miałyby zapewnionej takiej ochrony, jaka jest udziałem mieszkanek innych brytyjskich regionów. Wszędzie zaś powinny obowiązywać takie same zasady. Tego rodzaju uzasadnienie na Szkotów jednak może działać jak płachta na byka. Jest w nim w dodatku pewna doza niekonsekwencji, bo Szkocja w bardzo wielu dziedzinach ma własne rozwiązania i odrębne instytucje – system prawny odmienny od angielskiego, odrębny bank centralny, własny Kościół, własne szkolnictwo, by poprzestać na najważniejszych,

WERBALNA NAMIASTKA TĘCZY

„Prawa trans już teraz", „On jest dzieckiem trans", „Kocham moje transseksualne wnuki" – takie hasła widniały na transparentach podczas demonstracji, które w ostatnich tygodniach organizowano w Szkocji w obronie ustawy. Te mało wymyślne deklaracje sprowadzały się do prostego przypomnienia, że „my, ludzie trans, istniejemy". Uwagę zwracało więc raczej co innego. Po pierwsze, każda litera w innym kolorze, jak gdyby chciano wizualnie dać wyraz tak przecież pożądanej, ba!, obowiązkowej dziś różnorodności – słowem, werbalna odmiana tęczy. Po drugie, uczestnicy – w ogromnej większości ludzie młodzi. I nic dziwnego: przyjęcie 16 lat jako wieku, od którego dozwolone jest przeprowadzanie zmiany płci, jest rozwiązaniem adresowanym właśnie do ludzi młodych.

Gender Recognition Reform Bill, czyli ustawa zmieniająca zasady uznawania czy rozpoznawania płci, nie jest, jak można by sądzić, ustawą o zmianie płci. Skądże znowu! O zmianie płci mogą mówić tylko zagorzali konserwatyści, niewiele pojmujący ze świata postępu i ludzkich praw. Płci bowiem nie można zmienić. Można jedynie odkryć, jaka naprawdę jest, a oczywiście nie musi być taka, jaką przypisano człowiekowi w chwili jego narodzin na podstawie nieistotnych

eprasa.pl 88d2eb15d9

cech zewnętrznych. Płeć to świadomość i wewnętrzne poczucie. Zna ją tylko sam zainteresowany. Skoro tak, to ma prawo wystąpić o dokumenty, w których owo poczucie znajdzie widomy wyraz.

Szkocka ustawa przewiduje więc możliwość przeprowadzenia formalnej zmiany płci – pozostańmy przy tym „transfobicznym", rzecz jasna, określeniu – wyłącznie na podstawie samoidentyfikacji, subiektywnego przekonania, że jest się tym, kim się czuje, że się jest. Otrzymanie dokumentów na nową tożsamość w takiej sytuacji nie wymaga poddania się żadnym zabiegom faktycznej zmiany płci – ani terapii hormonalnej, ani operacji chirurgicznej. Szkocja nie jest na tym polu prekursorem, bo tego rodzaju rozwiązania wprowadzono już w kilkunastu krajach, m.in. w Kanadzie i Nowej Zelandii, ostatnio zaś w Hiszpanii. Co jednak szczególnie zwraca uwagę, to nacisk, z jakim inicjatorzy i zwolennicy ustawy – rządząca Szkocka Partia Narodowa i Zieloni, jej partner w koalicji, plus szkoccy labourzyści – dowodzą, że proces zmiany płci należy maksymalnie ułatwić.

TRZY MIESIĄCE W NOWEJ SKÓRZE

Stąd przewidywane radykalne uproszczenie procedur i skrócenie czasu oczekiwania. Gdyby ustawa weszła w życie, szkoccy transseksualiści nie potrzebowaliby już badań medycznych ani zaświadczenia o istnieniu tzw. dysforii płciowej, czyli rozbieżności między płcią zewnętrzną a odczuwaną. Musieliby jedynie udowodnić, że już od pewnego czasu żyją po nowemu, w swej „prawdziwej" skórze. Ten czas jednak też znacząco by się skrócił, z obecnych dwóch lat do zaledwie trzech miesięcy. Tylko w wypadku osób najmłodszych, w wieku od 16 do 18 lat, czas obowiązkowej próby zostałby wydłużony do pół roku.

Choć każdy punkt tak pomyślanych rozwiązań musi budzić wątpliwości, to w Wielkiej Brytanii największe poruszenie wywołało obniżenie wieku. Skrytykował je nawet lider Partii Pracy, Keir Starmer, choć jego ugrupowanie patrzy na szkocką ustawę życzliwiej niż rządzący konserwatyści. Nawet w PK jednak pojawiają się przychylne jej głosy. Minister oświaty Gillian Keegan nie widzi niczego złego w umożliwieniu zmiany płci już 16-latkom, bo, jej zdaniem, młody człowiek w tym wieku ma już prawo sam o sobie decydować. Jeszcze dalej posunęła się ekspremier Theresa May, wyrażając żal, że w Anglii takiej ustawy nie ma. Są to jednak opinie odosobnione.

Konstytucyjne wątpliwości są innego rodzaju. Rząd Rishiego Sunaka, decydując się na zablokowanie ustawy trans, sięgnął po art. 35 uchwalonej w 1998 r. ustawy o dewolucji, na mocy której Szkocja uzyskała własny parlament, rząd i szeroką autonomię w wielu dziedzinach. Artykuł ten zezwala rządowi w Londynie na zastosowanie weta, jeżeli szkockie przepisy znacząco odbiegają od rozwiązań ogólnokrajowych. Wejście w życie ustawy szkockiej – jak mówił w Izbie Gmin Alister Jack, minister ds. Szkocji – sprawiłoby, że w Wielkiej Brytanii istniałyby równolegle „dwa odmienne systemy dokonywania zmiany płci". To zaś „mogłoby powodować znaczące komplikacje", w tym „wykorzystywanie przepisów do działań nielegalnych lub podejmowanych w złej wierze".

Co kryje się za tymi dość enigmatycznie brzmiącymi uwagami? Chodzi m.in. – wyjaśniał minister – o zapewnienie kobietom należytej ochrony i bezpieczeństwa w miejscach, które są przeznaczone tylko dla nich. Ta kwestia podnoszona jest zresztą nie od dzisiaj i nie tylko w Wielkiej Brytanii. Czy bowiem należy zezwalać mężczyznom, którzy posiadają certyfikat zmiany płci na kobiecą, na wejście do damskich toalet czy szatni? Albo umieszczać mężczyzn na oddziałach kobiecych w więzieniach? W Wielkiej Brytanii dobiega właśnie końca kuriozalny wręcz proces pewnego mężczyzny, podejrzanego o dokonanie dwóch gwałtów. Kuriozalny – bo zanim człowiek ten został ujęty, zdążył zmienić płeć i przed sądem odpowiada już jako kobieta...

PRECEDENS NIE BEZ PIKANTERII

Nigdy do tej pory rząd brytyjski nie zastosował art. 35, mamy więc do czynienia z precedensem. I jest to, jak utrzymuje szkocka premier Nicola Sturgeon, precedens wysoce niebezpieczny, bo za pierwszym przypadkiem bez wątpienia pójdą następne. Tego rodzaju argument – niezależnie od tego, czy jest celny – na pewno trafi do przekonania nie tylko nacjonalistom, lecz także zwykłym, generalnie bardzo niechętnym Anglii Szkotom. Jeżeli w referendum niepodległościowym większość z nich odrzuciła możliwość dokonania secesji, to raczej z uwagi na bilans zysków i strat niż przez sympatie i sentymenty.

Obserwowany ostatnio, wspomniany na wstępie wzrost nastrojów separatystycznych w Szkocji jest nieprzypadkowy. Wielu Szkotów jest rozczarowanych decyzją Sądu Najwyższego, który dwa miesiące temu odrzucił wniosek władz w Edynburgu o możliwość ponownego przeprowadzenia referendum. Wyznaczenie referendum nie leży w gestii Szkocji, bo uzgodnienia sprzed lat oddają decyzję w tej sprawie w ręce Izby Gmin. Ponieważ w ostatnich latach kolejne rządy brytyjskie kategorycznie odrzucały starania Szkocji, pani Sturgeon postanowiła zaryzykować i zwrócić się do Sądu Najwyższego – bez upragnionego rezultatu, jak się okazało. Władze szkockie zapewne nie dążyłyby tak usilnie do nowego głosowania, gdyby nie brexit, który stworzył kolejne pole konfliktu między Anglią a zawsze bardzo proeuropejską Szkocją.

Rząd w Londynie może wetować szkockie prawo odbiegające od ogólnokrajowych rozwiązań

Ten manewr rząd szkocki zamierza teraz powtórzyć w sprawie ustawy. Skierowanie jej do Sądu Najwyższego to zresztą jedyne, co może zrobić, poza jej wycofaniem czy gruntownym przebudowaniem. Z jakim skutkiem, trudno przewidzieć. Nie chodzi, wbrew pozorom, tylko o sprawy trans i szeroko pojmowane kwestie genderowe, lecz także – a może nawet przede wszystkim – o rozstrzygnięcie, co pozostaje w gestii władz w Londynie, a co w rękach Szkotów. Wygłoszone przez panią Sturgeon stwierdzenie, że „transseksualiści stali się bronią polityczną w rękach Londynu", jest może przesadne, ale też w tym kontekście nie pozbawione pewnej pikanterii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 88d2eb15d9

Geotermia szansą

Z dr hab. inż. Beatą Kępińską, prezes Polskiego Stowarzyszenia Geotermicznego, profesor Polskiej Akademii Nauk
rozmawia Tomasz Cukiernik

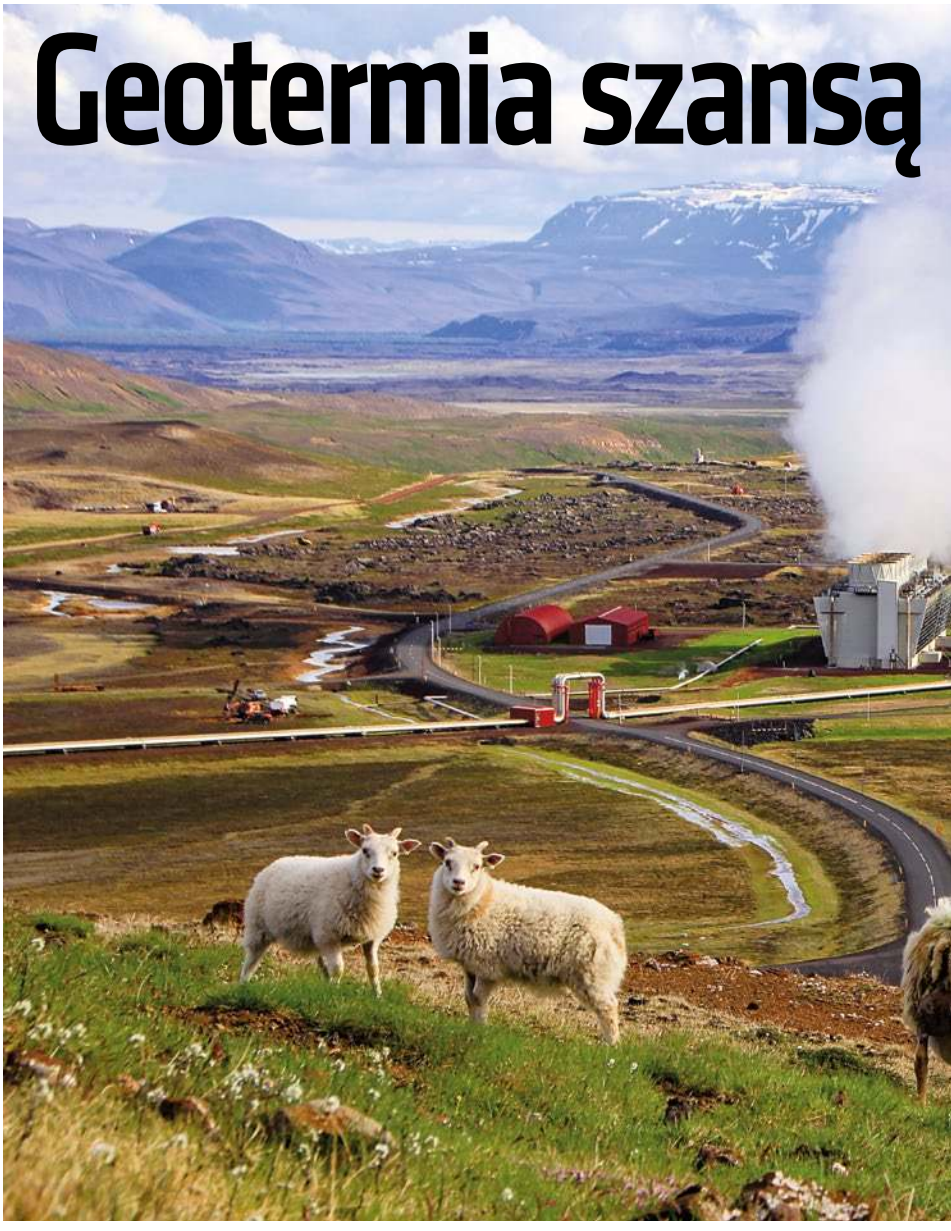

TOMASZ CUKIERNIK: Niedawno została otwarta w Polsce ambasada Islandii. Przy tej okazji mówiono, że Polska mogłaby skorzystać z islandzkich doświadczeń w zakresie geotermii.

DR HAB. INŻ. BEATA KĘPIŃSKA: Polska rozpoczęła współpracę z Islandią w obszarze geotermii już 30 lat temu – były to szkolenia specjalistów w zakresie badań i wykorzystania energii geotermalnej w ramach studiów podyplomowych Uniwersytetu ONZ (UNU Geothermal Training Programme) w Rejkiawiku. Pierwsi stypendyści z Polski byli na Islandii na tych półrocznych studiach w 1991 r., a do 2003 r. było to łącznie 14 osób. Studia te były w większości finansowane przez rząd Islandii przy udziale środków ONZ. W tym kraju w latach 2006–2011 w RES School w Akureyri ostatni rok studiów magisterskich z zakresu OZE (w tym geotermii) odbyła też grupa polskich studentów z kilku uczelni. Wielu absolwentów wymienionych szkoleń jest aktywnych zawodowo w Polsce w dziedzinie geotermii czy też innych źródeł odnawialnych i należy do wiodących specjalistów w tych branżach.

Na Islandii geotermię wykorzystuje się na bardzo szeroką skalę, m.in. do ogrzewania budynków. Stosuje się do tego celu nie tylko pary geotermalne, lecz także wody, które mają temperatury poniżej 100 st. C, nierzadko w zakresie 70–80 st. C (podobnie jak stwierdzane u nas). Jest to jeden z czynników, że z doświadczeń Islandii w ciepłownictwie geotermalnym i w innych tzw. bezpośrednich zastosowaniach można korzystać w Polsce. Począwszy od 2016 r., zrealizowano już i także obecnie jest w trakcie realizacji kilka projektów „geotermalnych" z udziałem zespołów z obu krajów w ramach mechanizmu finansowego Europejskiego Obszaru Gospodarczego. Koncentrują się one na ciepłownictwie, efektywnym wykorzystywaniu tego ekologicznego źródła i na szkoleniach z tego zakresu. Mamy nadzieję, że dzięki m.in. aktywności ambasady Islandii w Polsce, przy udziale ambasady Polski na Islandii oraz z innymi podmiotami z obu krajów ta współpraca uzyska nowy impuls, rozwinie się na większą skalę, także z uwagi na wielorakie szczególne uwarunkowania energetyczne i gospodarcze, których od niemal roku doświadczamy.

Jak duże są zasoby geotermalne Polski?

Mamy potencjał, zasoby, które zostały oszacowane według specjalistycznej metodyki, opartej na standardach krajowych i międzynarodowych. Wykonał to m.in. zespół Katedry Surowców Energetycznych Wydziału Geologii, Geofizyki i Ochrony Środowiska Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Zasoby są oszacowane w różnych kategoriach (dostępne, statyczne, dyspozycyjne, eksploatacyjne).

Z praktycznego punktu widzenia, dla zainteresowanych podmiotów, w tym inwestorów, najważniejsze są zasoby eksploatacyjne. W skrócie można podać, że jest to ilość wody geotermalnej o określonej temperaturze, która jest możliwa do wydobycia w określonym czasie z konkretnego otworu wiertniczego (ujęcia). Jest to

eprasa.pl 88d2eb15d9

dla ciepłownictwa

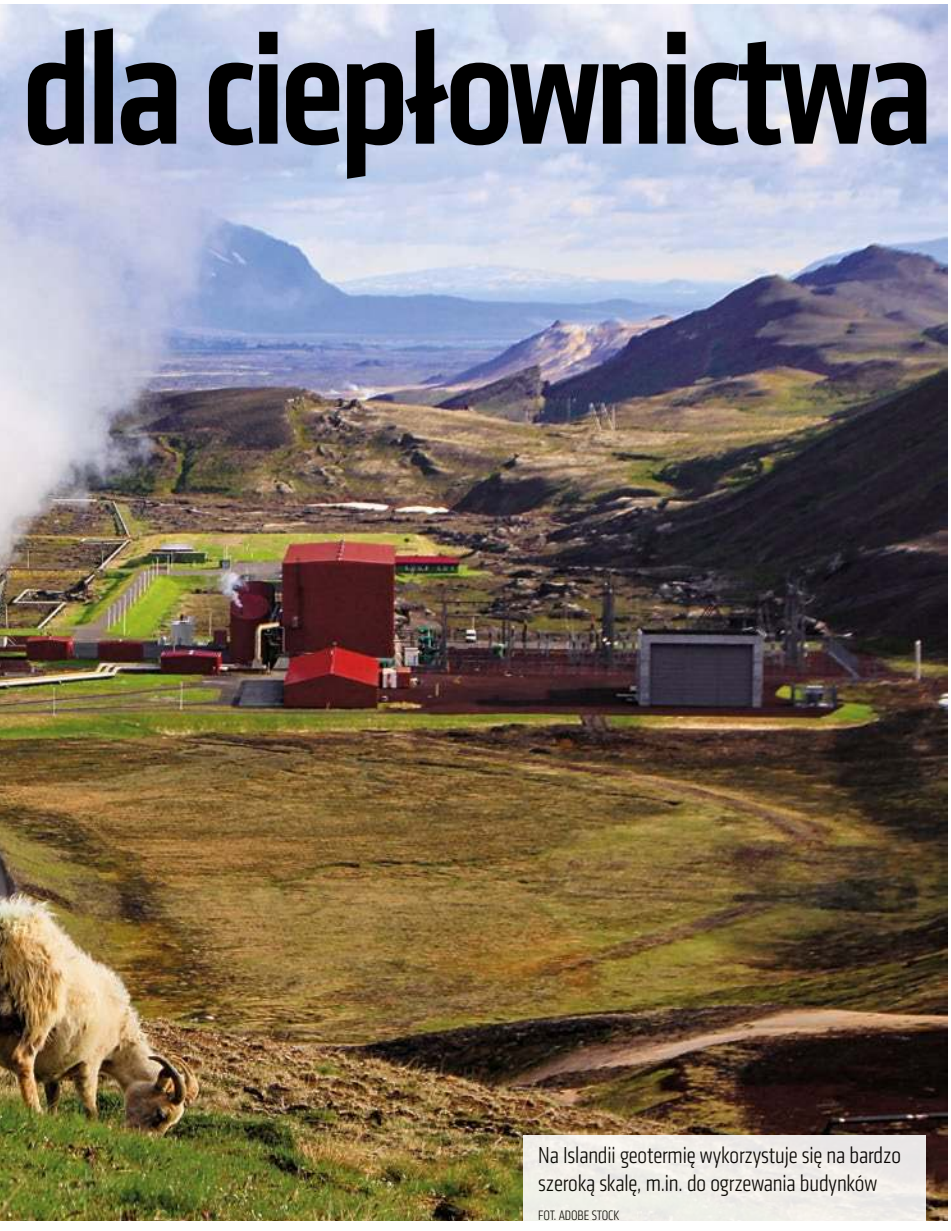

Na Islandii geotermię wykorzystuje się na bardzo szeroką skalę, m.in. do ogrzewania budynków

FOT. ADOBE STOCK

podawane zazwyczaj w m sześc./h lub l/s albo też w jednostkach energii, jaką można z tej wody uzyskać przy określonym schłodzeniu. Podstawowe wyniki wielu badań i analiza, informacje na temat zasobów geotermalnych w Polsce są zgromadzone m.in. w formie tzw. atlasów geotermalnych dla kilku regionów (które obejmują przeważający obszar kraju) wraz z propozycjami, które z tych regionów lub ich fragmenty i rejony są perspektywiczne dla zagospodarowania. Opracowania zainicjował i wykonywał wymieniony już zespół KSE z AGH, we współpracy z Państwowym Instytutem Geologicznym – Państwowym Instytutem Badawczym, Instytutem Gospodarki Surowcami Mineralnymi i Energią Polskiej Akademii Nauk, PGNiG SA, innymi jednostkami i specjalistami. Badania były finansowane ze środków publicznych, w tym Komitetu Badań Naukowych, Ministerstwa Środowiska, Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, Narodowego Centrum Badań i Rozwoju.

W porównaniu z niektórymi innymi krajami zasoby mamy podobne, dobre, odpowiednie dla wielu dziedzin ich zagospodarowania, w tym w ciepłownictwie. Najbardziej perspektywiczne są Niż Polski (ze zbiornikami wód geotermalnych głównie w piaskowcach dolnej kredy i dolnej jury) i Podhale (ze zbiornikami głównie w wapieniach i dolomitach triasu środkowego). Wiele natomiast zależy przy tym od odpowiedniej eksploatacji, sposobów i efektywności wykorzystania. Zbiorniki wód geotermalnych, które mogą być najbardziej efektywne do zagospodarowania (biorąc pod uwagę także aspekty ekonomiczne i technologiczne), położone są na głębokościach do ok. 3–4 km, przy temperaturach rzędu kilkudziesięciu stopni Celsjusza, w niektórych miejscach do ok. 100 st. C i nieco powyżej. Mineralizacja wód jest generalnie bardzo zmienna – są wody o jakości wód pitnych, a także solanki o mineralizacji kilkudziesięciu, a nawet powyżej 100 g/dm sześc. Trzeba to każdorazowo brać pod uwagę, podejmując decyzję o eksploatacji wód o określonej mineralizacji, a także aby stosować odpowiednie metody i środki ograniczające możliwe trudności, jeśli ich eksploatacja będzie się odbywać.

Mówi się również o odzysku ciepła z formacji (masywów) skalnych, które mają stosukowo wysokie temperatury (z racji głębokości ich zalegania), jednak zawierają mało wody, gdyż ich porowatość lub szczelinowatość są niskie. Nośnikiem ciepła z takich formacji na powierzchnię nie będzie zatem woda, a ciepło będzie możliwe do pozyskania z pomocą odpowiednich technologii, m.in. głębokich otworowych wymienników ciepła. Propozycje i projekty w tym zakresie były i są opracowywane także w Polsce, można się spodziewać projektu pilotażowego.

Rozwija się u nas systematycznie, podobnie jak w wielu innych krajach, również tzw. płytka geotermia, czyli pozyskanie ciepła z przypowierzchniowych partii górotworu i z płytkich poziomów wodonośnych za pomocą pomp ciepła (gruntowych czy też geotermalnych) – jednego z elementów szerszego sektora pomp ciepła. Między innymi geotermalne pompy ciepła są elementem systemu energetycznego zasilającego Centrum św. Jana Pawła II „Nie lękajcie się" w Krakowie-Łagiewnikach.

Jaki jest udział energii geotermalnej w polskim miksie energetycznym i jak się to zmienia?

Jest to do tej pory bardzo mały udział. Wskazują na to m.in. statystyki

eprasa.pl 88d2eb15d9

GUS – w grupie odnawialnych źródeł energii w Polsce w ubiegłym roku było to poniżej 1 proc. Jest natomiast odpowiedni potencjał geotermalny i wielorakie przesłanki, aby ten udział się zwiększał.

Co jest przyczyną takiego dotychczasowego stanu rzeczy, skoro jest to energia ekologiczna?

Projekty geotermalne mają odmienną strukturę kosztów w porównaniu z innymi źródłami ciepła. Nakłady inwestycyjne, zwłaszcza w fazie wiercenia otworów, są wysokie. Natomiast w fazie operacyjnej koszty są umiarkowane. Po uruchomieniu ciepłowni geotermalnej, po wykonaniu otworów, woda geotermalna, z której się odzyskuje ciepło, jest tańszym nośnikiem w porównaniu z węglem, gazem, olejem opałowym, innymi paliwami, które trzeba cały czas kupować. Trudno było o szerszy rozwój ciepłownictwa geotermalnego (pomimo sporego zainteresowania) w sytuacji, kiedy nie było wystarczającego wsparcia z programów publicznych, a rozwój ten miałby spoczywać głównie na samorządach (odpowiadających m.in. za lokalne zaopatrzenie w ciepło). Jeśli natomiast są dostępne odpowiednie wsparcie finansowe czy też sposoby ograniczenia ryzyka, to sprzyjają one rozwojowi.

W Polsce zaczęło się tak dziać od roku 2015/2016 – są wieloletnie duże programy wsparcia finansowego (Geotermia +, inne) w formie dotacji i pożyczek. Z tych źródeł wykonano już kilkanaście otworów geotermalnych, w trakcie realizacji jest kilka projektów, które zmierzają do podłączenia ciepła z wód geotermalnych ujętych w tych nowych otworach do istniejących miejskich sieci grzewczych. Te i inne informacje są dostępne w środkach społecznego przekazu.

Z inicjatywy Ministerstwa Klimatu i Środowiska został opracowany i ogłoszony w 2022 r. „Wieloletni program rozwoju wykorzystania zasobów geotermalnych w Polsce" – mapa drogowa w tym zakresie do 2040 r., z perspektywą do 2050 r. Dokument ten obejmuje podstawowe kierunki rozwoju wykorzystania ciepła Ziemi w Polsce w perspektywie podanych lat oraz niezbędne działania towarzyszące. Wzrastają także w środowiskach specjalistów, osób decyzyjnych, a także w kręgach społecznych i odbiorców energii zrozumienie i akceptacja dla konieczności wykorzystywania lokalnych źródeł, także geotermii. Dzieje się tak również z uwagi na obecne okoliczności.

Na Islandii odwierty nie są takie głębokie...

Tak, gdyż jest to kraj o odmiennych warunkach geotermalnych i geologicznych. Mówiąc natomiast o współpracy i wymianie doświadczeń w zakresie ciepłownictwa geotermalnego, trzeba zwrócić uwagę na aspekty, które mogą być pomocne dla nas, w tym m.in. na temperatury wód geotermalnych, które są zbliżone, i na technologie, które bywają bardziej efektywne, wpływają na większą niż w Polsce efektywność odbioru i zagospodarowania ciepła przez konsumentów, mogą też mieć pozytywny wpływ na ekonomikę przedsięwzięć geotermalnych w Polsce. Otwory geotermalne w Europie o podobnych jak w Polsce głębokościach są w m.in. we Francji, w Holandii, w Niemczech. We Francji m.in. rejon Paryża jest w znacznej mierze ogrzewany ciepłem geotermalnym – jest tam kilkanaście geotermalnych systemów c.o. (w całej Francji w 2021 r. było ich ok. 80 – o różnej mocy i rocznej produkcji ciepła, w realizacji są następne), także w Niemczech działa ich już ponad 30.

Są to informacje podane według raportu na temat stanu rynku geotermalnego w Europie w 2021 r., wydanego przez Europejską Radę Energii Geotermalnej. Rada ta opracowuje takie raporty rokrocznie. Z raportu za 2021 r. i z kilku poprzednich wynika, że energetyka geotermalna rozwija się znacząco w niektórych krajach europejskich. Wracając jeszcze do Niemiec – Monachium realizuje plan zakładający, że do 2030 r. ciepło będzie dostarczane mieszkańcom niemal w całości ze źródeł odnawialnych. Ma być to m.in. ciepło geotermalne pozyskiwane z wód ujętych w otworach o zbliżonej głębokości do tych w Polsce, 2–4 km.

W Holandii obserwuje się w ostatniej dekadzie rozwój wykorzystania geotermii w rolnictwie szklarniowym i pod osłonami – w 2021 r. było to blisko 30 instalacji. Zastosowania geotermii w rolnictwie, biotechnologiach i innych branżach to perspektywiczny sektor także w Polsce.

Geotermia pozbawiona jest wad farm wiatrowych i instalacji fotowoltaicznych, które uzależnione są od pogody, pory dnia i roku, co powoduje, że nie mogą być fundamentem systemu energetycznego. Jaką jeszcze inną przewagę ma geotermia?

Ponieważ jest to energia, która jest pozyskiwana wraz z wodą podziemną, jej dostępność nie ma ograniczeń takich jak wymienione źródła. Jest stabilna, może służyć pokryciu tzw. bazowego zapotrzebowania na ciepło. Warto ją wykorzystywać w jak najszerszym zakresie temperatur i dziedzin. Także sama woda geotermalna jest podstawą wielu zastosowań, np. w rekreacji, która w Polsce, od kiedy zainicjowano projekty geotermalne, zaczęła się z czasem rozwijać – obecnie w Polsce działa kilkanaście centrów rekreacyjnych stosujących wody i ciepło geotermalne – zarówno w centralnej Polsce, jak i na Podhalu. Trzeba także zaznaczyć, że mamy w kraju kilka uzdrowisk, w których podstawą działalności są wody geotermalne (termalne) o właściwościach leczniczych.

Ponadto z wód geotermalnych można niekiedy odzyskiwać substancje chemiczne. Już od wielu lat pozyskuje się w ten sposób np. sól iwonicką czy ciechocińską. W Polsce odczuwa się deficyt wody do różnych celów. W Instytucie Gospodarki Surowcami Mineralnymi i Energią PAN, w którym jestem zatrudniona, działa zespół, który zajmuje się opracowaniem i wdrożeniem nowoczesnych technologii odsalania czy też modyfikacji składu chemicznego wód geotermalnych z różnych obszarów Polski (zwłaszcza schłodzonych po ich energetycznym wykorzystaniu), testuje ich przydatność i efekty zastosowania w rolnictwie (m.in. w uprawach szklarniowych), a także m.in. jako wód pitnych czy mineralnych. To jest jedna z innowacyjnych dziedzin, która się otwiera. Możemy przy tym posługiwać się przykładami i doświadczeniami z wielu krajów. Przykładami, które są odpowiednie dla naszych warunków geotermalnych, klimatycznych, rolniczych, rynkowych itp.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr hab. inż. Beata Kępińska *– prezes Polskiego Stowarzyszenia Geotermicznego, profesor Instytutu Gospodarki Surowcami Mineralnymi i Energią Polskiej Akademii Nauk.*

eprasa.pl 88d2eb15d9

FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

O POLSKIM ROZBIORZE UKRAINY

Maria Zacharowa, rzeczniczka rosyjskiego MSZ, napisała na Telegramie, że „polscy politycy oficjalnie potwierdzili, że na początku specjalnej operacji wojskowej myśleli o podziale Ukrainy". Doprecyzowała, że powiedział o tym sam były minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski. Niestety, tym razem Rosjanie nie kłamią. Sikorski naprawdę coś takiego zasugerował w rozmowie z Radiem Zet.

KOŚCIÓŁ KOCHA LGBT?

Kościół anglikański oficjalnie przeprosił osoby LGBT+. W liście otwartym napisanym przez biskupów (jest częścią raportu, który zostanie niebawem przedstawiony Synodowi Generalnemu w Londynie) można przeczytać: „Nie kochaliśmy Was tak, jak kocha Was Bóg, a to jest głęboko złe". Biskupi przeprosili tych, którzy spotkali się w Kościele z „homofobiczną reakcją". Kościół anglikański nadal jednak uważa, że małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny, choć biskupi twierdzą, że kapłani mogą błogosławić związki jednopłciowe.

SPÓR O BRODY ŻOŁNIERZY

Generał Walerij Gierasimow po objęciu dowództwa nad rosyjską armią, która napadła na Ukrainę, rozkazał żołnierzom m.in. ogolenie bród. Natychmiast rozgorzał publiczny spór między dawnymi generałami, którzy utrzymują, że golenie zarostu nawet w okopach jest rzeczą istotną, a właścicielem prywatnej grupy najemników, Grupy Wagnera – Jewgienijem Prigożynem. Ten ostatni zwolenników golenia się nazwał „grupą klaunów". Głos zabrał też Ramzan Kadyrow, domagając się przywileju niegolenia dla swoich muzułmańskich bojówkarzy.

NADZIANY NA MIECZ ARCHANIOŁA

Złodziej wtargnął do kościoła pw. Chrystusa Króla w Monterrey w Meksyku. Kiedy wynosił skradzioną figurę św. Michała Archanioła, potknął się w ciemnościach i nadział na miecz, który trzymał w dłoni posągowy archanioł. Rannego mężczyznę znaleźli przechodnie.

ŚWINIA POKONAŁA RZEŹNIKA

W rzeźni Sheung Shui w Hongkongu zwykle życie kończą zwierzęta. Tym razem było na odwrót. Ogłuszona świnia się ocknęła i zaatakowała 61-letniego rzeźnika. Ten podczas szamotaniny ze zwierzakiem został raniony tasakiem do mięsa. Jego życia nie udało się uratować. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Elektryczna pomyłka?

Samochody elektryczne mają coraz bardziej pod górkę. Mimo starań polityków z Brukseli i innych stolic, którzy próbują zmusić mieszkańców do korzystania z czegoś, co teoretycznie jest lepsze, bardziej ekologiczne i tańsze, co i rusz na światło dzienne wychodzą fakty, które niekoniecznie wspierają tezy piewców elektrycznej rewolucji.

Chociaż sam uwielbiam cichą jazdę i przyspieszenie „elektryków", to najważniejszym argumentem do zakupu auta, które wciąż jest sporo droższe od spalinowych odpowiedników, byłby istotnie niższy koszt użytkowania. Przez jakiś czas rzeczywiście tak było. Coraz więcej analityków z różnych krajów, w tym nawet z USA, ostrzega jednak, że w czasach kryzysu energetycznego koszty korzystania z samochodów elektrycznych raptownie rosną i praktycznie zrównują się już z kosztami tankowania spalinówki.

Nasi zachodni sąsiedzi, którzy tak ochoczo z diesli przerzucali się na auta na prąd, stanęli nagle przed nie lada problemem. Cytowany przez „Frankfurter Sonntagszeitung"szef niemieckiej Federalnej Agencji ds. Sieci oficjalnie mówi w mediach, że boi się, iż rosnąca liczba pomp ciepła i stacji ładowania samochodów doprowadzi do przeciążeń sieci i lokalnych przerw w dostawach prądu. Niemcy szykują już więc „racjonowanie energii", które ma rozpocząć się od 1 stycznia 2024 r. Nie ma ono polegać na całkowitym odcięciu właścicieli elektryków od energii. W okresach wysokiego obciążenia sieci posiadacze tego typu aut będą mogli jednak na prywatnych stacjach ładowania naładować baterie tylko do takiego stanu, który pozwoli przejechać 50 km. Ja z wymianą samochodu poczekam więc na... wodór. ©℗

eprasa.pl 88d2eb15d9

NASZ TEST: HUAWEI FREEBUDS 5I

Świetny stosunek ceny do jakości, długi czas pracy na jednym ładowaniu, niska waga, dobry system redukcji hałasu ANC, odporność na zachlapanie (IP54), stabilne połączenie z dwoma urządzeniami jednocześnie oraz przyzwoite brzmienie – to największe zalety nowego modelu budżetowych słuchawek chińskiego producenta.

Minimalistyczne wzornictwo słuchawek powinno trafić w gust każdego użytkownika. Są smukłe, lekkie (każda waży ok. 5 g), filigranowe (ich wymiary to 30,9 mm x 21,7 mm x 23,9 mm) i – co najważniejsze – dobrze trzymają się uszu. Wykonane z tworzywa sztucznego niewielkie etui ładujące (ważące ok. 34 g) przypomina spłaszczone jajo. Słuchawki i etui dostępne są w trzech wersjach kolorystycznych: białej, czarnej i niebieskiej, z czego dwie ostatnie zostały zaprojektowane tak, aby przypominały strukturę kamienia. Wygląda to dość oryginalnie i może się podobać. Wszystko dobrze wykonane i spasowane.

Huawei FreeBuds 5i współpracują z każdym systemem operacyjnym (Android, iOS oraz HMS). Łączenie poprzez Bluetooth przebiega szybko i sprawnie. Bardzo dobrze sprawuje się również funkcja jednoczesnego sparowania z dwoma urządzeniami (tzw. multipoint). Sterowanie głośnością (za pomocą przeciągania palcem po słuchawce) działa bardzo dobrze. Sprawdza się też system aktywnej redukcji hałasu ANC (do 42 dB).

Nowe słuchawki w swojej kategorii cenowej wyróżnia certyfikat jakości dźwięku Hi-Res, co można docenić zwłaszcza przy streamingu utworów w wysokiej jakości. Słuchawki brzmią przyjemnie, choć to oczywiście ocena subiektywna. Dźwięk jest czysty, donośny, pełny detali i całkiem nieźle zbalansowany. Do słuchania muzyki pop, jazzu czy nawet do muzyki klasycznej testowany model nadaje się nieźle prosto po wyjęciu z pudełka. Miłośnicy rocka za pomocą prymitywnego korektora dźwięku w dedykowanej aplikacji mogą również dodać nieco basów i też powinni być zadowoleni. Bardzo dobra jest jakość dźwięku podczas rozmów telefonicznych.

Plusem testowanego modelu jest również długi czas pracy na jednym ładowaniu baterii o pojemności 410 mAh, a także możliwość szybkiego uzupełnienia energii (proces ładowania zajmuje maksymalnie dwie godziny). W praktyce z włączonym ANC słuchawki wytrzymują ok. 6 godzin grania (po podładowaniu ich w przenośnym etui czas ten wydłuża się do mniej więcej 18 godzin). Zaletą jest też odporność testowanych słuchawek na zachlapania i lekki deszcz (IP54).

Wady? Użytkowników androidów może nieco zirytować to, że aplikacji przeznaczonej do obsługi słuchawek nie da się pobrać bezpośrednio z Google Play – najpierw trzeba ściągnąć App Gallery i dopiero potem pobrać właściwą aplikację. Po drugie, szkoda, że korektor dźwięku jest – napiszmy oględnie – mało zaawansowany. Po trzecie wreszcie, etui ładujące wydało mi się nieco śliskie, co może przeszkadzać podczas wyjmowania/chowania słuchawek np. podczas treningu na zewnątrz. Brakuje też nieco możliwości ładowania indukcyjnego.

Mimo tych drobiazgów FreeBuds 5i w kategorii słuchawek do 400 zł pozytywnie się wyróżniają, a stosunek ceny do jakości jest w przypadku tego modelu bardzo dobry. Cena: 399 zł. ©℗ ***Jacek Przybylski***

HOMEPOD DRUGIEJ GENERACJI

Apple zaprezentowało nowego HomePoda. To inteligentny głośnik, który – według zapewnień amerykańskiego producenta – nie tylko dostarcza „niespotykanych wrażeń akustycznych", lecz także jest uzbrojony w funkcje ułatwiające korzystanie z inteligentnego domu. Chodzi m.in. o otrzymywanie powiadomień o wykryciu dymu lub czadu w domu, a także o sprawdzanie temperatury i wilgotności w pomieszczeniach. Jest też oczywiście możliwość korzystania z Siri, której można po angielsku kazać wyszukać konkretne utwory, opowiedzieć coś więcej o artystach lub wybrać muzykę dopasowaną do nastroju lub aktywności. Drogi gadżet jest oficjalnie niedostępny w Polsce, ponieważ „geniusze" z Apple nie wpadli jeszcze na to, jak nauczyć Siri języka polskiego. W USA cena urządzenia zaczyna się od 299 dol. (równowartość 1,3 tys. zł).

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ASYSTENT W OKULARACH

RayNeo X2 to najnowszy model okularów do rozszerzonej rzeczywiści (AR) firmy TCL. Dzięki wbudowanym półprzezroczystym kolorowym wyświetlaczom MicroLED oraz energooszczędnemu procesorowi Snapdragon XR2 z 6 GM pamięci RAM i 128 GB pamięci na dane mogą dyskretnie wskazywać drogę czy informować o nowych wiadomościach. Wskazówki nawigacji GPS, treść SMS-ów i e-maili, a także powiadomienia dotyczące połączeń są wyświetlane przed oczami użytkownika. Stosunkowo lekkie, choć masywnie wyglądające okulary mają również wbudowane m.in. żyroskop, akcelerometr, kompas oraz kamerę jakości 1080p. Sterowanie urządzeniem odbywa się za pomocą panelu dotykowego, który umieszczony został na jednym z zauszników. Premiera przewidywana jest najwcześniej na przyszły rok. ©℗ ***Jacek Przybylski***

eprasa.pl 88d2eb15d9

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Biblioteka Załuskich

JACEK KOMUDA

Pierwszą publiczną biblioteką w Rzeczypospolitej, dostępną dla wszystkich, była otwarta oficjalnie 8 sierpnia 1747 r. biblioteka braci Załuskich w pałacu Daniłowiczowskim; obecnie to Dom pod Królami w Warszawie, przy ul. Hipotecznej.

Nie była to pierwsza taka instytucja w Europie, tutaj pierwszeństwo przyznać należy Bibliotece Malatestiana w Cesenie we Włoszech, założonej w 1447 r. Instytucja Załuskich była pierwszą, która powstała w wyniku akcji społecznej. Bracia podjęli się bowiem dzieła niezwykłego – zgromadzenia całości piśmiennictwa polskiego od czasów najdawniejszych do współczesnych w jednym miejscu. Ogłosili publiczny apel do wydawców i autorów oraz ogólnie – społeczeństwa – o nadsyłanie swoich prac – pierwszy w 1732 r. w broszurze „Programma litterarium". W zamian zobowiązywali się publikować co roku bibliografię wydawanych w Polsce dzieł.

RYS. QBA

Miało to służyć tak jak dziś reklamowaniu czytelnictwa, biblioteki i książek. Jak pisał Józef Załuski: „O niewiadomą książkę nikt się nie spyta i prędzej jej egzemplarze mole stoczyć, niż drukarze i autorowie spieniężyć potrafią". Bracia apelowali o finansowanie przedruków rzadkich dzieł, osobne zaś prośby adresowali do poetów o przesyłanie utworów: „Kto co ma świecznika, a nie korca i strychulca godnego", które miały znaleźć się w jednej z pierwszych antologii wydanych drukiem – „Zebranie rytmów". W obszernej korespondencji z bibliotekami klasztornymi fundatorzy apelowali o nadsyłanie niepotrzebnych lub

FOT. DOMENA PUBLICZNA

nieczytelnych książek, wysyłali też ankiety z prośbą o katalogowanie zbiorów innych bibliotek. I to wszystko 250 lat temu, kiedy prasa drukarska, sejmik, targ i karczma zastępowały dzisiejsze media i serwisy społecznościowe. Załuscy odbywali częste podróże, odwiedzając lokalne biblioteki i wyszukując rzadkie wolumeny pozostające w rękach prywatnych, które pozyskiwali, kupowali lub kopiowali. Była to swoista pogoń za książkami. Powołali stałych korespondentów, można by rzec pierwowzór agentów literackich i handlowych. Informowali oni o książkach, które były przygotowywane do druku lub które były nawet w trakcie pisania u autorów, zbierali także informacje o stanie i zawartości innych bibliotek, kupowali i przesyłali rzadkie dzieła.

Co gromadzono? Jak pisał bibliotekarz Onufry Kopczyński, biblioteka „powinna by mieć wszystkie, a wszystkie książki, gdyż tylko przyszłość może ocenić przydatność druków i rękopisów". Były tam druki o małych formatach, a nawet ulotki i pisma ulotne, zbiory numizmatyczne i drzeworyty, co sprawiało, że instytucja stała się nowoczesnym zakładem naukowym i muzeum w jednym.

Jak funkcjonowała biblioteka? Jak podaje Jan Kozłowski w „Szkicach o dziejach biblioteki Załuskich", otwarta była dwa dni w tygodniu – we wtorki i czwartki od godz. 8 do 12, a po południu od godz. 15 do 19. Podobnie jak dzisiejsze biblioteki miała też kłopoty ze zwrotem wypożyczonych na zewnątrz dzieł. Do 1761 r. czytelnicy nie zwrócili ponoć 3 tys. wypożyczonych książek! Czy te nigdy niezwrócone dziś znajdują się w innych zbiorach?

Pracą kierował prefekt zwany też „bibliotekariuszem" z pomocą dwóch adiunktów, nazwy te jednak nie były sprecyzowane i zmieniały się; czasami kierownika określano mianem superiora czy prefekta. Obowiązywał też regulamin korzystania z czytelni. Sala biblioteczna miała galerię, złocone zwierciadło i liczne okna, a po śmierci Załuskich znalazły się tam ich posągi. Głównym elementem ozdobnym były najpiękniej oprawione księgi, złożone w osobnych szafach, pozostałe książki przechowywane były w szafach z kratkami, a bibliotekarze korzystali z drabin, aby dostać się do położonych wyżej półek. Na środku sali stał ogromny, ośmioboczny stół z 30 szufladami, w których trzymano książki w rzadkich językach – hebrajskim, perskim, arabskim. Czytelnikom nie wolno było używać atramentu i pióra, na miejscu był papier i ołówki do sporządzania notatek.

Biblioteka Załuskich podzieliła los innych księgozbiorów, zrabowanych przez Moskali. W 1794 r., po upadku powstania kościuszkowskiego, zbiory zostały złupione przez orków i przewiezione do Petersburga, gdzie po dołączeniu do księgozbiorów Woltera i Diderota stały się podstawą do utworzenia Carskiej Biblioteki Publicznej. Zwrócone częściowo na mocy traktatu ryskiego po 1921 r. zostały celowo spalone przez kolejny kulturalny naród Europy – Niemców – po upadku powstania warszawskiego, razem z Biblioteką Narodową. ©℗

eprasa.pl 88d2eb15d9

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Ale Meksyk!

W styczniu wybrałyśmy się w podróż do Meksyku. Pominiemy krajobrazy, ciepłe morze, cudowne białe plaże, zabytki i dostępny wszędzie Internet, który pozwalał na swobodne przemieszczanie się i bukowanie noclegów niemalże z godziny na godzinę. Skupimy się na kuchni. Na pierwszy ogień poszły tacos. Placuszki z mąki kukurydzianej wielkości dłoni z nadzieniem – może być to opiekana na rożnie wieprzowina, może być to ser, może być co innego. Kupuje się je bezpośrednio w małych fabryczkach, gdzie są wyrabiane na bieżąco, albo w każdym sklepie – zwłaszcza w warzywniakach, gdzie trzymane są w przenośnych pojemnikach utrzymujących temperaturę. Uzupełnione o guacamole i pomidorki są dobrą kolacją albo przekąską w ciągu dnia.

Jednak najwspanialsze danie, jakie jadłyśmy, to barrakuda faszerowana nadzieniem z krewetek w sosie mango spożyta w małej, skromnej knajpce z tanimi, plastikowymi krzesłami gdzieś w bocznej uliczce niewielkiej wysepki Holbox. Meksykanie nazywają wyspę Meksykańskimi Karaibami i słusznie. Niewielka przestrzeń, skromne zabudowania, niedrogie hostele dla młodych ludzi, piękna plaża, to, że wszędzie można dojść na piechotę, i specyficzny klimat totalnego luzu. Zjadłyśmy po półtora dania na głowę i – prawdę mówiąc – jeszcze nam było mało, kuchnia wyśmienita!

W Meridzie – mieście słynącym z pięknych wyrobów tekstylnych i najstarszej na kontynencie katedry – najbardziej smakowało nam… masło. Normalne masło, kupowane w sklepie miało po prostu cudowny, maślany smak i posmarowane nim cokolwiek smakowało wyjątkowo dobrze. Pocieszałyśmy się więc, łamiąc dietę, że służy to naszym oczom.

To, co w kuchni zawdzięczamy terenom, gdzie dziś leży Meksyk, to kukurydza, pomidory i awokado oraz czekolada. Zresztą ich nazwy pochodzą z języka nahuatl, którym powszechnie porozumiewano się m.in. na Jukatanie. I tak pomidor to xictomatl, awokado – ahuacatl, kukurydza – elotl, kakao – cacahuatl, czekolada zaś to xocolati. À propos czekolady – czytałyśmy kiedyś, że wojownicy z tych terenów przed walką otrzymywali gorącą czekoladę z chili. Ten napój dodawał energii i pobudzał, byli więc bardziej waleczni i silniejsi.

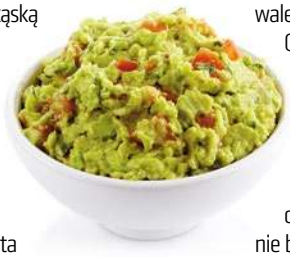

Gdy zwiedzałyśmy muzeum czekolady w Uxmal, oczywiście musiałyśmy spróbować gorącej, pikantnej czekolady. Mimo że nie była słodka – smakowała wyśmienicie i faktycznie dodawała energii.

W polskich warunkach najbardziej przydatnym daniem będzie według nas guacamole. Podajemy przepis najbardziej zbliżony do oryginalnego, który stosują także Meksykanie.

Przepis na guacamole

• 1 miękkie awokado • 1/2 pomidora • 1 papryczka jalapeño • mały pęczek kolendry • pół limonki • sól

Awokado rozgniatamy, pozostałe składniki drobno siekamy, doprawiamy solą.

Zjadamy z chlebem albo z tacos, albo z chipsami kukurydzianymi. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Kąsek z życia Tamary Ł.

Zarówno ona, jak i jej malarstwo zawsze wydawały mi się odpychające. Zimne, wykoncypowane, pozbawione ludzkiego odruchu. Byłam kiedyś na sztuce o Tamarze i d'Annunzio w Teatrze Dramatycznym; spektakl słynął z tego, że widzowie byli zapraszani na poczęstunek, co miało pokazywać luksusowo-salonowy tryb życia malarki.

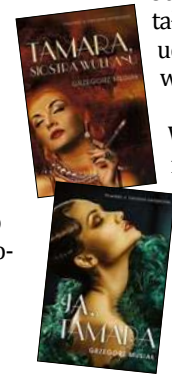

To wszystko działo się w czasach, kiedy Tamara Łempicka nie była jeszcze tak modna jak dziś. Teraz ma wystawy w Krakowie, Lublinie, w willi Fleur w Konstancinie. A życiorys tej pani jest na tyle bogaty, że starczy na parę utworów. Dwa lata temu przegapiłam powieść Krzysztofa Musiała „Ja, Tamara"; teraz, zachęcona entuzjazmem niezrównanego Krzysztofa Masłonia, pognałam do księgarni i od razu kupiłam oba tomy, dwie cegły, z dziełami bohaterki na okładce. Panu Bojańczykowi już okładka wydała się podejrzana, ja złapałam za lekturę.

Opierając się, jak sądzę, na dokładnie przestudiowanym życiorysie swojej bohaterki, pan Musiał buduje z niego powieść i wsadza do niej także całe otoczenie bohaterki. W pierwszym tomie mamy czas od początku jej życia (Łempicka urodziła się w roku 1898), Rosję, Paryż aż do wyjazdu do Ameryki. Drugi tom to Ameryka i ostatnie lata w meksykańskiej Cuernavace. Formuła opowiadania swego życia narratorowi całkiem sprytna, choć nie sądzę, żeby 80-letnia staruszka pamiętała, co wyszeptała do ucha księciu Jusupowowi w 1918 r. w Petersburgu.

Mniejsza z tym. W końcu od powieści nie oczekujemy wiarygodności (chociaż czemu nie). Najgorsze jest co innego. Toż to grafomania w czystej postaci! Te metafory, te popisy erudycyjne, epatowanie nazwiskami renesansu, oświecenia, baroku i współczesności w każdych okolicznościach, nawet w rozmowie z gosposią. Jakież to pretensjonalne! W pierwszym tomie wywołani są otaczający autorkę bohaterowie sceny artystycznej Paryża lat 20.: Breton, Picasso, Aragon, Hemingway... W drugim wczesny Hollywood, Greta Garbo itp. Jedni i drudzy zsyntetyzowani jak kukiełki: w usta każdego wkłada się słowa, które pozwalają rozpoznać go od razu… Jedzie fałszem na kilometr…

Otrzymujemy barwny fresk sześciu dekad XX w. Świetnie to napisane, bo pan Musiał pisać umie, i to jak. Tylko co z tego? Ładne, efektowne i niby krytyczne wobec bohaterki, ale puste w środku. Ale przyznaję, że po lekturze nie lubię Tamary jeszcze bardziej niż przed nią. Może to dowód, że książka ma jednak jakąś siłę. ©℗

eprasa.pl 88d2eb15d9

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Przepraszam za Narodowy

Pomyliłem się. Kilka tygodni temu napisałem, że w covidowym szpitalu na Narodowym opatrzono 36 pacjentów. Niestety, chodziło tu o średnią dzienną, a wyszło, że w ogóle. I otrzymałem upomnienie od p. Piotra Czapskiego. Przepraszam za wprowadzenie w błąd. Pan Czapski pisał, że pracował tam jego syn i nie wie, jak wielu (ale wielu) pacjentów wyleczył lub mógł jedynie bezradnie patrzeć na ich zgon. To mnie zaciekawiło jako temat, sięgnąłem więc do statystyk i publikuję je poniżej.

Szpital na Narodowym pracował łącznie 194 dni. Było w nim 550 łóżek, z możliwością rozbudowy do 1,2 tys. Koszt: ponad 110 mln zł. 567 tys. zł za dzień. Przez szpital przewinęło się 1850 pacjentów, ze średnim pobytem 11 dni na pacjenta. Na zmianie 12-godzinnej 30 lekarzy, 108 pielęgniarek i 30 ratowników medycznych.

A więc na jednego pacjenta wydano ok. 60 tys. zł. Gdy się podzieli liczbę łóżek, pacjentów i średni czas przebywania w szpitalu, to wychodzi, że zajętość łóżek nie przekraczała 19 proc. Całość personelu została zakontraktowana na 500 osób. W szczycie pandemii przebywało tam 350 osób, co daje średnią za cały okres – właśnie te feralne 36 osób na jeden dzień w szpitalu. Na 160 osób personelu na zmianie, czyli wychodzi prawie pięciu medyków na pacjenta na zmianie. Ja nie mam podstaw, panie Piotrze, do kwestionowania oddania Pańskiego syna sprawie leczenia ludzi, ale przyzna Pan, że pięciu medyków na pacjenta to farsa, w porównaniu z oddziałami covidowymi, na których ludzie umierali pozostawieni sami sobie. Pański syn uczestniczył w kosztownym humbugu, kompletnym widowiskowym pomieszaniu priorytetów. 60 tys. zł za przejście dość łagodnego wirusa to na jednego pacjenta luksus w polskiej służbie zdrowia. Pięciu medyków przy jednym łóżku – widziałbym lepsze ulokowanie takich zasobów, zwłaszcza że medyków ściągano na Narodowy z całego kraju i gdzieś ich zabrakło.

I ostatni element. Nie mogłem się doczytać, ilu ludzi zmarło w szpitalu na Narodowym. To chyba jednak jakaś tajemnica. Boję się, że wstydliwa. Jedyne, czego się doczytałem, to to, że do szpitala przyjmowano pacjentów w stanie niezagrażającym życiu. Co 10. był poddany wentylacji. Tak że nie wiem, ilu śmierci pacjentów był świadkiem Pański syn. I chyba się nie dowiem. Jeszcze raz – za pomyłkę przepraszam, nie chciałem urazić dokonań syna, a to, że uczestniczył, moim zdaniem, w marketingowym picu, wcale nie dyskredytuje jego poświęcenia. Tak jak nie tłumaczy decydentów. Niech Pan popatrzy – pomyliłem się o 5 tys. proc., a i tak wyniki tej pokazówy są zatrważające. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Paraliż za pieniądze z KPO

Jest pewien mechanizm psychologiczny, który sprawia, że po ustawicznym wałkowaniu jakiegoś tematu dochodzi się do takiego progu, po którym jest już tylko zmęczenie. Nie jest już możliwe przebicie się do opinii publicznej. Nawet gdyby wiadomość była najbardziej sensacyjna, bulwersująca i zatrważająca, ludzie wzruszą ramionami i zniechęceni odwrócą głowę.

Chyba to właśnie się dzieje w temacie reformy sądownictwa. Po latach sporu, w którym naprawa wymiaru sprawiedliwości i tzw. kwestia praworządności były polem politycznej walki, właśnie teraz, gdy zrobiło się naprawdę groźnie, ludzie nie są już w stanie się połapać, więc nie wyjdą na ulicę. A powinni. Pod dyktando Brukseli, rękami parlamentarzystów zostaje rozmontowany system prawny, co może owocować niewyobrażalnym chaosem. Nowelizacja ustawy o Sądzie Najwyższym, w której wprowadza się zapis umożliwiający kwestionowanie legalności powoływania sędziego – poszerza zakres badania niezawisłości i bezstronności – może doprowadzić do uchylania wydanych wyroków. A to jest mina podłożona pod cały system wymiaru sprawiedliwości. Możliwość kwestionowania powołania sędziego wytrąca spod nóg zasadę nieusuwalności, a więc także gwarancję jego niezawisłości.

Trudno sobie wyobrazić konsekwencje takiej demolki, jeszcze trudniej zrozumieć naiwność tych, którzy nam zafundowali ten stan. Muszę przyznać, że trudno mi znaleźć przykład bardziej wyrafinowanej perwersji. Szantażyści z Brukseli tak długo i tak wytrwale wymuszali na rządzie Zjednoczonej Prawicy „naprawę praworządności", że gdy Polska w końcu zaczęła ulegać, wprowadzając żądane zmiany, system sądownictwa zostaje tak zdekonstruowany, iż grozi nam niewyobrażalna anarchia, a w najlepszym przypadku grzęźnięcie sądów i sędziów w ustawicznych wewnętrznych wojnach. I wreszcie, jak w samospełniającej się przepowiedni, zarzuty o brak praworządności staną się prawdziwe i widoczne gołym okiem. Może właśnie o to Brukseli chodziło.

Ponadto spełnianie narzuconych Polsce przez Komisję Europejską warunków, by odblokować mityczną kasę z KPO, w konsekwencji doprowadzi do takiej sytuacji, w której nawet gdy kasa przyjdzie (w co wątpię), skala szkód będzie tak znacząca, że nie da się już tego ukryć przed elektoratem. Zatem odtrąbienie wizerunkowego sukcesu z przyznanych miliardów, które mają pomóc wygrać wybory, będzie się odbywało w nieustannych konwulsjach i paraliżu państwa. To wywoła wściekłość ludzi, którzy albo nie pójdą na wybory, albo zagłosują na kogokolwiek, byle nie na tych, którzy nam zgotowali ten los. ©℗

eprasa.pl 88d2eb15d9

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Nie najlepszego zdania

Różne przetaczają się rozmowy przez media społecznościowe, np. przez Twitter. Stop. Radio Zet poinformowało, że ich gościem będzie poseł PiS Radosław Fogiel. Stop. Redaktorka Eliza Michalik napisała niemiło: „Uwielbiam te ostrzeżenia". Stop. Fogiel odpowiedział: „Proszę sobie skserować na przyszłość". Stop. Tu rozmowa się zakończyła, gdyż Eliza Radosława zablokowała. Stop. Czemuż to, a czemuż? Nie wiadomo, ale niektórzy wiążą ów fakt ze złośliwym pseudonimem, jaki nędznicy nadali red. Elizie. Stop. Otóż ta niegdyś bardzo prawicowa dziennikarka była podejrzewana o przepisywanie cudzych materiałów i zaczęto ją w kręgach zła przezywać „Ksero". Stop. My jednak w takie zachowania red. Elizy nie wierzymy i stoimy na stanowisku, że po prostu nie miała czasu. Stop.

Na spotkaniu z Donaldem Tuskiem w Siedlcach wstał ubek i powiedział, że był ubekiem i że dzieje mu się przez PiS finansowa krzywda. Stop. Prawdopodobnie był to jednak prowokator, gdyż Tuskowi zadał pytanie sugerujące daleko idącą wspólnotę: „Jak to się stało, że trzy razy przegraliśmy już wybory?" – w sensie, że Platforma przegrała. Stop. „My" przegraliśmy, kurczę blade. Stop. Jak nic obrzydliwy prowokator. Stop.

Ja tu sobie czasem żartuję, ale taki wiceminister spraw zagranicznych Paweł Jabłoński sobie nie żartuje. Stop. „Tylko idiota może wierzyć w to, że Polska chciała rozbioru Ukrainy. Pożyteczny idiota Kremla" – napisał na Twitterze. Stop. Żeby nie było wątpliwości, oznaczył Radosława Sikorskiego. Stop. W takich sprawach zabawne komentarze dotyczące regularnych bredni Sikorskiego bywają zdumiewająco smutne. Stop.

Po uszczelnieniu wyłudzania VAT rząd znalazł nowy, chyba nawet lepszy sposób ściągania pieniędzy. Stop. Tym razem od kierowców. Stop. Jak oficjalnie poinformowano, w roku 2022 mandaty nałożone na kierujących za wykroczenia wyniosły 1 mld 359 mln zł. Stop. Prawie dwa razy więcej niż rok wcześniej. Stop. Kierowcy biją rządowi wielkie brawa! Stop.

Zapewne pamiętają państwo, jak w zeszłym roku serbski tenisista Novak Djoković został w Australii zatrzymany, aresztowany, a wreszcie wydalony bez możliwości uczestnictwa w Australian Open. Stop. No, ale powiedzmy szczerze, sam był sobie winien, bo nie zaszczepił się na COVID-19. Stop. W tym roku przyleciał do Australii bez żadnych problemów, nikt go nie więził i nie deportował, choć COVID-19 wcale nie przestał atakować. Stop. Ale w zeszłym roku Djoković był niezaszczepiony, a w tym roku jest niezaszczepiony. Stop. Nie jestem najlepszego zdania o ludzkości. Stop. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Czyszcząc flagę z plwocin

Małgośka, mówią mi, pewnie Prezes lub jego przyboczni wynagradzają ci jakoś to prawackie lobbowanie w Hiszpanii? A skąd! – odpowiadam – jestem chyba jedną z niewielu dziennikarek, której biuro PiS już dwa razy odmówiło akredytacji pod byle pretekstem. Jak widać, taka jest strategia wobec konserwatywnych dziennikarzy spoza orbity i świty: „Fangę w nos", żeby sprawdzić, jak wytrwałym są materiałem medialnym lub gdzie mają próg bólu. Poza tym ja nie lobbuję dla PiS, a dla tej Polski, która nie wstydzi się dewizy utkanej z trzech najważniejszych słów. Dobre skutki uboczne mojej aktywności spadają więc na Prezesa niejako rykoszetem.

Ot, dostałam się wreszcie w Madrycie przed oblicze legendy i demiurga liberałów i centroprawicy – Federica J. Losantosa. Przeprowadziłam z nim długi wywiad, spełniając swoje zawodowe marzenie. Kłaniałam mu się w pas za wszystko, czego nauczyłam się z jego książek i audycji, ale prawdziwa niespodzianka spadła na mnie dzień później. Don Federico, który w porywach ma nawet 20 proc. rynku radiowego, nagle poświęca Polsce kwadrans programu, opowiadając o naszym poświęceniu dla Ukrainy, o naszym maltretowaniu przez UE i o fake newsach krążących na temat polskiej reformy sądów. A wszystkie jego słowa brzmią znajomym echem z naszej pogawędki! Owszem, chwalipiętą jestem dość wprawioną, ale tak sobie kombinuję, że jak tu drukiem zasługi uwiecznię, to może i na Nowogrodzkiej zaczną mnie traktować tak humanitarnie jak w Hiszpanii.

Tym bardziej że, mówiąc wprost, nie był to mój pierwszy raz! A to artykuł prof. A. Nowaka punktujący rusofilię uda mi się opublikować w Hiszpanii, a to w świątecznym wydaniu najpopularniejszego dziennika coś miłego o naszej literaturze. W gruncie rzeczy robię to samo, co miliony rodaków: staram się pokazać za granicą twarz Polski nieoszpeconej obmową opozycji totalnej.

Taki nasz los, że gdy pół Polski opluwa własny kraj – i to czasem wierszem białym, jak w przypadku Jarosława Mikołajewskiego – drugie pół usiłuje zmyć pomyje z głowy Orzełka i wyczyścić flagę z plwocin. Jak można napisać w apostrofie do Ojczyzny: „Pier.ol się, zgnilizno", że o gorszych zaklęciach Mikołajewskiego już nie wspomnę? Zabawne, że mnie miłości do kraju nauczyła Babcia, która swój dziennik z pobytu w łagrze spisała najprostszą polszczyzną i dziecinną niemal kaligrafią. I czasem doprawdy nie pojmuję, dlaczego „droga, którą Jaś i Małgosia dreptali do szkoły, nie rozstąpi się w przepaść", aby raz na zawsze oddzielić Polaków od polactwa. ©℗

eprasa.pl 88d2eb15d9

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Spór o powstanie – z Alaską w tle

ANDRZEJ NOWAK

Powstanie styczniowe wciąż budzi spory: Czy warto się bić o niepodległość, skoro można dobrze żyć, w zgodzie z Rosją, bez walki? Tak zwanym realistom, którzy potępiają powstania, warto przypomnieć podstawową zasadę polityki carskiej Rosji (która, dodajmy, zagarnęła ostatecznie 82 proc. terytorium przedrozbiorowej Rzeczypospolitej, Prusy – 7, Austria – 11). Sformułował tę zasadę car Mikołaj I w testamencie przekazanym synowi – późniejszemu Aleksandrowi II: „Nie dawaj nigdy wolności Polakom; utrwal to, co zaczęte, i staraj się doprowadzić do końca trudne dzieło zruszczenia [obrusienija] tego kraju, w niczym nie osłabiając podjętych środków".

Przykładem najbardziej wyrazistym rosyjskiej polityki i jednocześnie odpowiedzią na pytanie, czy ugoda z Rosją dawała Polsce szanse lepszego życie niż walka, niech będą te liczby: między 1832 a 1862 r. z samych tylko ziem nadwiślańskich rosyjskiego zaboru (czyli z tzw. Królestwa Polskiego, którego ludność wzrosła wtedy mniej więcej z 4,5 do 5,5 mln) wybrano ponad 200 tys. rekrutów. Wszyscy oni poszli służyć głęboko w Rosji, na Syberii, w walce z góralami kaukaskimi, w Finlandii. Z tej 25-letniej służby wojskowej wróciło do Polski 25 tys. – reszta zginęła lub zmarła. To są straty wynikające z podporządkowania się Rosji. Nikt tu nie walczył z Rosją, a 175 tys. ludzi przepadło dla Polski, dla swoich rodzin, dla kraju – wskutek braku walki z Rosją.

Po klęsce imperium w wojnie krymskiej (1853–1856) pojawiła się nadzieja na poprawę. Nowy car, Aleksander II, spotykając się w maju 1856 r. z przedstawicielami społecznej elity Królestwa Polskiego, powiedział jednak stanowczo: „Żądam wszakże, aby przez ojca mego porządek ustalony w niczym nie został naruszony. Dlatego też panowie zaniechajcie marzeń. Pomyślność Polski polega na zupełnym zjednoczeniu się z innymi narodami mojego państwa. Wszystko, co zrobił mój ojciec, dobrze zrobił i ja to utrzymam". Ustępstwa, na które Rosja zdecydowała się w następnych latach, wynikały z jej trudnego położenia międzynarodowego i wrzenia wewnętrznego w czasie koniecznych reform (zwłaszcza chłopskiej). Car chciał mieć spokój nad Wisłą – bez walki. Do tego potrzebny był mu kolaborant bez żadnego oparcia w społeczeństwie polskim; ktoś zależny w swej pozycji w stu procentach od łaski cara. Był nim Aleksander Wielopolski. Reformy margrabiego miały swoje granice, jasno wytyczone w Petersburgu. Dać przedsiębiorczym Polakom „możliwie duży dobrobyt" (jak duży – o tym będzie decydował car), ale nie siłę, nie gwarancję prawnej odrębności. Nowa, nastawiona na bogacenie się klasa średnia (sriednieje sosłowje), inaczej niż stara szlachta czy księża, niosący pamięć historyczną polskości – to może być szansa uspokojenia, ustabilizowania sytuacji nad Wisłą, pogodzenia mieszkańców tej imperialnej peryferii – poprzez wymianę elit z historycznych, narodowych, na ekonomiczne – z panowaniem rosyjskim. Tak istotę polityki „ugody" przedstawił najbardziej liberalny polityk carskiego dworu, hrabia Mikołaj Orłow, w liście z lipca 1862 r. do nowego namiestnika w Warszawie, wielkiego księcia Konstantego Mikołajewicza.

Nawet w takim, najbardziej życzliwym stanowisku warunek sine qua non owej ugody był niezmienny: wszystko, co na wschód od Bugu, to już nieodwołalnie Rosja. Wielki książę Konstanty zapewniał swego starszego brata w Petersburgu w grudniu 1862 r., że doskonale rozumie istotę tej polityki: wszystkie ziemie dawnej Rzeczypospolitej na wschód od Bugu „są obecnie nierozerwalną częścią Rosji, są rosyjskimi guberniami, jak tulska, rjazańska i każda inna". I to rozumieli w grudniu 1862 r. również ci, którzy zdecydowali się na walkę o Polskę niepodległą od takiej łaski carskiej, walkę o Polskę całą, o Rzeczpospolitą, tak jak rozumieli ją jeszcze wszyscy niemal ówcześni świadomi Polacy. Dlatego wybuchło powstanie: pod znakiem Orła, Pogoni i Michała Archanioła.

Czy przegrało ostatecznie? Dziś jego pamięć jest czczona w Wilnie i w Kijowie. Jeszcze nie w Mińsku. A w Warszawie – co myślą „realiści"?

Przypomnę im, że największym przegranym tamtego powstania okazało się Imperium Rosyjskie. Minister finansów, Michaił Reutern, w tajnym raporcie dla cara z 1866 r. stwierdził, że „od stycznia 1863 r. polskie powstanie i grożąca Rosji wojna europejska" nadszarpnęły zasadniczo zaufanie do rosyjskich papierów kredytowych; „polski bunt" pociągnął za sobą także ogromne koszty bezpośrednie (w 1862 r. wydatki Imperium Rosyjskiego wynosiły 328 mln rubli, a w 1864 r. było to już 447 mln!) i konieczność zaciągnięcia wielkich pożyczek, na pokrycie błyskawicznie rosnącego deficytu. Jednym z rezultatów tego kryzysu była decyzja o sprzedaży Alaski Stanom Zjednoczonym, sfinalizowana w 1867 r.

Jakie i dla kogo będą skutki dzisiejszego powstania Ukrainy przeciw imperialnej rekonkwiście Putina? Pożywiom, uwidim. ©℗

eprasa.pl 88d2eb15d9

PALANTERIA

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

W restauracjach za granicą oferuje się owady i larwy jako danie bogate w białko i inne korzystne dla człowieka substancje. Owady to przyszłość żywienia – podali w TVN i byli zachwyceni. Palanteria, jak mawia mój kumpel Jacek Pałkiewicz (on czasem miesza język polski z włoskim i wychodzą mu śmieszne słowa). Palanteria powiela tezy z Davos. To tam bogaty dureń opowiadał o robactwie – że powinno stanowić przyszłość żywienia ludzkości. Dostał brawa, co oznacza, że wszyscy obecni na sali zrobią wszystko, co w ich mocy, abyśmy my wszyscy zaczęli się odżywiać robactwem (bo krowy pierdzą, od czego się robi gorszy klimat na planecie, a owady nie pierdzą).

Do Komisji Europejskiej trafił stosowny wniosek – aktywiści domagają się zakazu hodowli zwierząt pierdzących („koniec epoki mięsa"). W zamian oferują steki z laboratorium, papki sojowe oraz pędraki, larwy i świerszcze, czyli to, co kupuje się jako przynętę w sklepie wędkarskim. Hodowcy są oburzeni tymi pomysłami, ale poparcie dla UE nadal deklaruje ponad 80 proc. obywateli RP. Gdy spytać ludzi, co konkretnie popierają, pada odpowiedź sprzed 20 lat – ani słowa o tym, co teraz, tylko stara gadka o tym, że przecież chcemy być Europejczykami i podróżować bez paszportów. Człowieku naiwny, a jaka to różnica, czy wsiadając do samolotu, pokazujesz dowód czy paszport? Europejczykami i tak nie jesteśmy pomimo tylu lat w Unii – spytaj Niemca, za kogo uważa Polaków. Albo cię osobiście lubi i szanuje, albo jesteś obywatelem Unii, ale drugiej kategorii. To ja wolę być po porostu Polaczkiem z Polski niż Europejczykiem gorszym.

***

Polscy „delegaci" byli w Davos i przywieźli wytyczne.

Piszę w cudzysłowie, bo ani Morawieckiego, ani Dudy nikt do Davos nie wysyłał. Pojechali na wezwanie. Gdy Klaus Szwab przysyła „zaproszenie", to jest tak, jakbyś w Chinach dostał zaproszenie od dyktatora Xi – możesz nie jechać, ale… tylko spróbuj nie jechać. Duda z Morawieckim raczej sami chcieli jechać – w poszukiwaniu pracy, bo im się kończą kadencje. Będziesz grzecznie merdał, głową kiwał i brawo bił, to ci coś znajdziemy. Może jakiś Bank Światowy albo cuś. I potem Polska będzie dumna, bo to „nasz człowiek w BŚ".

„Delegaci" przywieźli wytyczne, że mamy żreć robaki i żyć w miastach 15-minutowych, gdzie po wszystko (co władza uzna za stosowne) da się dojść piechotą. Samochody likwidujemy, bo pierdzą jak krowy, a do tego zużywają paliwo, którego nie wolno używać. Wszystko ma być na prąd, którego brakuje. Dlatego stawiamy więcej wiatraków, które kosztują drożej niż cały prąd, który są w stanie wyprodukować. W tej sytuacji, jak powiedział jeden pan w Davos, należy podnieść ceny prądu – to proste. Aha i powiedział też: „Musimy podnieść ceny paliw, to ludzie sami zrezygnują z samochodów". Wszyscy bili brawo.

***

Miasta 15-minutowe mieliśmy już w Polsce w czasach średniowiecza. Wtedy każde było właśnie takie – 15-minutowe – otoczone murem, a wewnątrz wszystko, co do życia potrzebne, w zasięgu kwadransa piechotą. Do tego celu prowadzą wytyczne z Davos. I Polska się cieszy – pięć miast wyznaczono do pierwszego eksperymentu: Warszawa, Kraków, Wrocław, Łódź i Rzeszów będą poligonem doświadczalnym Agendy 2030.

W Wielkiej Brytanii eksperyment jest bardziej zaawansowany i… nie wolno będzie opuszczać swojego rewiru bez zezwolenia. Permanentny lockdown, tym razem klimatyczny. Masz wszystko, co ci do życia potrzebne, to siedź na tyłku, bo przemieszczanie się pomiędzy rewirami jest zakazane – niepotrzebne zużycie energii. Miasta 15-minutowe to powrót do czasów feudalnych.

Może pamiętają Państwo ze szkoły taki termin jak „przywiązanie do ziemi". Chłop odrabiał pańszczyznę na ziemi swego pana. Cała ziemia należała do feudała, wioski i miasta się sprzedawało razem z ludźmi, którzy tam mieszkali, a ci ludzie mieli zakaz opuszczania swojej wioski. System feudalny to powszechne niewolnictwo.

Mamy wrócić do tych czasów, mamy być niewolnikami zamkniętymi w dzielnicach szczęścia. To nie jest teoria spiskowa, lecz oficjalny program ONZ pod nazwą „Agenda 2030". Podpisały to Polska oraz prawie 200 innych państw.

***

Teraz promują jedzenie robaków. Robaki to się jadło w obozach śmierci, w najcięższych francuskich więzieniach w Gujanie, robaki to się jadło w czasie wielkiego głodu wywołanego w Chinach przez Mao. Robaki to się jada w dżungli. Czasami na pustyni. Robaki nie są i nie będą smaczne. Robaki są obrzydliwe. Jadalne, ale obrzydliwe. Jadłem różne i pod wieloma postaciami. Można sobie obejrzeć „Boso przez świat", gdzie pokazywałem nawet pieczone tarantule. Można obejrzeć, jak zjadam pędraka na serii fotografii w książce „Gringo wśród dzikich plemion" i widać po mojej twarzy, że pyszne nie jest. A ja przecież jem wszystko i obrzydliwy nie jestem.

Owady i larwy to desperacja, nie delikatesy. Wmuszanie ludzkości robactwa zamiast steków i karkówki powinno prowadzić do buntu, a nie prowadzi. Wszyscy jesteśmy palanterią?

Jadałem robaki żywe, martwe, pieczone, suszone, kandyzowane, jadałem rosół z robaków. Jadałem też mrówki. Te małe, które mieszkają pod korą amazońskich drzew, są jedynymi, które ładnie pachną i smakują, bo są lekko kwaskowe.

Nie chcę żyć w miastach 15-minutowych, nie chcę wracać do czasów feudalnych i nie chcę, by nastąpił „koniec epoki mięsa". Jestem w mniejszości. W zasadzie jestem błędem statystycznym, skoro tyko 5 proc. Polaków jest przeciwne przynależności do UE. ©℗

eprasa.pl 88d2eb15d9

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

W PREZENCIE

KSIĄŻKI

KS. ROBERT SKRZYPCZAK: „MIĘDZY CHRYSTUSEM A ANTYCHRYSTEM" ORAZ FABIO MARCHESE RAGONA: „MAM NA IMIĘ SZATAN. HISTORIE EGZORCYZMÓW OD WATYKANU DO MEDJUGORJE"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1201~~ZŁ

364,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 837ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 88d2eb15d9

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

ROK 1933. WYBÓR NIEMCÓW: HITLER KANCLERZEM, CZYLI POCZĄTEK KOSZMARU

– mówi prof. Grzegorz Kucharczyk, piszą Piotr Semka, Jakub Ostromęcki, Grzegorz Janiszewski, Michał Mackiewicz i inni

TWARZE 1863 R. – Marka Gałęzowskiego o wolnych Polakach opowieść datowana, a POWSTAŃCZE DAGEROTYPY prezentuje Tomasz Stańczyk

BEZRADNY KONSUL II RP – prof. Mikołaj Iwanow o dyplomatach polskich na Białorusi w latach 1922–1939

JAN PAWEŁ II I RONALD REAGAN – z amerykańskim historykiem prof. Paulem Kengorem rozmawia Piotr Włoczyk

ZA DŹWINĘ DO PRACY – Sławomir Koper przypomina sezonową przedwojenną emigrację Polaków na Łotwę

PÓŁKSIĘŻYC ZASZEDŁ POD LEPANTO – Maciej Rosalak o zwycięstwie floty chrześcijan nad Turkami w 1531 r.

UPADEK ERICHA KOCHA – Piotr Zychowicz: były gauleiter Prus wcale nie miał w celi kolorowego telewizora

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 88d2eb15d9